ISSN 0867-4094
Nr indeksu 356-875

DEKADA Literacka

Nr 10 (146) Rok VIII
31 X 1998 Kraków
Cena 1,50 zł

LITERATURA UKRAIŃSKA: Emma **Andijewska** Jurij **Andruchowycz** Wołodymyr **Dibrowa** Iwan **Dziuba** Wołodymyr **Mułyk** Jarosław **Pawluk** Mykoła **Riabczuk** Bohdan **Rubczak** Mychałko **Skalicki**

Mykoła Riabczuk

Literatura oblężonej twierdzy

Dwa lata temu na Ukrainie na miejsce śmiesznych papierków–kuponów z sześcioma zerami pojawiła się długo oczekiwana twarda waluta pod nazwą hrywnia. I choć jej „twardość" okazała się względna (po dwóch latach hrywnia straciła niemal jedną czwartą wartości), to dziś okazuje się ona głównym, jeśli nie jedynym, osiągnięciem siedmioletniej działalności kolejnych ukraińskich rządów.

Na wydarzenie to szybko zareagował ukraiński poeta Ołeksandr Irwaneć, członek legendarnej już dziś grupy literackiej „Bu-Ba-Bu" („Burleska-Bałagan-Bufonada") – napisał on mianowicie (w swoim stylu) „wiernopoddańczy" utwór „Oda do Hrywni", w którym znalazły się takie, między innymi, wersy:

W szkole państwowości wszyscyśmy – ucznie,
Hrywnia – twarda to dla nas sztuka.
Ziściły się w niej reformy Kuczmie
I mądrość państwowa Krawczuka (...)
Będziemy płacić nią napiwki,
Długi i ceny na bazarze,
I nowe ukraińskie dziwki
W niej będą brały apanaże. (...)

„Patriotyczny" wiersz wkrótce ukazał się w czasopiśmie „Ukrajińska Kultura", a z czasem – wpadł w oko redaktorce moskiewskiej, bynajmniej nie marginalnej, „Literaturnej Gazety", Ładzie Fedorowskiej, która od razu poświęciła mu połowę artykułu pod charakterystycznym tytułem „Podwójne pogaństwo po kijowsku" (26 marca 1997). Treść artykułu jest czysto propagandowa i sprowadza się w istocie do dwóch tradycyjnych dla całej rosyjskiej prasy motywów: a) do jakiego marazmu dochodzą zwolennicy ukraińskiej niezależności w swej patriotycznej zaciętości, i b) jak wielka próżnia powstaje na Ukrainie na skutek przymusowego wyrugowania stamtąd wielkiej kultury i mowy rosyjskiej oraz usiłowań wprowadzenia na to miejsce niedorozwiniętej kultury ukraińskiej. „Półpierwotna »gwara« okazuje się przeważać" – taki jest według autorki straszny rezultat „ukrainizacji", podkreślony zresztą podtytułem jej artykułu.

Kuriozalność sytuacji polega jednak na tym, że na potwierdzenie swoich wywodów – jako przykład „oficjalnego adresu pochwalnego" – pani Fedorowska podaje strofy „niejakiego Irwańca". „Niejaki" – to interesujące określenie dotyczy jednego z klasycznych już dziś autorów, tłumaczonego i w Polsce, i w Niemczech, i w USA. I tak oto ten niedorzeczny wierszokleta – wyjaśnia rosyjski krytyk – „w niepowstrzymanym patriotycznym porywie wydał *Odę do hrywni*". Zacytowawszy kilka naprawdę humorystycznych wersów autorka pyta retorycznie: *Może wyda się komuś, że to parodia? Coś tu jednak nie w porządku! Odę, w rubryce „Przeczytajcie ze sceny" wydrukowano w czasopiśmie „Ukrajińska Kultura". Jego wydawcą jest zaś – Ministerstwo Kultury i Sztuki Ukrainy! Jak tu nie krzyknąć za Gogolem: „Rodacy, zgroza!"*

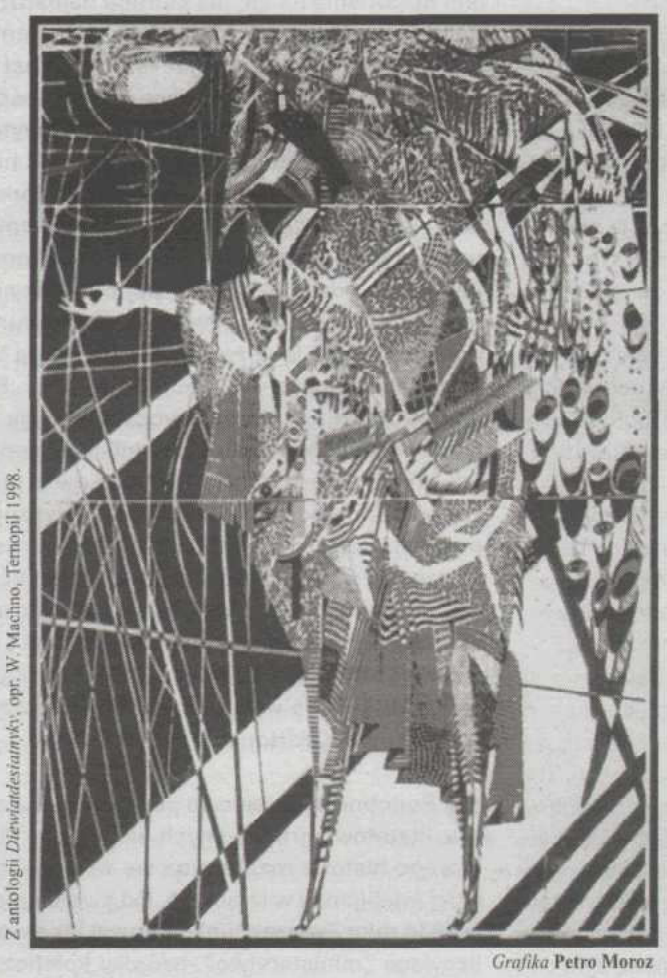

Z antologii *Dziwiatdesiatnyki*; opr. W. Machno, Ternopil 1998.

Grafika **Petro Moroz**

A więc, stereotyp niezależnego od Moskwy Małorusa w kulturze rosyjskiej jest niezmienny: musi być to typ ponury, tępy i owładnięty swoim patriotycznym bzikiem. Brak mu poczucia humoru, nie potrafi śmiać się sam z siebie, parodiować własnych stereotypów („coś tu nie tak!" – nie wierzy własnym oczom Łada Fedorowska), a tym bardziej – coś takiego nie może padać z ukraińskiej sceny, nie może być również sankcjonowane przez ukraińskie Ministerstwo Kultury! Jednym słowem, Małorusi nie mogą zachowywać się jak normalny naród, z jego geniuszami i szalonymi, jego kompleksami i ich pokonywaniem, z jego kulturą i jej brakiem. Nie. Mogą być jedynie całkowitą anomalią, żywym ucieleśnieniem niepełnowartościowości – bo anomalią jest przecież owa ukraińska niezależność, owo nienaturalne, w rozumieniu większości Rosjan, istnienie obydwu narodów naraz.

Wszystkie takie nieporozumienia można by uważać za wewnętrzne problemy Rosjan. Chcą hodować ksenofobię – niech hodują, to im będzie z nią źle. Przypadek z Saszką Irwańcem ilustruje jednak zjawisko znacznie bardziej złożone i dramatyczne. Poglądy Łady Fedorowskiej są charakterystyczne nie tylko dla Rosjan w Rosji, lecz także dla Rosjan na Ukrainie, gdzie stanowią oni oficjalnie 20 % ludności, co więcej – poglądy te są właściwe i wielu Ukraińcom, przez dziesiątki lat wychowywanym w kręgu języka i kultury rosyjskiej, ze wszystkimi jego antyukraińskimi stereotypami, kręgu, obejmującym dzisiaj w przybliżeniu, zgodnie z danymi badań socjologicznych, jedną trzecią ogółu ludności Ukrainy. Jest to więc pro-

CIĄG DALSZY NA STR. 10

UKRAINA: pod względem wielkości obszaru największa w Europie obiektywna przestrzeń, która z tego właśnie fatalnego powodu pomieścić się w Europie nie może. Koniecznym dla „powrotu do Europy" założeniem wstępnym jest jej absolutna niezależność od sąsiedztwa gigantycznej Rosji. Koegzystencja z Rosją oznacza dla U. zgubę, duchową i fizyczną śmierć, o czym można się było przekonać przez ostatnie trzy i pół wieku. Możliwe, że być z Europą oznacza to samo, ale warto się o tym jeszcze przekonać. U. samotnie istnieć nie może. W tym jej istota, jej karma, krzyż i przyszłość. Najbardziej prawdopodobną wersją przyszłości U. wydaje się być teza Ihora Kałyńca o U. karykaturalnej (obojętnie z kim - z Europą czy z Rosją). Tragedia polega na tym, że U. zawsze wywołuje pokusę unicestwienia, która na każdym etapie ukraińskiej historii okazywała się silniejsza od instynktu samozachowawczego. Wskutek tego U. swoim zarysem naprawdę przypomina „przeżute serce" (J. Tarnawski).

JURIJ ANDRUCHOWYCZ („Czerwer", nr 3, 1992)

Agnieszka Korniejenko

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

1 Swoje ponure refleksje rozpocznę od krótkiej reminiscencji historycznej. Lata 20. XX wieku oznaczały dla Ukrainy renesans świadomości narodowej, czemu przez krótkich kilka lat sprzyjała oficjalnie wprowadzona w 1923 roku polityka ukrainizacji. Oznaczało to szybkie odrodzenie życia literackiego, pojawienie się dziesiątków dobrych pisarzy, polemik literackich, czasopism, wreszcie, szkolnictwa i nauki ukraińskiej, nad której rozwojem czuwała nowo powołana Akademia Nauk. Znakomita większość twórców i uczestników tamtych wydarzeń została rozstrzelana na początku lat 30. Przypominam te ogólnie dziś znane fakty nie bez powodu. Statystykę, którą dalej przytoczę (za publikacjami ostatnich lat na łamach kijowskiej „Krytyki" i „Suczasnosti"[1]), łatwo jest zderzyć z danymi ponad pół wieku wcześniejszymi. Nie jest to porównanie wesołe, bo okazuje się, że kiedy po raz pierwszy w historii ukraińskiej kultury mamy prawo oczekiwać odrodzenia, któremu nie groziłoby unicestwienie – i literatura, i literaci popadli w odrętwienie, z którego nie mogą się ocknąć, nawet słysząc fanfary wolności.

Na początek słów kilka o ogólnej sytuacji humanistyki, która (podobnie jak w Polsce) spychana jest na pobrzeże innych nauk choćby za sprawą niewielkich – w porównaniu z biologią czy fizyką – możliwości dofinansowania projektów, grantów i inicjatyw wydawniczych. W latach 20. nauki humanistyczne z ukrainistyką na czele stanowiły przeważający procent działalności Ukraińskiej Akademii Nauk. Przy czym jej przedstawiciele należeli do elity ówczesnej inteligencji (by przypomnieć nazwiska M. Hruszewskiego, S. Jefremowa, S. Smal-Stockiego, A. Krymskiego, M. Zerowa). Po odzyskaniu niepodległości, na początku lat 90., humanistyka ukraińska skurczyła się do 4,5 % składu personalnego całej Akademii i odpowiednio otrzymała 2,8 % jej rocznego budżetu. I dziś ukrainiści wykazują podziwu godną wolę przetrwania, otrzymując na uniwersytetatach i w samej Akademii pensje raz na pół roku. Nie trzeba ukrywać, że głowa Ukraińskiej Akademii Nauk, nieśmiertelny Borys Paton, na wydatki swojego oddziału fizyczno-technicznego przeznaczył w tym czasie ponad 20 % budżetu placówki, którą dowodzi.

Ukraińska humanistyka podzieliła się dziś na dwa w dużej mierze pokoleniowe obozy, między którymi dochodzi do zażartych polemik, z jakimi polska filologia dawno już nie miała do czynienia. Spór toczy się, po pierwsze, o reinterpretację starego kanonu (od wieszcza Szewczenki poczynając), któremu patronuje kult „narodu" i swoiście ukraińskie pojęcie „narodnist'", będące konglomeratem pompatycznej retoryki, populizmu, folkloryzmu i niewinnego szowinizmu. Niewinnego – bo przecież nie idzie tu o agresywną polonofobię czy antysemityzm – lecz o składanie hierarchii literaturoznawczych wartości tak, aby podkreślić i powiększyć „ukraińskość" ukraińskiego pisarza. Taki „patriotyczny" styl myślenia słusznie uznaje się coraz częściej za dowód pielęgnowanych komleksów prowincjonalności i małowartościowości wobec przez lata dominującego i znacznie potężniejszego rosyjskiego sąsiada.

Po drugie, młodszej części ukraińskiego literaturoznawstwa chodzi o ożywienie postaci uśmierconych przez sowieckie literaturoznawstwo, takich jak pisarki przełomu stuleci Łesia Ukrainka czy Olha Kobylanska,

CIĄG DALSZY NA STR. 2

DEKADA Literacka

miesięcznik

Wydawca:
KRAKOWSKA
FUNDACJA KULTURY

Adres redakcji:
ul. Kanonicza 7
31-002 Kraków
tel./fax 422-47-73

Redakcja:
Marta Wyka *redaktor naczelny*
Krzysztof Lisowski
Włodzimierz Maciąg
Agnieszka Kosińska
Aleksander Pieniek *red. graficzny*
Bogdan Rogatko
Teresa Walas *sekretarz redakcji*

Współpracują:
Stanisław Balbus
Anna Baranowa
Piotr Bukowski
Jarosław Fazan
Julian Kornhauser
Maria Niemojowska (Londyn)
Stanisław Rodziński
Małgorzata Ruda
Jan Józef Szczepański
Witold Turdza

Skład: Jan Szczurek

Druk: KRAKOWSKA
DRUKARNIA PRASOWA
Kraków, ul. Nowohucka 50

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów

Warunki prenumeraty:
Prenumerata roczna krajowa wynosi 36,00 PLN
półroczna - 18,00 PLN
kwartalna - 9,00 PLN
Prenumerata roczna zagraniczna wynosi 18 USD
półroczna - 9 USD
kwartalna - 4,50 USD
Cena egzemplarza DEKADY LITERACKIEJ w prenumeracie krajowej wynosi: 3,00 PLN
Cena egzemplarza DEKADY LITERACKIEJ w prenumeracie zagranicznej wynosi:1,5 USD*
Cena za egzemplarz archiwalny (nie z roku bieżącego) wraz z wysyłką wynosi 2 PLN
Płatników VAT-u prosimy o podawanie NIP-u.
Potwierdzeniem przyjęcia prenumeraty jest wystawienie przez KFK rachunku uproszczonego lub faktury VAT.

*w przypadku wpłaty w PLN – wg aktualnego kursu NBP

Prenumeratę prosimy wpłacać na konto KRAKOWSKIEJ FUNDACJI KULTURY
BPH IV O/Kraków
10601389-709987-27000-500101

Numer DEKADY LITERACKIEJ poświęcony literaturze ukraińskiej ukazał się dzięki dotacji przyznanej przez **Fundację im. Stefana Batorego**

DEKADA LITERACKA jest wydawana przy pomocy finansowej **Ministerstwa Kultury i Sztuki**

XVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki „O Laur Liścia Akantu"

• Konkurs jest adresowany do młodych twórców, którzy nie przekroczyli trzydziestego piątego roku życia.

• Uczestnicy winni nadesłać 5 utworów poetyckich opatrzonych godłem, w trzech egzemplarzach maszynopisu lub esej (od 4 do 10 stron maszynopisu w trzech egzemplarzach) na adres:
Miejski Ośrodek Kultury
ul. Rodziewiczówny 3
10-030 Olsztyn
z dopiskiem: „Konkurs Literacki".

• Prace zgłoszone do konkursu nie mogą być publikowane ani nagradzane w innych konkursach

• Do zestawu należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym co prace konkursowe godłem, zawierającą imię i nazwisko, wiek oraz dokładny adres i numer telefonu autora.

• Termin nadsyłania upływa 22 listopada 1998 r.

• Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu br., o dokładnym terminie uczestnicy zostaną powiadomieni osobnym pismem.

• Przewiduje się następujące nagrody; za esej - 1000 zł. Natomiast w dziedzinie poezji; I nagroda - 600 zł, II nagroda - 500 zł, III nagroda - 400 zł, oraz trzy wyróżnienia po 200 zł.

Szanowni Państwo

Podajemy warunki prenumeraty „Dekady Literackiej" na rok 1999. Informujemy również, że cena detaliczna pisma w 1999 roku będzie wynosić 2,00 PLN.

Prenumerata roczna krajowa wynosi: 36,00 PLN, półroczna - 18,00 PLN, kwartalna - 9,00 PLN.

Prenumerata roczna zagraniczna wynosi 18 USD, półroczna - 9 USD, kwartalna - 4,50 USD.

Cena egzemplarza „Dekady Literackiej" w prenumeracie krajowej wynosi: 3,00 PLN.

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

co na swój feministyczny sposób uczyniła Sołomija Pawłyczko w ostatniej książce *Dyskurs modernizmu w literaturze ukraińskiej*. Symptomatyczne, że ta specjalistyczna dysertacja naukowa zyskała niewiarygodnie szerokie grono czytelników, których najbardziej zaniepokoił problem intymnych więzi obu pisarek – była to czy nie była niemoralna miłość? Prace tego rodzaju wzbudzają ogromne zaciekawienie czytającej publiczności, choćby dlatego, że rozprawiają się z odziedziczonym modelem uprawiania nauki, dla którego najbardziej charakterystyczne są wywody okraszane argumentami „folklorystycznymi" (*zobaczcie, jak ukraiński jest nasz ukraiński pisarz!*) lub też popadające w skrajność „dysydenctwa", w którego ujęciu bardziej liczą się kryteria polityczno-biograficzne, aniżeli profesjonalność badacza i rzeczowość argumentacji (*tylko my, represjonowani, posiadamy monopol na prawdę!*). Koniec końców polemika z uniwersytetów przeniosła się na grunt gorącej krytyki literackiej, gdzie także trwa wojna między stróżami narodowych świętości a literatami-obrazoburcami. Dowodem głośny już fakt, że wydrukowanie na łamach świeżo przeniesionej z emigracji do Kijowa „Suczasnosti" powieści Jurija Andruchowycza *Rekreacje* w 1992 roku[2] niemal nie doprowadziło do upadku czasopisma na skutek protestu i rezygnacji czytelników z prenumeraty. I znów sedno sporu nie tkwiło w artystycznym poziomie powieści (że był wysoki, świadczy poruszenie, jakie książka wywołała), lecz w utożsamieniu fikcji powieściowej z rzeczywistością. Ukraiński pisarz nie może bowiem w opinii ogółu być łajzą, nieudacznikiem i pijakiem, jak zasugerował Andruchowycz, a i ukraińskie słowo przeznaczone jest do wyższych celów niż opisy karnawałowych burd w Czortopolu.

2 Podobne pokoleniowe perypetie nękają ukraińskich literatów zgrupowanych w Związku Pisarzy (SPU), którego historia rozpoczyna się wraz z końcem ukraińskiej inteligencji w latach 30. Od swoich pierwszych dni w 1934 roku Związek funkcjonował jak swoiste scentralizowane „ministerstwo", twórczy kołchoz, którego zadaniem było honorować prawomyślnych i karać niepokornych. Opiniowanie osiągnięć, rozdawanie i rekomendacja do literackich nagród, możliwości druku książki, wreszcie pensja pisarza oraz wszelkie dodatkowe uposażenia leżały zawsze w gestii Związku Literatów. Pisarze mieli jedynie pisać w myśl oficjalnie wytyczonej linii partyjnej bez popadania w wybujały indywidualizm. W rezultacie wraz z przyjęciem tych dyrektyw rozpoczęła się produkcja niebywałej ilości miernoty i grafomanii, odróżnialnej chyba tylko po kolorach okładek książek.

Taka, skądinąd dobrze znana, charakterystyka wszystkich organizacji literatów w Związku Sowieckim, w republikach związkowych nabierała dodatkowej specyfiki: członkiem kijowskiego Związku mógł zostać twórca, jeśli nie mówiący, to przynajmniej piszący po ukraińsku. Skazywało to pisarza na egzystencję prowincjonalną, z dala od centrum w Moskwie. Równocześnie miał on obowiązek dbać o język i kulturę, których zniknięcie powinien jako lojalny poddany imperium przyspieszyć, co było rodzajem twórczej schizofrenii. Wydawało się, że wraz ze zniesieniem w 1991 roku cenzury, wraz z próbami stworzenia wolnego rynku wydawniczego, z powstaniem licznych fundacji i, co chyba najważniejsze, po uwolnieniu pisarzy spod „opieki" komitetów partii, literacka oligarchia straci rację bytu. W realiach postsowieckiej Ukrainy pisarze dawno powinni byli domyślić się, że potok pieniędzy płynących z budżetu państwa do kasy związkowej będzie coraz szybciej wysychał. Tymczasem, jak wynika chociażby z lektury oficjalnego organu Związku, „Literaturnej Ukrajiny", organizacja nadal uważa się za monopolistę na rynku ukraińskiej książki, za dyktatora gustów i upodobań czytelniczych, za bastion ukraińskiej kultury i języka, jedyną organizację, która legitymizuje istnienie pisarza. Gwoli sprawiedliwości dodam, że w czasach pieriestrojki Związek, dysponujący rozwiniętą infrastrukturą terenową, w znaczący sposób wpływał na odradzanie się świadomości obywatelskiej i narodowej, przyjmując na siebie rolę politycznego stymulatora. I, niestety, do tej pory nie zrzekł się tych politycznych

CIĄG DALSZY NA STR. 5

IWAN DZIUBA

Motywem głównym naszej rozmowy chciałbym uczynić problem inteligencji ukraińskiej. Jej historia, mity, złudzenia, etos, skomplikowane doświadczenia są, wydaje mi się, kluczem do zrozumienia wielu wydarzeń zarówno literackich jak i politycznych w przeszłości i teraźniejszości. Kim dla Pana jest ukraiński inteligent, czy mógłby Pan nakreślić jego portret?

(...) Pojęcie inteligencji wydaje mi się bardzo upolitycznione, tak w przeszłości jak i dzisiaj, co może deformować obraz. Zmieszanie kryteriów intelektualnych z politycznymi i etnicznymi należy do cech charakterystycznych ogólnego obrazu tej warstwy społecznej, bo taki był i jest inteligent ukraiński, wpisany najczęściej w niszczący go mechanizm historii. Tutaj dochodzi kwestia języka. Ważnym kryterium było to, że chciał on trzymać się języka ukraińskiego i ukraińskiej literatury, sztuki, tradycji ludowej, tego co dawało mu poczucie właśnie przynależności do kultury ukraińskiej jako zjawiska odrębnego od rosyjskiej i polskiej, a były to żywioły, które w swoim czasie odmawiały jej prawa do istnienia, lub upodrzędniały jej znaczenie. Pewne grupy za ukraiński ideał uważały etos kozacki, inne wiejski, ale zawsze związany z językiem. Z tymi wartościami, o których mówiłem, łączy się także pewien styl życia, dziś zresztą w odwrocie. Teraz mamy państwo i to pojęcie będzie się coraz bardziej wiązać po prostu z obywatelstwem. Na razie społeczna rzeczywistość jest na Ukrainie nieustabilizowana, a zatem skąd inteligent ma brać przekonanie o własnym miejscu. (...)

Sfera wyrafinowanej, głęboko twórczej inteligencji, mającej szerszy, nie prowincjonalny ogląd świata, jest u nas wąska. Za nią rozpoczyna się społeczna magma, z której dopiero, jeśli historia pozwoli, ukształtuje się typ inteligenta biorącego to, co najlepsze z przeszłości, ale w niej nie zamkniętego, co było cechą szczególną inteligencji lat wcześniejszych. Pojawia się tu problem braku ciągłości i wciąż to samo zjawisko – inteligent w pierwszym pokoleniu, ze społecznego awansu; bo wciąż tę warstwę trzebiły wojny, stalinizm, czystki, migracje, procesy wykorzeniania, przede wszystkim rusyfikacja na ogromną skalę. (...)

Kiedy rozpoczął się Pana zdaniem proces formowania właściwej ukraińskiej inteligencji? Czym różni się on od procesów kształtujących inteligencję rosyjską i polską?

Może zacznę odpowiedź od drugiego pytania, a potem przejdę do pierwszego. Wydaje mi się, że inteligencja rosyjska to w pierwszym rzucie i przede wszystkim *raznoczyńcy*. Natomiast spora część ukraińskiej inteligencji wywodziła się najpierw ze szlachty, ze sfery ludzi i kultury żyjących po ziemiańsku. Drahomanow, Pantalejmon Kulisz, Kostomarow, Łysenko, Starycki to szlachta. Oni byli zarodkiem ukraińskiej inteligencji, dając jej także wzory kulturowe, artystyczne. Ta inteligencja

Ukraińska inteligencja i granice kompromisu

Z **IWANEM DZIUBĄ** rozmawia **Bogusław Bakuła**

jest bliższa polskiej niż rosyjskiej. Na przełomie XIX i XX wieku zaczyna się formowanie inteligencji w rosyjskim znaczeniu jako trzeciego stanu mającego swój profesjonalny obszar. Wówczas wielu znakomitych ludzi jeszcze wywodziło się ze wsi, ale nie był to ruch masowy, ponieważ ograniczały go warunki polityczne i społeczne, głównie polityka caratu. Nowszy ruch inteligencki należał bardziej do kultury miasta, gdzie jednoczył się z silnymi hasłami pracy organicznej. W latach 20. naszego wieku ta inteligencja, pomimo wojennej i rewolucyjnej zawieruchy, jest już ukształtowaną, w pełni świadomą warstwą i wówczas nadeszła seria stalinowskich uderzeń, które w zamierzeniu miały ją, jako ośrodek ukraińskiej świadomości, zniszczyć doszczętnie. W myśl koncepcji Stalina na jej miejsce miała powstać nowa warstwa, oddana idei komunistycznego imperium, zrusyfikowana, zniewolona duchowo.

Jaka była dynamika tej polityki?

Stalin nie mógł wybić wszystkich, działania aparatu represji były masowe, ale nie prowadzone na oślep. Głównym celem ataku stała się inteligencja humanistyczna, reżim nie potrzebował niezależnych intelektualistów, ale dobry inżynier był tu w cenie. Spacyfikowano wszystkie placówki naukowe, w których ten element humanistycznej świadomości mógł przetrwać, to samo dotyczyło prasy i szkolnictwa. Literatura, teatr, kino – przeżywały dramat starcia z doktryną i systemem policyjnym, jakiego nikt wcześniej nie znał. Jednocześnie reżim był zainteresowany w rozwoju pewnych dziedzin wiedzy, nauki, zwłaszcza technicznych, praktycznych, oświaty technicznej, rolnej i tym podobnych. Rozwijały się matematyka i fizyka, chemia. I te grupy inteligencji przetrwały, a nawet w pewnym stopniu rozwijały się w latach 30. Ukształtowały się w tej sferze nad podziw silne kadry. Niestety w większości były one wyłączone z rozwoju kultury narodowej, mocno je rusyfikowano. Odłączona od swoich korzeni inteligencja ta przetworzyła się w nowy typ, bliski naszym czasom – inteligencji radzieckiej. (...)

Zetatyzowane technokratyczne społeczeństwo inteligencko-biurokratyczno-proletariackie – jako ideał komunizmu – nie udało się ostatecznie. Jak dokładnie rodziła się w jego strukturze warstwa inteligencji? Co utraciła z dawnych pozycji, a co otrzymała w zamian?

Ideą naczelną systemu, który pochłonął na Ukrainie w latach 20./30. około dziesięć milionów ofiar, o czym nie dość mówić, był utopijny projekt stworzenia społeczeństwa bezklasowego i pozanarodowego oraz jednostki ludzkiej, maszyny czy śrubki w tej maszynie, wypranej z tradycji, języka, posłusznego wykonawcy imperialnych zamierzeń. Tę historię wielokrotnie opisywano i analizowano. Oczywiście to nie był tak jednoznaczny proces jak sobie w uproszczeniu można przedstawiać. (...)

Jednocześnie dokonywała się zmiana polityki narodowościowej, którą adresowano do proletariatu pozbawionego własnej bazy społeczno-ekonomicznej. W latach 20. w republikach panowało znaczne ożywienie kulturalne i ekonomiczne, na gruncie tzw. polityki „korenizacji" (zakorzeniania – B.B.). Oznaczała ona szansę szybkiego awansu, nastawiona była na aktywizację lokalnych kadr, wprowadzenie języków narodowych do szkół, rozwój prasy lokalnej. To wszystko wynikało z pragmatycznej polityki docierania do nie-Rosjan z hasłami bolszewickimi poprzez ich język, kulturę. Bolszewicy potrzebowali lokalnych kadr oraz lepszego rozeznania w problemach mniejszości. Potrzebowali inteligencji jako produktu oraz instrumentu swojej polityki.

Czy to mógł być nowy impuls do odrodzenia się inteligencji wyniszczonej przez wojnę i rewolucję?

Oczywiście tak, ale do pewnego stopnia, gdyż nie szło tu wcale o odrodzenie, bądź rozbudzenie świadomości narodowej, lecz to się dokonywało mimo woli. Bolszewicy dobrze rozumieli siłę ruchów narodowych. Więc Lenin poczynił pierwsze kroki w kierunku „korenizacji", czyli oswajania narodów nierosyjskich z rewolucją poprzez schlebianie aspiracjom tych narodów. Ta zmiana ustabilizowała sytuację polityczną po rewolucji, spowodowała wzrost wiarygodności bolszewików wśród narodów nierosyjskich, którym mówiono, że nie zostaną naruszone tradycyjne struktury plemienne, klasowe, narodowe zwłaszcza w Azji. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Nastąpiło szybkie kształtowanie się młodej inteligencji na Ukrainie, w Azji wysuwanie własnych narodowych programów, wzmocnienie ruchów narodowościowych, powstawanie elit kulturalnych, także partyjnych, które z pozycji wewnętrznych mogły bronić interesów narodowych. Potem Stalin doszedł do wniosku, że w tym ruchu tkwi wielkie niebezpieczeństwo dla bolszewickiego centralizmu, dla jedności imperium w jego, Stalina, rozumieniu. Dlatego równolegle do przełomu społeczno-ekonomicznego (rozkułaczanie, migracje, industrializacja, tworzenie GUŁ-agu) nastąpił odwrót od polityki narodowościowej początku lat 20. Hasło walki z „wielkorosyjskim państwowym szowinizmem" na przełomie lat 20./30. zostaje zastąpione hasłem „walki z lokalnym nacjonalizmem". Rozpoczyna się niszczenie inteligencji. Obok rzeczywistego zagrożenia fizycznego szerzy się psychoza strachu. To była swoista profilaktyka przed jakimikolwiek śmielszymi wystąpieniami lokalnej inteligencji.

Trwająca kilka zaledwie lat „korenizacja" dała dalekosiężne skutki. Jej śladów możemy szukać w latach 50. i 60., kiedy to wystąpiła kolejna wielka generacja młodej inteligencji, szukająca swojej tradycji między innymi we wciąż przemilczanych latach 20. Po wojnie nadal pracowano nad rusyfikowaniem tej warstwy, ograniczając możliwości kształcenia się w języku ukraińskim, kładąc nacisk przede wszystkim na kształcenie techniczne. Możemy powiedzieć, że w swojej masie ta nowa inteligencja jest dość wykorzeniona, nadmiernie stechnicyzowana. Nie znaczy to, że nie szukała ona literatury ojczystej, teatru, kina. Szukała i znalazła wartościową odpowiedź w twórczości pokolenia lat 60. Ta inteligencja była silna w znaczeniu profesjonalnym, ale jej tożsamość narodowa była w zaniku i wówczas zaczęła się budzić. Odpowiedź reżimu przyszła na przełomie lat 60. i 70. w postaci polityki deukrainizacji i fali represji, zwłaszcza w roku 1972.

Czy zna Pan dramat Stanisława Wyspiańskiego »Wesele«. Polacy mają kilka wielkich utworów mówiących o tożsamości i misji inteligencji, należy do nich dzieło Wyspiańskiego. »Wesele« jest kluczem do polskiej tradycji inteligenckiej, zainspirowało wiele późniejszych tekstów literackich. Chciałbym pana zapytać o to, czy istnieje w literaturze ukraińskiej utwór podobny, stawiający kwestię historycznej, moralnej, kulturowej, politycznej nawet odpowiedzialności inteligencji za swój naród?

Sporadycznie takie utwory pojawiały się, ale sądzę, że tekstu na miarę *Wesela* nie ma w literaturze ukraińskiej, zwłaszcza idzie mi o wymiar koncepcji artystycznej powiązany z ideą rozrachunku inteligenckiego. Mamy wybitną Łesię Ukrainkę, która głównie koncentruje się na problemach inteligencji. Również Iwan Franko rozumiał znaczenie inteligencji dla kształtowania się tożsamości narodowej i podejmował ten problem w publicystyce. Niestety utworu-archetypu nie mamy i to jest chyba dość charakterystyczne, jest w tym znak historii. Nie zdążyliśmy, nie było tej dłuższej chwili na rozrachunek, na pobudzenie literackich następców. Jednak temat istnieje i w latach 20. szeroko go podejmowano. Oczywiście to są inne warunki polityczne i nie ma mowy o wolności dyskusji. Mykoła Kulisz, Mykoła Chwylowy, zwłaszcza w publicystyce, podejmowali ten problem z całą świadomością ryzyka. Zwłaszcza pamflet Chwylowego *Ukraina czy Małorosja?* w jakiejś mierze tę sprawę podejmuje. Musimy jednak widzieć kwestię różnicy historycznej.

Temat ten wraca w latach 60., poczynając od powieści Ołesia Honczara *Sobór* stawiającej pytanie, za co powinniśmy czuć się odpowiedzialni i gdzie są nasze korzenie. Ostatnio Jurij Andruchowycz w swoich powieściach – *Rekreacje*, *Moskowiada*, *Perwersje* – podejmuje kwestię duchowości i tradycji, lub jej braku, w obrębie ukraińskiej inteligencji. Podejmuje również ważny temat młodego pokolenia, ludzi wrażliwych, twórczych, ale straszliwie zagubionych. A przy tym Andruchowycz obywa się bez typowo patetycznej, przy tej okazji u nas, stylistyki. Dominuje u niego ostre, pamfletowe widzenie, ironiczne, dygresyjne. (...)

Chciałbym teraz nawiązać do Pana dawniejszej diagnozy, do książki, od której rozpoczęła się moja znajomość Pana dokonań i sytuacji ukraińskiej inteligencji, pod tytułem »Internacjonalizm czy rusyfikacja?«, którą napisał Pan w roku 1965. Do kogo Pan tę książkę kierował? Do władzy, czy do inteligencji. Idzie mi także o użyty w niej język i styl argumentacji.

Ciekawe pytanie dla mnie, bo jakoś przy całym hałasie wokół tamtej książki nikt nie zwrócił uwagi, że są tam pewne różnice w sposobie argumentacji i w adresie. Adresatów było trzech i każdy z nich czytał tę książkę inaczej. Pierwszy to władza, której chciałem powiedzieć jak bardzo jest obłudna, wykazać sprzeczności haseł i praktyki, że w ogóle odeszła od ideałów, które głosiła, a nawet narusza konstytucję, prawa obywatelskie i moralne. Drugi adresat – to ta część rosyjskiej inteligencji na Ukrainie, która nie rozumiała istoty ukraińskiego problemu. Ludzie ci byli nieraz wręcz zaskoczeni istnieniem tego problemu, w ich rozumieniu on już dawno powinien zniknąć i jeśli się pojawił, lekceważyli go, albo zwalczali pogardą, siłą. U części pojawiał się taki znak zapytania – no czego ci Ukraińcy chcą, czy im kto zabrania mówić w ich języku, czytać Szewczenkę, pośpiewać? Nie rozumieli, że tak postawiony problem jest drastycznie obelżywy – przecież nie byli u siebie – a takim stawianiem sprawy realizowali, mniej lub bardziej świadomie politykę okupanta. Ludzie ci próbowali zepchnąć język i kulturę ukraińską do getta gorszego, wyśmiewanego folkloru. I moim zadaniem było pokazać tej inteligencji, że mamy system kłamstwa, w który oni wierzą bezwarunkowo i że są społeczną, polityczną bazą przymusu. Niewielu ich udało mi się przekonać. Wśród bardziej znaczących był rosyjski pisarz Wiktor Płatonowicz Niekrasow, który się dystansował do naszych spraw, ale po przeczytaniu książki zajął stanowisko proukraińskie. Również na emigracji zdecydowanie podtrzymywał moje tezy. Trzecim adresatem była młoda ukraińska inteligencja (...). To pokolenie nie szukało swojej szansy w języku rosyjskim, natomiast domagało się odpowiedzi na pytanie, dlaczego ideologia nie pokrywa się z praktyką. Chciałem powiedzieć tym ludziom, że nie ma potrzeby organizowania jakiegoś podziemia politycznego, bo w tamtych warunkach nie było na to większych szans, jako że na każdym kroku pilnowała nas masa agentów, że trzeba rozpocząć od tego, iż to my znajdujemy się na pozycjach prawa, działamy wedle konstytucji, domagając się poszanowania dla własnej kultury. W konstytucji ZSRR wiele mówiono o wolności, prawach narodów i trzeba było spróbować uruchomić ten zapis. I w tym miejscu schodziła się ta argumentacja kierowana do trzech adresatów, do władzy, Rosjan i ukraińskiej inteligencji. A mówiłem to językiem, w którym świadomie wykorzystywałem partyjną nowomowę, cytowałem klasyków marksizmu-leninizmu, oficjalne dokumenty, na których wstrząsającą treść nikt nie zwracał uwagi albo świadomie ją pomijał.

Czy ta książka była rozpowszechniana na Ukrainie?

Nie było zgody na jej drukowanie. Rozpowszechniali ją ludzie, którzy stworzyli *samwydaw*, w maszynopisach, na fotokopiach. Wiem, że jej obieg był nadspodziewanie duży, zwłaszcza że w pierwszych trzech latach specjalnie nie represjonowano za jej posiadanie, to znaczy nie było aresztowań. To chyba należy łączyć z wpływem Petra Szełesta, ówczesnego pierwszego sekretarza KP Ukrainy, przeciwnika ostrej rusyfikacji. Natomiast rozpoczęła się przeciwko mnie silna kampania w prasie, która zresztą w pewien sposób pomogła w jej upowszechnieniu. Publikowano tyle artykułów przeciwko mnie, że członkowie partii zaczęli się domagać mojej książki. Więc do wszystkich obwodowych komitetów partii rozesłano jej skrócony wariant z taką mniej więcej wykładnią – zobaczcie jak to nasi wrogowie wykorzystują trudności w budowaniu socjalizmu. I to też odegrało pewną rolę w ożywieniu dyskusji wśród inteligencji. Książkę wywieziono na Zachód i w 1968 roku ukazała się w kilku językach, między innymi po angielsku, rosyjsku, francusku, włosku – w Europie, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i w Chinach

A później zaczęły się represje.

Czy zna Pan konkretne społeczne reakcje na »Internacjonalizm czy rusyfikację?«?

Mam wrażenie, że pytanie zawarte w tytule od dawna wisiało w powietrzu i musiało paść. Ja je postawiłem w przekonaniu, że uczciwy człowiek musi je zadać, jeśli widzi tyle obłudy i zakłamania. Reakcje były różne. Oczywiście reagowali nie tylko czytelnicy. Dla jednych byłem już skazany, inni widzieli we mnie zbłąkaną owieczkę, jeszcze inni chcieli ze mnie zrobić działacza opozycji i męczennika. Ale ktoś powiedział, że król jest nagi i to był dla wielu ludzi wstrząs. Zwłaszcza moje pokolenie, pokolenie lat 60. wzięło przesłanie tej książki do siebie, ale może tutaj jestem zbyt pewny siebie...

Wspomniał Pan o atakach w prasie....

W prasie drukowano dość niewybredne donosy i pamflety, listy protestacyjne, złośliwe karykatury, felietony. A w 1969 roku pojawiła się książka Bohdana Stenczuka pod tytułem *Czego i jak broni Dziuba*? Był to typowy zlepek ideologiczny napisany przez kilku autorów, którzy użyli zbiorowego pseudonimu. Ponieważ stawałem się popularny na Zachodzie, więc szybko tę polemikę przetłumaczono na język angielski. Zdarzył się przy okazji humorystyczny przypadek. Ponieważ „stencz" znaczy w angielskim „smród" książka otrzymała zabawną etykietkę i do tego stopnia ośmieszyła autorów, iż sądzono, że to żart. Humorystyczna wpadka speców od propagandy przysporzyła mojej książce po-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Ukraińska inteligencja i granice kompromisu

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

pularności. Dzieło Stenczuka reżim szybko wycofał z rozpowszechniania.

W roku 1972 wyrzucono pana ze Związku Pisarzy. W tym czasie był Pan niemal u szczytu sławy, jako osoba niemal kultowa, choć odsunięta od gazet i szerszego czytelnika. Oczywiście miał Pan zajadłych wrogów. Ale książka, o której mówimy, spotkała się z życzliwością wielu członków partii komunistycznej. Miał Pan świadomość ryzyka?

Byłem gotowy na wszystko, świadomie podjąłem ryzyko, choć później moja sytuacja i samopoczucie zmieniły się. Zostałem aresztowany 13 stycznia 1972 roku, w Nowy Rok. To była jedna z tych tragicznych dat w kulturze ukraińskiej, gdyż w tym samym czasie aresztowano, a potem osądzono i skazano na duże wyroki wielu wspaniałych ludzi. Tak skończyła się krótka epoka tzw. „ukrainizacji" naszej kultury. Ponieważ nie przedstawiono mi konkretnego zarzutu rychło mnie wypuszczono, ale przez dwa miesiące byłem wożony co dzień rano z domu do więzienia na przesłuchania, wieczorem z więzienia do domu i tak w kółko. (...)

A potem usunięto mnie ze Związku Pisarzy. Musi pan sobie zdawać sprawę, że przynależność do tej elitarnej i prestiżowej organizacji dawała pewne przywileje. Nie mogli mnie aresztować jako członka związku, najpierw musieli mnie wyrzucić z niego. Wnet zostałem aresztowany i spędziłem dwa lata w kijowskim „izolatorze" KGB. Siedziałem tuż obok na Wołodymyrskiej. Przez sześć miesięcy trzymano mnie w pojedynczej celi. To więzienie ma niesamowicie grube mury i doskonały system izolowania ludzi.

Lecz to nie był wyrok, tylko cały czas śledztwo?

Tak. Najpierw śledztwo, potem wyrok: pięć lat obozu. Ale w 56. rocznicę socjalistycznej rewolucji zwolniono mnie na podstawie uchwały Prezydium Najwyższej Rady Ukrainy.

W istocie nie najsurowszy epilog, na tle tego co działo się z innymi ukraińskimi intelektualistami. Czy nie wydaje się Panu, że to stosunkowo łagodne podejście do człowieka, który wywołał taką burzę, wiązało się z tym, że w Pana działaniu i książce przebija się myśl o kompromisie. Nie chciał Pan rozpoczynać wojny z systemem, raczej go zmieniać. To był jeszcze czas złudzeń, że może zaistnieć socjalizm z ludzką twarzą. Lecz przecież dokonano inwazji na Czechosłowację, w Polsce brutalnie zdławiono ruch demokratyczny. Kompromis mógł być czystą fikcją. Komunizm wydawał się niezwyciężony. Czy miał Pan wówczas własne granice kompromisu? Wobec żądań władzy. Jak ten kompromis rozumieli Pana przyjaciele, ludzie, którzy Pana otaczali?

Myślę, że prezentowałem koncepcję dyskusji, a nie negacji, jak zresztą większość ludzi. W mojej książce trudno doszukać się agresywnej polemiczności, tam miały mówić fakty, liczby. Kiedy siedziałem w więzieniu, warunkiem mojego uwolnienia było pójście na kompromis na warunkach władz komunistycznych. Dojrzewałem do tego dwa lata. Jaki kompromis? Miałem potwierdzić oświadczenie, iż żałuję, że moją książkę wykorzystano w propagandzie przeciwko ZSRR. I podpisałem to. A dlaczego? Musiałbym panu chyba zbyt długo wyjaśniać...

A w skrócie...?

Znalazłem się wówczas w dość dziwnej sytuacji. Byli wśród nas ludzie, którzy twardo zajmowali postawę opozycyjną i negowali świat sowiecki od podstaw, z reguły zajmowali się działalnością polityczną. Ja wybrałem drogę legalizmu, twardego obstawania przy konstytucyjnych prawach jednostki i narodu. Ale okazywało się, że zarówno dla władzy jak i dla tych ludzi, którzy zajmowali przeciwną pozycję byłem podejrzany, dwuznaczny, choć z mojego punktu widzenia sprzeczności w moim postępowaniu nie było. Władze nie uwierzyły w moją intencję naprawiania błędów systemu, chciały ze mnie zrobić wroga publicznego. W śledztwie ciągle powtarzano, że Jarosław Stećko (premier ukraińskiego rządu na emigracji – B.B.) podarował moją książkę Czang-Kai-Szekowi w trakcie podróży po Taiwanie, że cytują mnie antysowieckie rozgłośnie, że ABN (Antybolszewicki Blok Narodów założony z inicjatywy emigracyjnych ugrupowań ukraińskich – B.B.) mnie propaguje, a ja tu mówię o naprawie. Inni nie przyjmowali mojej postawy pewnego kompromisu wobec systemu i tak dalej...

Czyli wciąż szukał Pan komunizmu z ludzką twarzą?

Na początku oczywiście, ale później okazało się, że on takiej akurat twarzy nie posiada, inne owszem.... Inna sprawa, że wyraźnie uświadomiłem sobie bezradność działań, powiedzmy partyzanckich, podziemnych. System był potężny, otaczali nas zewsząd szpiedzy, dysponowano naszym losem i życiem. Uważałem, że trzeba zrezygnować z marzeń o drugiej rewolucji i nastawić się na ciągłą organiczną pracę. Myślałem, że pracując w kulturze, w literaturze mogę więcej zrobić niż w *tiurmie*. Nigdy nie chciałem zajmować się polityką. Próby uczynienia ze mnie symbolu ruchu politycznego na Ukrainie lat 60. wzbudzały we mnie opór. Książka stała się głównie problemem politycznym. Po tym wszystkim chciałem wrócić do swoich poprzednich zajęć, ale udało mi się to dopiero po dziesięciu latach. W latach 1974-1981 pracowałem w kijowskiej fabryce samolotów. Nie sądzę, żeby to, co podpisałem, można było nazwać aktem bezwzględnej lojalności wobec systemu, a jednocześnie istniał dylemat moralny, powiedzmy, że ceną okazały się dwa lata więzienia i tragiczna perspektywa... (...)

Myślę, że kompromis, o którym Pan wspominał, był sprawą oczywistą dla tysięcy inteligentów, a także intelektualistów ukraińskich.

To sprawa i oczywista, i delikatna. Każdy dzień, jeśli człowiek nie był fanatykiem komunistycznym, oznaczał kompromis: zdrowego rozsądku, poczucia realizmu, własnej wartości z tym, co widziało się wokół. Między kompromisem a na przykład upokorzeniem nie było grubej linii. I nie zawsze można było uratować poczucie własnej wartości. Co do mnie, na ile mogę sam osądzić, akurat tego nie utraciłem. Uważałem, że można pójść na kompromis, ale bardziej o charakterze politycznym, a nie moralnym.

Jak Pan ocenia rolę pokolenia lat 60. w powojennej historii? Czy można postawić tezę, że było to pierwsze po wojnie inteligenckie pokolenie, które chciało zmienić system, wymóc na nim również pewien kompromis?

Bezwarunkowo tak. Myślę przy tym, że było to pokolenie wierzące w wartość ideałów tamtego systemu, to znaczy tego, co było pewną utopią, bez żadnych szans realizacji. Kiedyśmy startowali do życia w literaturze, sztuce nikt z nas tego nie wiedział. To pokolenie natarło może z większą siłą na system, a przy tym było bardzo zróżnicowane wewnętrznie po względem postaw. Nie było żadnego manifestu politycznego ani artystycznego, pod którym podpisali by się wszyscy, ale czuło się do pewnego stopnia jedność dążeń, oczekiwań i żądań. Obok fascynacji poezją, dajmy na to Dracza czy Kostenko, były też rozczarowania, ale pozostawały pokoleniowe mity, np. twórczość młodo zmarłego Wasyla Symonenki. Niektórzy identyfikowali się z partią komunistyczną, z komunizmem jak na przykład Borys Olijnyk, oczywiście mówię tu o ważnym twórcy, który mógł wywierać wpływ na ludzi, a nie o przeciętnym zjadaczu chleba, który w ogóle nie podejmował podobnej refleksji. Niektórzy ostro zaatakowani pisali publiczne samokrytyki i dalej robili swoje. Inni, późniejsi, jak Wasyl Stus czy Ihor Kałyneć szli na konfrontację, a potem na długie lata do obozu. Jeszcze inni milkli – jak Worobjow, Hołoborod´ko. I ciekawe, każde z tych skrzydeł miało niemal to samo poczucie granicy kompromisu w sztuce, ale rozumienie politycznego kompromisu było ogromnie zróżnicowane. Ukształtowały się trzy zasadnicze linie: zdeklarowani sprzymierzeńcy systemu, *outsiderzy* i ludzie koegzystujący z systemem oraz ludzie wyklęci, uznani przez system za wrogów.(...)

Dość często w różnych dyskusjach o kulturze, literaturze pada termin „szistdesiatnyctwo". Dziś jakby w znaczeniu pejoratywnym. Czy to oznacza, że działanie ówczesnej inteligencji można z obecnej perspektywy dezawuować, podkpiwać, robić żarty, do których tak skorzy jeszcze niedawno byli poeci spod znaku „Bu-ba-bu"?

Jak pan wie, słowo *szistdesiatnyctwo* stało się terminem, określa ono zjawisko ruchu kulturalnego w latach 60. Dotyczy tak literatury, jak malarstwa, teatru, nawet kina. Oznaczało powrót do źródeł, więc także i do historii, folkloru. Ideą ruchu było więc odnowienie języka literackiego, odkrywanie nowych inspiracji w kulturze, zwłaszcza poprzez powrót do zapomnianych i zabronionych przez reżim osiągnięć ukraińskiej politycznej, naukowej, historycznej, do artystycznej myśli dawniejszych i bliższych (lata 20.) czasów. Również do europejskiej kultury, w tym polskiej. Polskie wydania cieszyły się wielkim popytem i były swojego rodzaju „przekaźnikiem" idei zachodnich. Ogólnie te działania inteligencji ukraińskiej były swoistą formą protestu przeciwko socjalistycznej unifikacji, wynaradawianiu sztuki. Ów pietyzm w podejściu do tradycji, zwłaszcza niekiedy kiczowy folkloryzm, mógł wywoływać w latach późniejszych ironiczne nastawienia, zwłaszcza u części młodszych pisarzy, ale pamiętajmy, że ludzie związani z tym ruchem próbowali ożywić tradycyjny etos inteligencki. (...)

Trudno się dziwić reakcji młodszych pokoleń, które twierdzą, że to pokolenie obsiadło szczyty i właściwie od kilkudziesięciu lat sprawuje swoiste rządy. Nie oszczędza się tutaj również Iwana Dracza i wielu innych. A Pan, ani w starym, ani w nowym podziale władzy nie uczestniczy. Dlaczego?

Przez krótki czas byłem ministrem kultury, w najgorszym dla kultury czasie. I szybko zrezygnowałem, nie mogłem być szyldem dla kryzysu i walki politycznej. Poza tym w ogóle nie mam ambicji politycznych. Mam swoje cele, które wykraczają poza doraźne koniunktury, na przykład stworzenie nowej, napisanej w kraju encyklopedii, pracuję nad historią ukraińskiej kultury. (...)

Czy pośród młodszych są również takie zjawiska, o których można mówić, a się nie mówi lub mówi się mało?

Kiedy pokolenie *szistdesiatnykiw* tak mocno zaznaczyło swoją obecność w kulturze i życiu społecznym, głosząc konieczność przesunięcia granicy kompromisu w stronę władz, te władze pojęły, że nie mogą już na podobne „ekscesy" pozwalać, że liberalizacja była błędem. I następna fala, tak zwana Kijowska Szkoła – Kordun, Worobjow, Hołoborod´ko – została, jak to się mówi, zaduszona. Dołączmy spoza tej grupy słynnych twórców – Stusa, Kałyncia. I faktycznie, gdzieś około kilkunastu lat, albo i więcej, ludzie ci byli pod ścisłym nadzorem cenzury, która zabraniała drukowania ich utworów. Byli oni znani w kołach literackich, ale szerzej nie. I tu już widać brak płynności procesu literackiego, wyrwy z pozoru niezrozumiałe, pojawianie się i znikanie ludzi, stylów artystycznych. Stus dzisiaj stał się ikoną. Ale spora część jego pokolenia, późnych *szistdesiatnykiw* jest nadal znana tylko krytyce literackiej i środowisku, a tacy poeci jak Worobjow, Hołoborod´ko nie są gorsi, wprowadzają wartości w rozpolitykowanej literaturze ukraińskiej potrzebne – wyobraźnię, walory estetyczne, rygor intelektualny.

Ludzie ci wcale nie „pchają" się do przodu. Wciąż pozostają na uboczu. Może nie ma koniunktury na ich twórczość, choć moda na postaci martyrologiczne, takie jak Stus, zdaje się przemijać. A jak reaguje na te zjawiska młoda ukraińska inteligencja?

Przełom polityczny przyspieszył dojrzewanie naszej inteligencji, odsłonił także jej niejednolitość. Nie wiemy jeszcze, w którą stronę pójdzie ten proces, zwłaszcza że panuje kryzys ekonomiczny, czyniący ogromne spustoszenia moralne. Jego skutkiem jest także zanik tradycyjnych stylów życia, fascynacja zachodnią pop-kulturą, a nieraz zwykłą tandetą, erzatzem. Dochodzi tu jeszcze inne zjawisko, groźne na dalszą metę – zanik kryteriów, które pozwoliłyby tym ludziom orientować się w świecie. W pierwszej fazie pokolenie lat 60. było generacją idealistów, potem bunt został zadławiony, przyszedł kompromis, niekiedy konformizm. Istniały jednak kryteria, na przykład w sztuce, tego co dobre, a co złe. Dziś, po orzeźwiającej, ale jednak także pustoszącej strategii destrukcji ugrupowania „Bu-ba-bu", w młodej poezji widać zanik kryteriów. Pojawiło się pokolenie inteligencji nastawione pragmatycznie, pozbawione złudzeń, niekiedy porażone cynizmem, dla którego nie istnieją bariery moralne. Ujawniło się to w literaturze pod hasłem wolności wyrażenia samego siebie. Obawiam się, żeby z takich haseł, postulatów, nie wyłonił się na przykład całkiem realny i niebezpieczny kompromis – wobec cynizmu. W literaturze mamy inwazję brutalności, rozmyte są granice postaw, co oddaje do pewnego stopnia nastroje społeczne po przełomie. Mam wrażenie, że to wszystko jest tymczasowe, że prawdziwa jakość jest dopiero przed nami. Wolność, sztuka pozbawione kryteriów, granic, szybko wyczerpują swoje przesłanie, gubią się w nihilizmie, prowokacjach. Moim zdaniem są one

ściśle powiązane ze świadomym przyjmowaniem ograniczeń. Również bez wyraźnie nakreślonych granic, nie ma w sztuce formowania się osobowości, indywidualności.

Brzmi to pesymistycznie. Czy Pana zdaniem są zjawiska w młodej literaturze, które mają szanse na przyszłość?

Historia uczy ostrożności, niemniej sądzę, że pewna grupa pisarzy, opuszczająca grupę najmłodszych, która ma pewien dorobek, znajdzie swoje miejsce w bliższej lub dalszej przyszłości. W prozie Jewhen Paszkowski, Jurij Andruchowycz, Wołodymyr Kaszka, Wiktor Neborak, Wjaczesław Medwid', Ołeś Ulanenko, bardzo interesujący prozaik Wołodymyr Janenko. A w poezji dojrzale i ciekawie rysuje się dorobek Wasyla Herasymjuka, Ihoria Rymaruka, Tarasa Fediuka. Wśród jeszcze młodszych panuje wiele szumu, krzyku, buńczucznych zapowiedzi – to normalne i dobre zjawisko, niech się burzy... „Bu-ba-bu" dla nich to już tradycja negatywna. Widać jak zaczyna nabierać wagi, rozpędu tamowany i cenzurowany przez tyle lat proces literacki. Mam nadzieję, że rozpoczęło się normalne, choć biedne, życie normalnej literartury w prawie normalnym kraju. Jeśli przetrwamy kryzys, to nasza literatura złapie wielki oddech, jego zapowiedzi są tu i ówdzie widoczne. Cieszy mnie to, że nie można już tego ogarnąć jednym spojrzeniem, ta wielość jest czymś od dawna nie widzianym w literaturze ukraińskiej. Fakt, że ukraińska inteligencja wydobywa się z sowieckiego porażenia jest największą nadzieją....

(1996-97)

[1] Niniejszy wywiad jest fragmentem książki Bogusława Bakuły *Skrzydło Dedala. Szkice i rozmowy o literaturze i kulturze ukraińskiej 1960-1990*, która niebawem ukaże się w poznańskim wydawnictwie WiS.

IWAN DZIUBA (ur. 1931) - mieszka w Kijowie, jest naczelnym redaktorem czasopisma „Suczasnit'" i od 1989 roku prezydentem „Respublikańskiej Asocjacji Ukrajinoznawców". Zadebiutował w 1959 roku książką *»Zwyczajna ludyna« czy miszczanyn?*, następnie wydał prace *Internacjonalizm czy rusyfikacja* (Londyn 1968, wznowione w Kijowie w 1998), *Hrani krystała* (1978), *Na pulsi doby* (1981), *Stefan Zorin w istoriji wirmeńskoji literatury* (1982), *Witczyzna u nas odna* (1984), *Awtohrafy widrodżennia* (1986), *Sadriddin Ajni* (1987) oraz rosyjskojęzyczną monografię T. Szewczenki i najnowszy zbiór artykułów *Miż kultoroju i politykoju* (1998). Jest laureatem nagrody im. O. Biłećkiego za osiągnięcia literaturoznawcze.

Fotografia **Grażna Borowik**

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

zadań, na co wskazuje hasło przyświecające zjazdowi literatów w 1996 roku – *Ojczyzna w niebezpieczeństwie!*

Wydaje się, że dobrego samopoczucia znakomitej większości członków Związku Literatów nie psuje nawet ponura statystyka. Ukraińskiej książce, biorąc pod uwagę tylko łączną ilość rocznego nakładu – po apogeum w 1989 roku (95 mln egz.) – „udało się" spaść w ciągu następnych pięciu lat poniżej danych z 1928 roku, czyli do 21 mln egzemplarzy. W 1996 roku na Ukrainie przypadała jedna nowo wydana książka na osobę (podczas gdy na przykład w Niemczech – dwanaście). Wypada jednak zaznaczyć, że podobnie jak pięćdziesięciomilionowa Ukraina podzielona jest na część rosyjsko- i ukraińskojęzyczną, tak też jedynie połowa z drukowanych ponad sześciu tysięcy tytułów to pozycje po ukraińsku. Z tego (trzy tysiące!) jedynie 912 pozycji to literatura piękna, co daje jedną książkę na dwie wielodzietne rodziny. I znowu – połowa to pozycje ukraińskojęzyczne. Ułatwiając te rachunki podsumuję, że w 1996 roku w 50-milionowym kraju wyszło 345 pozycji literatury pięknej w języku ukraińskim (w tym przekłady i książki dla dzieci). Najnowszych książek autorskich w tej liczbie – około setki. I nie jest to bynajmniej dorobek Związku Pisarzy, jego bowiem 1500 członków zdobyło się dwa lata temu na opublikowanie 30 tytułów beletrystyki i poezji. Z tego połowa to pozycje po rosyjsku, a jedna trzecia dofinansowane wydania autorów emigracyjnych. Słuszne (i trudne do zarejestrowania „z zewnątrz") jest tutaj spostrzeżenie kijowskiego krytyka, Mykoły Riabczuka, że najbardziej pikantny w tym liczbowym skandalu jest fakt, że wojująca o „prawdziwą ukraińskość" publiczność jakby wcale nie zauważyła zniknięcia ukraińskiej książki ze swojego patriotycznego horyzontu i nie znalazł się nikt, kto wymówiłby słowo protestu, a stosunkowo niewielu wysupłało parę hrywni nawet na te pozycje, które dochodzą do księgarń.

Niewielu zapewne zdziwi fakt, że znalazła się w gronie Związkowych literatów grupka „niewiernych", która wiosną 1997 roku opuściła zapiecek i postanowiła stworzyć własne Stowarzyszenie Ukraińskich Pisarzy (AUP). Owe *napółgramotne cyrkowe karły*, które charakteryzuje (wg „Literaturnej Ukrajiny") *tylko brak literackiej i ogólnokulturowej ogłady*, a szerzej – niezrozumienie istoty i zadań literatury wydały pierwszy numer swojego czasopisma „Literatura Plus", które obwieszcza o istnieniu Stowarzyszenia, podaje jego skład i wydawnicze plany. Zdaje się, że – chyba słusznie w tym świetle – nowe stowarzyszenie nie pokusiło się o fundamentalne programy lub manifesty; zamiast tego znajdujemy krótką deklarację redaktora naczelnego, Andrija Bondara: *W czasie, gdy ze stron „Literaturnej Ukrajiny" uporczywie i pilnie – jakby zgodnie ze wskazówkami Platona – wyrzuca się lite-*

CIĄG DALSZY NA STR. 8

SŁOWO: Pamiętamy - *Na początku było Słowo* i *Cała ziemia miała jeden język i jednakowe słowa.* Ale czemu pozbawieni zostaliśmy tej jedności? Odpowiedź daje preswiter I. Mardow, którego pogląd tu przytaczam:

„Potomkowie Noego osiedlili się na równinie i postanowili zbudować wieżę, aby nie rozproszyć się po całej ziemi. Ich działalność była nienaturalna i z założenia stanowiła cel sam w sobie: działanie dla działania, wznoszenie dla wznoszenia. *Nuże, wyrabiajmy cegłę i wypalajmy ją dla wypalania* - oto dosłowny przekład. Bóg widząc to, zrozumiał, że ludzie nie zrezygnują z zamysłu. Czy Bóg ich ukarał?

Najwyższy uratował ludzkość! Bóg wykonał dwa różne działania, które ortodoksi tłumaczą jednym i tym samym słowem - „pomieszał", choć w Biblii są oznaczone innymi słowami. Pierwszy akt - POMIESZANIE, dokonał się, aby nikt nie zrozumiał bliźniego swego, a więc babilońskie przedwsięwzięcie upadło z powodu fundamentalnych zmian w duszy. Druga czynność Boga określona została jako PODMIESZANIE, a nie „pomieszanie"! Co zostało podmieszane? Bóg powiedział: *Przeto zstąpmy tam...* Do kogo to było powiedziane? Do tych, których chrześcijanie nazywają „wybranymi", a Żydzi mówią o nich „sarim". Podmieszał więc Bóg 70 aniołów trzeciego kręgu i stworzył 70 oddzielnych narodów (języki ich pozostały pomieszane) wraz z poczuciem wspólnotowości, życiem pełnym patriotycznego uświadomienia. (...) Tym samym każdy naród może powiedzieć, że jego język był pierwszy. Ściślej, mówienie nam się pomieszało i z tego właśnie powodu nigdy nie będziemy mieli jednego JĘZYKA. Poniższa tablica porównawcza prezentuje dokładne odpowiedniki i jest dowodem, że nawet święty język Biblii można uznać za protoukraiński.

pisownia semicka	znaczenie słowa	odpowiednik ukraiński (w transliteracji łacińskiej)
chochma	„mądrość"	chochma
nhb	„możnowładca"	nachaba
ksp	„srebro"	Kaspijske more
'bt	„ojciec"	bat'ko
mwt	„matka"	maty
plh	„bać się"	połohływyj

OŁEH HUCULAK („Czerwer", nr 3, 1992)

Wirtualna perwersja

Z **JURIJEM ANDRUCHOWYCZEM** rozmawia Ola Hnatiuk

„Krajsler Imperial", nr 6, 1995.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ — *Rysunek* **Olha i Jurka Koch**

Pytanie zabrzmi może trochę paradoksalnie, gdyż do dziś wielu ukraińskich literatów – i starzy, i młodzi – uznaje was „bubabistów"* za burzycieli prawdziwej ukraińskiej tradycji. Mnie natomiast wydaje się, że Twoja twórczość jest na wskroś przesiąknięta ukraińską i europejską tradycją.

– Wszystko zależy od tego, co się rozumie pod pojęciem „prawdziwie ukraińskiej tradycji". Jeśli całą tę tradycję sprowadzić, na przykład do wąsatego oblicza Szewczenki w baraniej czapce lub też do liryki „narodowo-wyzwoleńczej", to rzeczywiście można nas uznać za burzycieli tradycji. Jeśli „prawdziwa ukraińska tradycja" polega na płaczu w niewoli, jeśli przewiduje wyłącznie kalinowo-rzewną sterylność, anachroniczną i fałszywą rustykalność, wodnistą bezbarwność, jeśli istotnie jest taka, jaką nam się przedstawia w podręcznikach szkolnych, ba, nawet uniwersyteckich, to niewątpliwie jesteśmy jej burzycielami. To, czym zajmuję się w tej literaturze od ponad dziesięciu lat, można określić natomiast jako poszukiwanie innej Ukrainy, jakiejś alternatywnej Ukrainy, jakiejś „krainy baroku", albo, powiedzmy, jakiejś niesamowitej, fantastycznej Ukrainy. Można to jednocześnie określić jako poszukiwanie Europy. Należę do tych, dla których szalenie ważne jest dziedzictwo, krajobraz, wyczucie formy. Przypisuję te rzeczy Europie i nie interesuje mnie, czy istotnie Europa jest taka. Ważne, że ja ją tak postrzegam i tworzę z pomocą słów języka ukraińskiego. I tu zapewne krzyżuje się to we mnie, w środku – Ukraina, Europa, tradycja i wszystko inne...

A czym jest to „wszystko inne"?

Wszystko, co stanowi przypomnienie o możliwości innego istnienia, pełnego, jednolitego. Jako Patriarcha „Bu-Ba-Bu", to znaczy osoba na poły duchowna, poszukuję tych przypomnień wszędzie...

A jak się czuje Patriarcha, gdy stał się patriarchą? Kiedy przychodzi uznanie, autorytet, nadchodzą zaproszenia z różnych stron świata?

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. W ogóle jest w tym coś z kuszenia. Jedyne, co, jak mi się wydaje, ratuje – to lekko ironiczne podejście do życia. A także – do pewnego stopnia – alkohol. A poza tym, jak mówisz, mój autorytet na Ukrainie nie jest znowu taki „autorytatywny". Przynajmniej połowę tego, co o mnie piszą, można zaliczyć do tzw. rynsztokowego stylu. Jakoś tak się dziwnie składa, że cokolwiek bym napisał (powieść, esej, przegląd, nawet nekrolog), od razu wywołuje to u któregoś z tych gości palącą potrzebę zaoponowania, napisania polemiki, nie zawsze kompetentnej, ale zawsze gniewnej. Wywołuje to we mnie trochę goryczy. Ale powoli przyzwyczajam się. Mam nadzieję, że te ataki na mnie to po prostu szczególna forma uwielbienia. No i wyszło, że się skarżę na kogoś. Przepraszam.

Jeśli zaś chodzi o „uznanie w różnych stronach świata", to jak na razie – trochę za mocno powiedziane. Pewien kijowski recenzent napisał o mnie coś w tym rodzaju: „No i co z tego, że jest znany w Polsce? To nie takie wielkie znowu osiągnięcie. To tak jakby zwycięstwo drużyny piłkarskiej „Dynamo" Kijów nad jakimiś Duńczykami". Ale ja liczę na to, że w tym roku „Dynamo" wygra z „Barceloną".

– Dlaczego młodzi literaci, że tak powiem, „biją w bęben Bu-Ba-Bu"?

– „Młodzi literaci" – to pokolenie, które przyszło po nas. Na Ukrainie nazywają ich także „dewiatnostnykami" – pokoleniem lat 90. Większość z nich organicznie nie znosi „Bu-Ba-Bu", wyznając swoistą zasadę: „O Bu-Ba-Bu albo źle, albo nic". Walka, czy raczej konkurencja pokoleń, zawsze istniała, jest znakiem tego, co nazywa się „procesem literackim". Młodzi muszą się określić przez konflikt ze starszymi twórcami, najczęściej z bezpośrednio poprzedzającym ich pokoleniem. My, „bubabiści", najbardziej rzucaliśmy się w oczy w naszym pokoleniu, byliśmy najbardziej aktywni, jaskrawi. Broń Boże, nie chciałbym przez to powiedzieć, że byliśmy najlepsi z tego pokolenia. Po prostu najłatwiej było nas zauważyć, i tyle. Dlatego młodsi „napadli" na nas. Nie mogą nam wybaczyć tego, że niebawem miną lata 90. – czyli ich czas – a to do nas przychodzi do tej pory trzy razy więcej publiczności, i to zupełnie zielonej; że studentkom wciąż bardziej podobamy się my, niż każdy z nich z osobna i wszyscy razem... Wykradliśmy im panny, tak to widzę. Rzecz jasna – na poziomie metafory. Myślę, że Freud byłby pomocny przy badaniu tego zjawiska.

Czy na poetę, który w wieku lat trzydziestu przestał pisać wiersze, by zdobyć znacznie większą popularność jako prozaik, w wieku 35-40 lat nie czekają większe pokusy?

Nie porzuciłem pisania wierszy, by „zdobyć uznanie jako prozaik". To zupełnie nie tak. Trudno mi się nawet zgodzić z tym, że „uznanie" dla mnie jako prozaika jest znacznie szersze. Jak znało moją twórczość poetycką koło pięciu tysięcy czytelników, tak i dziś zna. I chyba nie w tym rzecz, lecz w tym, że odczuwam wewnętrzną potrzebę zmiany. Zdaje się, że mam naturę aktora. Zmiana masek jest dla mnie ważniejsza niż same maski. Dlatego pokusy, o które pytasz, będą mi towarzyszyć zawsze i wszędzie. Największą pokusą jest dla mnie dzisiaj przestać pisać w ogóle. Walczę z nią, jak mogę. Inna pokusa to poczuć się „zawodowym pisarzem". Żyję między nimi dwoma.

Mówiono o Iwanie France, że to był pierwszy zawodowy pisarz w literaturze ukraińskiej – to znaczy – żył z honorariów za publikowane utwory i artykuły naukowe. Niedawno obroniłeś doktorat. Co to – *poeta doctus*, trudne warunki życiowe czy przygotowanie do trzeciego etapu „drogi twórczej"?

Myślę, że przede wszystkim przypadek. Ale ponieważ generalnie nic nie dzieje się przypadkiem – dało mi to okazję trochę nacieszyć się cudzymi tekstami, odnaleźć kilka świeżych, jak mi się wydaje, pomysłów, wyjaśnić – przynajmniej sobie – rzeczy powiązane z modernizmem, z Rilkem, Georgem, Eliotem, a najbardziej z Antonyczem. W gruncie rzeczy szukałem odpowiedzi na bardzo osobiste pytanie: dlaczego lubię właśnie tę poezję? A oprócz tego była to kolejna maska, kolejna rola – ot, takiego wykształconego, początkującego naukowca-erudyty w okularach i pod krawatem. Możliwe, że kiedyś przyniesie mi to zarobek na chleb i wino, choć nie daj Boże, rzecz jasna.

Kult poety na Ukrainie – czym jest dla Ciebie? I dlaczego wszystkie Twoje powieści opowiadają o Poecie, a poezje – o nie-poetach, dla których życie jest natchnieniem?

Dziś na Ukrainie dokonuje się wielki przełom – według mnie kult poety przestaje istnieć. Kilka lat temu w przedmowie do tomiku poetyckiego grupy „Nowa Degeneracja" sformułowałem to w następujący sposób: „Ukraińska poezja staje się coraz lepsza – niedługo zupełnie przestaną ją czytać". Mamy dziś do czynienia z totalną pauperyzacją, panują nie idee, a instynkty. Poeta w takim społeczeństwie jest nikim. Nie znają go i nie chcą znać. Nie sądzę, że to źle. Przynajmniej uczciwie. A do tego to „gwarancja prawdziwej swobody twórczej", wybacz mi ten niewesoły żart. We wszystkich moich powieściach pojawia się właśnie taki poeta – „poeta na przełomie", ruchomy obiekt zlumpenizowanej przestrzeni. Jego trajektorie określa przede wszystkim ilość wypitego alkoholu. Błąka się ten mój poeta. Jest dla mnie interesujący właśnie dlatego, że się błąka i nie wiadomo, gdzie się znajdzie jutro. Jeśli chodzi o wiersze, to pisałem je wtedy, kiedy na Ukrainie wierzono jeszcze w poezję. Dlatego też mimo pewnej „łotrzykowatości", są one najczęściej jasne, zorientowane na oś pionową, dobrze się czytają, można je śpiewać... Generalnie w mojej poezji jest strasznie dużo prozy, zaś w prozie strasznie dużo poezji. Niektórzy nazywają to „postmodernizmem".

Twoją ostatnią powieść część krytyków (m.in. Natałka Biłocerkiweć, Marko Pawłyszyn) uznała za wzorcową powieść postmodernistyczną, Ciebie zaś za znakomitego stylistę. I nie więcej. Ale żadnej dyskusji na temat tego utworu nie było. Jesteś rozczarowany?

Przynajmniej nie zdziwiony. Na naszych oczach rodzi się dobra proza, „alternatywna" wobec tradycyjnej ukraińskiej szarzyzny, możliwe, że wartościowsza od moich powieści, pisana tak, że w każdej „rozwiniętej" literaturze stanowiłaby poważną konkurencję. I co? Były jakieś dyskusje? Mam wrażenie, że nasi czołowi krytycy zostali gdzieś tam, w Gorbaczowowskiej „pieriestrojce".

Wydaje mi się, że istotnym mankamentem ukraińskiego życia literackiego jest niechęć krytyków do głębszej analizy. Jeśli jakaś warstwa utworu zadowala krytyka, poprzestaje na niej. O ile w latach 60. krytycy i pisarze uzupełniali się nawzajem, to dziś krytycy w oczywisty sposób nie nadążają za tym, co się dzieje w literaturze. Czy nie miewasz czasem ochoty wyjaśnić, wytłumaczyć, zostać swoim – i nie tylko – impresario?

Czasami nawet się to udaje – jakaś okazjonalna recenzja, wystąpienie na prezentacji itp. Niedawno jednak pojawiła się szansa o wiele poważniejsza. W naszym stanisławowskim kręgu przygotowujemy „encyklopedię aktualnej literatury ukraińskiej". Ten projekt na razie jest jeszcze tajemnicą. Chodzi nam przede wszystkim o sformułowanie jakościowo nowych kryteriów oceny, o inny poziom, inne zorientowanie.

Czy mógłbyś skonkretyzować, o jakie kryteria chodzi?

Nie, nie mogę. Rzecz dotyczy kuchni, ale nie ja jestem jej szefem. Mogę powiedzieć tylko jedno – chodzi o to, by nasi kochani krytycy i utytułowani „znawcy literatury", przekartkowali tę książkę i odłożyli na bok ze słowami „niczewo nie panimaju". Będzie tam sporo mistyfikacji, a zwłaszcza tego materiału wybuchowego, który doprowadza do skandali literackich.

Studium skandalu literackiego dają Twoje powieści. Rozumiem, że starasz się poszerzyć wpływ na proces literacki?

Bo uważam, że za mało się w nim dzieje. Jest nudny, rozwlekły i jakiś taki rozrzedzony. Chciałbym, by było w nim znacznie więcej napięcia intelektualnego lub chociaż moralnego. To przyjdzie z czasem, ale samo nie przyjdzie, więc trzeba prowokować. Za bardzo obawiają się u nas zboczeń, możliwe dlatego mamy totalne zboczenie, ot taką „perwersję", niestety społecznie unormowaną i wręcz kanonizowaną. Literatura ukraińska w większości pozostaje „radziecka", co mnie po prostu wkurza...

Skoro już padło to słowo – „perwersja", to pozwól, że zadam pytanie dotyczące twojego warsztatu twórczego. Paralelizm wątków, symbolicznych znaczeń, polifonia postaci, stylów, idei wydają mi się najważniejsze w konstrukcji powieści *Perwersje*. Ryba, Orfeusz, rytuał pojawiają się w tej czy innej postaci w każdym rozdziale. Zrozumiałe jest dla mnie, że ta trójca jest dla Ciebie jako osobowości pewnym wyznacznikiem. Ale jednocześnie to znak „innej rzeczywistości", rzeczywistości mitu czy w ogólnym sensie – rzeczywistości religijnej. Tak więc chciałabym zapytać, czy paralelizm – rezygnacja z jednoznacznego objaśniania znaków – pojawił się w *Perwersji* celowo, jako nowa zasada w Twojej twórczości, czy narodził się

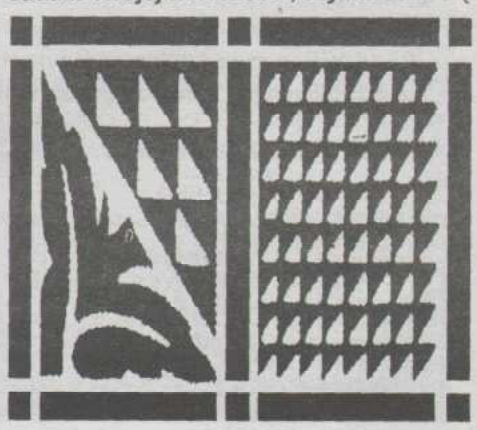

w trakcie pisania, podczas prób oznaczania rzeczywistości?

Odpowiem, łącząc te dwie rzeczy. Jak sama lubisz – nie „albo-albo", lecz „i-i". Z jednej strony rzeczywiście była to nowa zasada. Pisać nie tak, jak była pisana *Moskowiada*. Przeciwstawić temu jednowymiarowemu, czarno-białemu światu coś na tyle odmiennego, na ile to można sobie w ogóle wyobrazić. Charakterystyczne, że wszyscy ci czytelnicy, którzy uważają *Perwersji* za poplątaną, sztuczną i niejasną, zawsze chwalą *Moskowiadę*, którą, jak twierdzą, przeczytali jednym tchem w dwie godziny. Z drugiej jednak strony taka „autometodyka" – paralelizm, polifonia, realnie rzecz biorąc, rodziła się w trakcie pisania i to już nie jako rzecz wymyślona, wzięta z sufitu „nowa zasada", lecz jako prawdziwa konieczność. Chodziło bowiem w istocie o współistnienie rzeczywistości, o nieskończoną liczbę poziomów bytu, o beznadziejne dążenie do tego, by zmieścić w tej księdze „wszystko". Wydaje mi się, że przegrałem pojedynek z tą otchłanią, ale właśnie wówczas, kiedy pisałem *Perwersji*, często, jak nigdy wcześniej, wykonywałem taniec zwycięstwa wokół biurka. Ale to są już zbyt osobiste rzeczy...

Pozwól więc, że zadam Ci jeszcze bardziej osobiste pytanie. Stanisławów, Galicja jest dla Ciebie częścią „globalnej wioski" czy miejscem szczególnym? Co Cię tam trzyma, kiedy inni pędzą do stolicy? Sentyment? Korzenie? Czym jest dla Ciebie świat zewnętrzny – dodatkowym bodźcem? Czym jest dla Ciebie powrót?

W domu trzyma mnie konieczność. Tą koniecznością jest język. Nienawidzę Kijowa przez to, że język ukraiński jest tam jak sparaliżowany. Jeśli bym mieszkał w takim środowisku językowym – nazwę go bez przesady „kryptoukraińskim" – pisałbym znacznie gorzej. Moi kijowscy przyjaciele i znajomi siedzą w swoich kryjówkach i smętnie osuszają flaszki. Dlatego, że otacza ich obcy, rosyjskojęzyczny świat, który nie rozumie ich i nawet nie stara się zrozumieć, jest plebejski i zarozumiały zarazem, na tyle ksenofobiczny, że gotów jest im porozbijać łby za samo używanie ukraińskiego. Stanisławów jest inny. Tu sytuacja językowa jest normalna. Mówię tym samym językiem, co wszyscy. A to już daje nadzieję na zrozumienie. Ale Stanisławów jest zbyt mały, czasami po prostu nieznośnie mały, małostkowy, podły. I co? Dość dużo podróżuję. Łatwo to wyjaśnić: upodobanie do zmian, do różnych krajobrazów, jak już mówiłem. Jakiś psychoanalityk mógłby uznać to za kompensację – za wszystko, czego w tym życiu, mimo całej mojej zachłanności, nie doznaję. Jednakże kulminacją każdej podróży jest dla mnie właśnie powrót. Być może to dla samego powrotu wyruszam w kolejne podróże. I tak to już jest – zaczarowane koło: jechać, wracać, być w domu, być w języku, znowu jechać... Dziękuję za to pytanie.

Dziękuję za rozmowę.

jesień 1997, wirtualna przestrzeń między Stanisławowem i Warszawą
Rozmawiała **Ola Hnatiuk**

* Bu-ba-bu (Burlesk-bałahan-bufonada) – grupa literacka, której członkami są Jurij Andruchowycz, Wiktor Neborak i Ołeksandr Irwaneć. Przypis red.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ (ur. 1960) - mieszka w Stanisławowie, przedstawiciel literackiej grupy „Bu-ba-bu", autor zbiorków poezji *Nebo i płoszczi*, *Seredmistia*, *Ekzotyczni ptachy i rosłyny*. Jako prozaik zadebiutował cyklem opowiadań *Zliwa, de serce* na łamach czasopisma „Prapor" w 1989 roku. Potem wydał powieści *Rekreaciji* (1992), *Moskowiada* (1993), *Perwersiji* (1996). Jest laureatem nagród „Błahowist'" oraz im. Heleny Łapiky. Jego utwory wydawano jako oddzielne książki w Polsce, Niemczech, Szwecji, USA, Rosji.

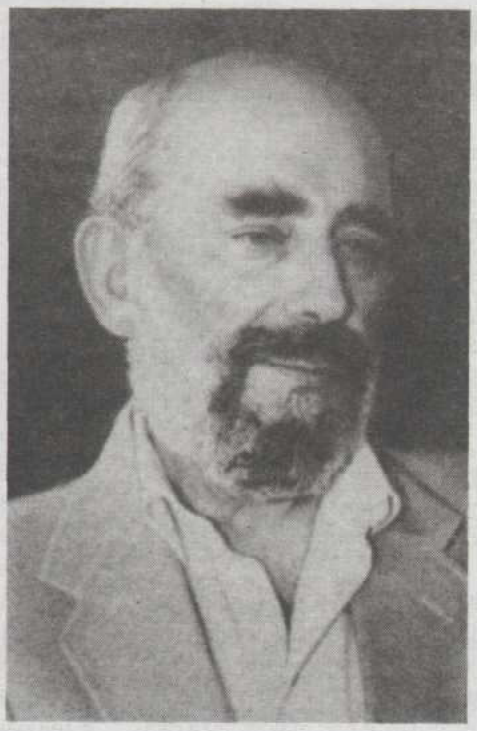

Bohdan **Rubczak**

BOHDAN RUBCZAK (ur. 1935) – poeta klasycyzujący, krytyk i literaturoznawca, profesor Uniwersytetu Illinois. W czasie II wojny światowej wyemigrował do Niemiec, od 1948 roku mieszka w USA. Członek Grupy Nowojorskiej od 1958 roku oraz współtwórca periodyku „Nowi poeziji" (1959-1972, dziś „Switowyd"). Wydał tomiki *Kaminnyj sad* (1956), *Promenysta zrada* (1960),*Diwczyni bez krajiny* (1963) *Osobysta Klio* (1967), *Marenu topyty* (1980) oraz swój pierwszy zbiorek w kraju *Kryło Ikarowe* (1991).

(Ze zbioru *Kaminnyj sad, 1956)*
Tłumaczyła **Agnieszka Korniejenko**

Fotografia **Grażyna Borowik**

ARS POETICA

Pozostać niemy, beznamiętny, niby zawsze zamknięte drzwi.
Pozostać zapomniany, niby stary obelisk w maleńkim miasteczku.
Znać tylko miłość kamienia, nieprzezroczyste kamienne serce,
i w czarno-białych światłocieniach oglądać świat.

Zbyt wiele zielonego, zbyt wiele karminowo-różowego.
Szarotęczowe cienie zagarnęły cię bezlitośnie.
Zbyt wiele niuansów: miłość, cierpienie, tęsknota –
życie przesłoniły mgłą radości i smutków.

Szukać jedynie istoty, jedynie horyzontu istnienia – istoty bytu.
Odczuwać przestrzeń: daleki lot czarnych ptaków,
odczuwać czas: wyraźne rysunki w czarnych jaskiniach,
i słuchem absolutnym ogarnąć swój dzień, poeto.

IMPROWIZACJA PIĘTNASTEGO LISTOPADA

1
Umysł mam dzisiaj pusty, nie znam żadnej pieśni.
Mewy na wietrze wirują jak strzępy starych gazet
w martwej szarości nieba
ponad zgniłozieloną wodą.

Niebo wyzbyte znaczenia:
nie sławi błękitnej obecności Boga,
nie gromi lotnego Szatana.
Jest obojętne i nudne,
jak mętna bezmyślność
szarookiego trupa.

Niezauważalnie nadchodzi,
głucho stukając laską,
ślepy mrok.

Znika ostatnia mewa
i pozostaje pustka.

2
Pustka nie powie w mroku,
że gdzieś istnieją koguty i dżungle,
że gdzieś – koral i morena,
że gdzieś – drogi i pola.
Że gdzieś na zatłoczonych skwerach
dziewczęta sprzedają kwiaty.

Nikogo nie ma w mroku,
mrok niczego nie widzi.

3
Brak wertykalności i horyzontalności, brak
oparcia dla przestrzeni i czasu – przekupnych względności.

Pozostała absolutna realność.

Świadomość wstępuje w wieczność.

W POKOJU STU LUSTER

W pokoju stu luster, w sobie zakochany,
zwielokrotniony w odbiciu widzę siebie. Tylko
w szarym ogrodzie murów, na powierzchni murów moje odbicie

nie może mnie nigdy zdradzić.

Często wdziewam bogate szaty, które
mienią się kolorami na moim ciele
na miniaturowej scenie mojego teatru.
Lecz nagi

biały świat, między krzewami kamiennego ogrodu,
obnaża bajeczną maskę, ubranie zupełnie szarzeje, wygładza
grymas groteski i na nowo
staję się sobą.

GROBY WNUKÓW

To tutaj były groby moich wnuków,
gdzie z tobą, miła, teraz leżę,
jestem – twoim młodym kochankiem.

W zamierzchłych mrokach średniowiecza
pokazałem najmilszej trawę:
tę, która wyrasta z dzieci moich dzieci.

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

raturę, zamieniając (...) to, niegdyś ciekawe i postępowe pismo, na przeciętny, postsowiecki, nomenklaturowo-ideologiczny surogat, na łamach którego nie zajmują się niczym innym poza narzekaniem na kryzys ducha lub czczeniem kolejnego jubileuszu kolejnego „pisarza" lub tworzeniem kolektywnych odezw z okazji wydarzeń politycznych i pouczeń, jak należy kochać Ukrainę, – w takim czasie trzeba wreszcie rozpocząć poważną i rzeczową rozmowę o literaturze. (...) Czasopismo „Literatura Plus", nazwę którego tłumaczyć można rozmaicie (jako literaturę ze znakiem pozytywnym lub jako matematyczną funkcję dodawania do literatury innych sfer kultury, tematów, a także nastrojów) przede wszystkim pragnie otworzyć swoje łamy interesującym i nieprzeciętnym siłom intelektualnym, niezależnie od ich narodowej, partyjnej, grupowej, klasowej, klanowej i organizacyjnej przynależności, siłom, stanowiącym kościec przyszłego, wymarzonego społeczeństwa obywatelskiego, dla którego największą wartością będą osobowości i rozmaitość przekonań, poglądów, idei. Pluralizm i otwarcie – oto dwie podstawowe zasady nowego periodyku, którego głównym tematycznym rdzeniem będzie literatura.[3]

Nowe Stowarzyszenie znalazło się w sytuacji podobnej do tej, w jakiej dziesięć lat temu było Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, z tą różnicą, że cała ukraińska organizacja liczy dziś tylu członków, ilu wtedy zarejestrowano tylko w krakowskim oddziale SPP, czyli nieco ponad stu. Chociaż w większości zachowali oni podwójne (związkowe i stowarzyszeniowe) obywatelstwo, to ich pokajanie się i „nawrócenie" – głównie za sprawą zaistniałych konfliktów – nie wydaje się realne. SPP udało się złamać „zlepowski" monopol – czy uda się to samo młodemu Stowarzyszeniu?

3 W 1990 roku położona w samym centrum Kijowa księgarnia „Poezja" ofiarowywała chętnym niemal wszystkie wydawane pozycje literatury pięknej. W ciągu następnych ośmiu lat dział księgarski najpierw skurczył się o połowę, potem zupełnie zepchnięty został w kąt ogromnego pomieszczenia przez lodówki, pralki, komputery i tanie suweniry, obecnie po księgarni pozostał jedynie szyld. Tylko wtajemniczeni wiedzą dziś, gdzie w trzymilionowej stolicy można zdobyć ukraińskie książki. Przeciętny czytelnik jest przekonany, że literatura *na ukrainskom jazykie* to towar niepełnowartościowy, pod względem artystycznym i tematycznym, że to folklorystyczny kicz rodem z XIX wieku. Wydawnicza mapa kraju przypomina rozsypane wysepki, pomiędzy którymi brak komunikacji – książki ukazujące

CIĄG DALSZY NA STR. 10

TWÓRCA RADZIECKI

Jarosław Pawluk

Po prostu proza

Ja, Rewmirski A. A., przyszedłem na świat o godzinie szóstej rano, w marcu, anonimowo, gdyż zjawiłem się na świecie, za przeproszeniem, dupką do przodu. Lekarze byli przekonani, że się uduszę. No, ale się nie udusiłem. Już wówczas, w owym krytycznym momencie, w pełni przejawiłem cechy swego charakteru. Odniosłem sukces. Nieskończone pokolenia zagadkowych przodków akumulowały energię życiową, która dopomogła mi w odniesieniu sukcesu, i która obecnie pomaga mi odnosić sukcesy w mojej twórczości literackiej.

Tak, jestem radzieckim pisarzem. Tworzę ogromny świat. Współczesny świat ożywa w mej głowie, i od razu znajduje swoje słowo, i swego uważnego, najbardziej postępowego miłośnika...

Tak więc, odpowiadając na Wasze pytanie, powiem, iż wstaję o godzinie dziewiątej nad ranem i od razu zaczynam tworzyć. Przede wszystkim, by stworzyć odpowiedni nastrój i wejść do krainy sztuki, przypominam sobie coś przyjemnego. Zamykam, powiedzmy, oczy, i lecę nad malowniczą osadą pomiędzy jeziorami, nad którymi szybują bociany. Gnam na pastwisko kozę i szczerze cieszę się otaczającą mnie rzeczywistością. Jestem jeszcze mały, lecz potrafię już dostrzec rosę na trawie, podobną kropelkom płynnego srebra. Świat się budzi, przyroda kąpie się w rosach, dusza śpiewa. Widzę te obrazy, i łzy nadbiegają mi do oczu, lecz ja mocno zaciskam zęby, bo sztuka – wymaga dyscypliny.

Zaciskam więc w garści skąpe męskie łzy, otwieram oczy, studiuję widok gór stojący w oknach zacisznego bungalowu, i – piszę pierwsze słowo.

Napisanie pierwszego słowa jest najprostsze. Przychodzi niby samo. Ciężej napisać drugie słowo, jeszcze trudniej – trzecie, lecz później znowu robi się lekko. Jak u sportowca – łapie się drugi oddech.

Piszę więc pierwsze słowo: „Jestem". A ponieważ pisany jest cykl poezji poświęcony walce o pokój, z którym mam wystąpić na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, drugie i trzecie słowo przychodzą jak w bajce: „Jestem za pokojem". A żeby wzbudzić w czytelniku zrozumienie odpowiedzialności za przyszłość Planety, powtarzam tę frazę trzy razy: „Jestem za pokojem! Jestem za pokojem! Jestem za pokojem!"

Czuję, jak serce wypełniają myśli wyłącznie głębokie i strzeliste. Słowa aż proszą się na papier. Ale mnie się nie śpieszy. Podnoszę się zza szerokiego biurka i siadam w fotelu na biegunach, bujam się i obmyślam dalszy bieg myśli. Palę fajkę, długo szukam następnej frazy. Nareszcie, wybieram tę najbardziej udaną: „W trwodze Planeta zamarła."

Podchodzę do stołu, zapisuję myśl i zdecydowanie przerywam pracę. W swej praktyce twórczej wyznaję literacką, a bardziej jeszcze estetyczno-psychologiczną zasadę Ernesta Hemingwaya, który przerywał pracę zawsze, kiedy wiedział, co ma pisać dalej.

Odkładam więc poezję do rana i biorę się za prozę. Obecnie piszę powieść „Echa nad dąbrową". W wydawnictwie „Radiańskyj pyśmennyk" zaplanowano czterdzieści pięć arkuszy autorskich mojej powieści, mającej ukazać się w następnym roku. To blisko tysiąc i sto stron maszynopisu. U znanego artysty, laureata Nagrody im. Szewczenki, zamówiono ilustracje. Wypłacono zadatki. Mój – odpowiadając na Pana pytanie – to blisko dziesięć tysięcy rubli, nie licząc jednorazowej pomocy Funduszu Literackiego ZSRR na czas tworzenia w wysokości dwóch tysięcy rubli. W wypadku porażki twórczej pomoc jednorazowa zostanie anulowana. Tak więc wycofywać się nie ma dokąd, za nami, raczej, przed nami – Moskwa. Powieść jest też w planach „Sowieckiego pisatiela". Prócz tego, jej urywki zaplanowano opublikować w czasopismach. Odpowiadając na Pańskie zapytanie powiem, iż ogólna suma honorarium sięgnie, z pewnością, stu tysięcy rubli.

O czym są „Echa..."? A więc pokrótce. Dojarka Kwiatka Swatko, młoda komsomołka, ukończyła wiejską dziesięciolatkę i poszła pracować na farmie. Wszyscy jej koledzy z klasy rozjechali się po różnych miastach Związku Radzieckiego, wstąpili do techników i na uniwersytety, poszli do fabryk i zakładów, a Kwiatka – szczerze mówiąc, dziwoląg – zdecydowała się poświęcić swoje życie gospodarce rolnej. Istnieje konflikt pomiędzy nią a nieżonatym kierownikiem kołchozu, zakochanym w młodej, nieco ostrej w rozmowie kołchoźnicy. Do tego jeszcze moja Kwiatka pokochała traktorzystę Orka, który niestety oprócz swego żelaznego rumaka nie życzy sobie znać niczego więcej.

Tak oto wygląda linia głównego wątku powieści. Pisząc prozę nie wykorzystuję już niczyich metod twórczych. Wypracowałem swoje własne zasady pisania utworu prozatorskiego, głęboko przekonany, że proza wymaga objętości. Cóż można pokazać, jakie żałosne charaktery zdemaskować na dwustu stronach maszynopisu? Niczego i żadnych. Niczegusieńko. Dlatego też na początek piszę te dwieście stron. Potem zaczynam dopisywać jak Swatko idzie na farmę przez całą wieś. Zimą jedna droga, latem – inna, na wiosnę – jeszcze inna. Szczegółowo opowiadam czytelnikowi, jak wygląda farma, ile krów w zagrodach stoi, jak się wołają, co żują, kiedy wstają i kiedy idą spać. Maluję z rozmachem portret kierownika, ze szczególną zaś wnikliwością portrety każdej dojarki, dziadka-stróża, pastuchów, mieszkańców wsi Kwiatki.

Tak osiągam czterysta stron. Ale to jeszcze zbyt mało, by wyjaśnić tematykę.

I oto wprowadzam do powieści autora. Analogiczny chwyt literacki wykorzystują w swojej pracy moderniści Zachodu, piszący ściśle eksperymentalną prozę. Tomiska opisują najbrutalniejszy odcień ludzkiej natury – akt płciowy! To, co należy robić niezauważalnie, skromnie, cichutko, poddają osądowi czytelnika, podkreślając jeszcze autobiograficzność wydarzeń. Jeden taki odchyleniec (niestety, nie pamiętam, kto) poświęcił dwa arkusze autorskiego tekstu paznokietkom swojej kochanki, paluszkom, należącym nie do kobiety nawet, a do dwunastoletniej dziewczynki! Rzecz po prostu niesłychana!

Jednakże u tych, pożal się Boże, pisarzy, można co nieco zapożyczyć. Tak właśnie robię. Wprowadzam do powieści siebie, czyli autora, który rozczula się, osądza, przepowiada, uściśla, podsumowuje, demaskuje itp., itd. Metoda ta pozwala na dopisanie do powieści trzystu-czterystu stron i powiększenie rękopisu niemal dwukrotnie.

Dalej powiększam objętość za pomocą słownika. Przez całe świadome życie artystyczne prowadzę swój specjalny słownik. Nie widzę, powiedzmy, rąk dojarki. Spokojniutko otwieram swój słownik, znajduję rozdział „Ręce" i dobieram odpowiednie epitety. I ręce kobiece stają przed oczyma, jak żywe. W słowniku rozdziałów całe mnóstwo: „Nogi", „Włosy", „Kapelusze", „Kapelusiki", „Trolejbusy" i inne. Możliwe, że kiedyś opublikuję ten Słownik dla pożytku sztuk pięknych, lecz jeszcze nie teraz. Za wcześnie...

Kiedy uzbiera się tysiąc stron maszynopisu, przerywam pracę i z łatwością wybieram określoną (przez honorarium!) objętość tekstu. To już wyłącznie moja własna metoda. Dumny jestem z tego, że właśnie to, genialne (nie zawaham się użyć tego słowa) podejście do pisania epickiego tekstu odkryła nareszcie literatura radziecka.

...To stało się w nocy na pierwszego sierpnia, kiedy kończyłem swoją drugą powieść „Czysty śpiew siekier o brzasku". Do pełnej objętości tekstu brakowało równo stu dziesięciu stron. Niezwłocznie należało dopisać. Wyjaśnię tu, że na każdej stronie maszynopisu musi znajdować się całkiem określona ilość liter. Tak więc długo męczyłem się, i nie wymyśliłem żadnego słowa. Jakoś wtedy otworzyłem wielkiego Szewczenkę, przeczytałem „Świta" i – o, tajemnico przypadku! – od razu dostukałem na pierwszej stronie powieści wszystkiego jedno zdanie, jedno-jedyne zdanie nominatywne: „Zmierzcha się". Kontekst pozwalał, i dalej – poszedł opis tego, jak zmierzcha się we wsi podczas deszczu. Na drugiej stronie dostukałem, od akapitu oczywiście, jeszcze jedno zdanie. „Traktorzyści zapalili". Na trzeciej: „Spoglądał w niebo". Na czwartej: „Chmurzyło się". Na piątej, na szóstej, na dwieście pierwszej... Pamiętam dziś każde zdanie! Na ostatniej dopisuję: „Znowu świta" i – stawiam trzy kropki.

I powieść, jak w bajce, rozrasta się równo o sto dziesięć stron maszynopisu. Coś fantastycznego!...

No więc. Dzisiaj, po pracy poetyckiej, rozpoczynam dopisywać powieść „Echa nad dąbrową". Po dostukaniu na kolejnych czterdziestu stronach po zdaniu nominatywnym, jem obiad i otwieram swój dziennik (gdzie bądź, na widokowej górze). I zaczynam szukać tematów do zbiorku nowel.

Prawdziwemu pisarzowi wszystkie gatunki muszą się poddawać. Powieść, nowela, dramat, wiersz, poemat, opracowanie krytyczne – wszystko, kompletnie wszystko! Najważniejsze to wierzyć i – pracować.

Krytykowano mnie, że unikam tematyki miejskiej. Nieprawda, towarzysze! Uzbierałem już tematy na cały zbiór nowel o współczesnym mieście. Wychodzę na ulicę i – jest temat. Na przykład taki oto zapis w dzienniku, byście nie nazwali mnie

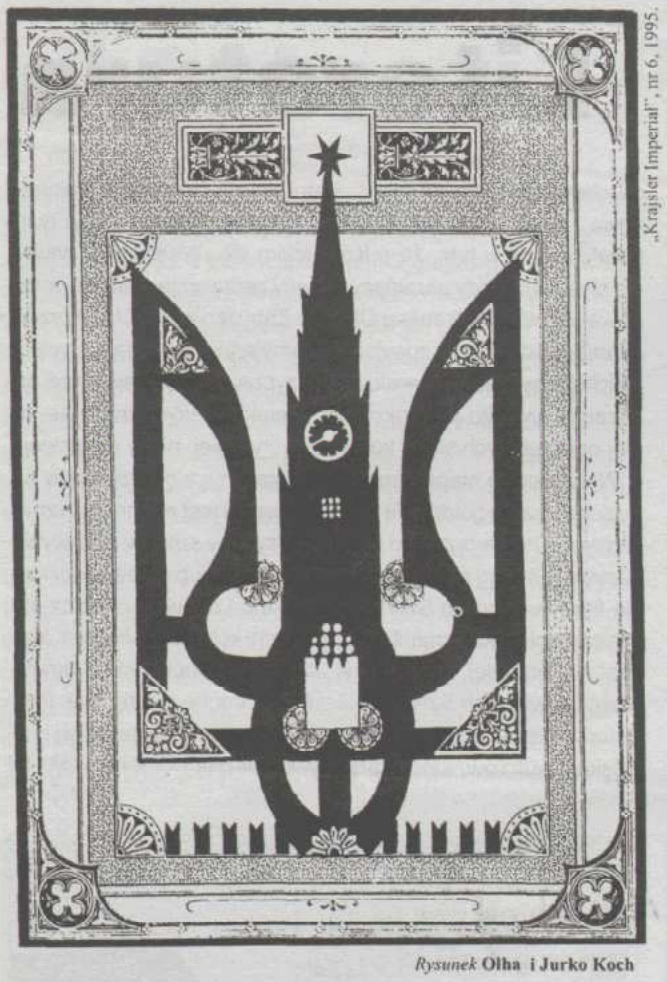

„Krajsler Imperial", nr 6, 1995.

Rysunek **Olha i Jurko Koch**

gołosłownym: „Wczoraj zauważyłem obok przejścia podziemnego portierkę w fioletowym chałacie, starającą się złapać umazanego mazutem psa..." Proszę tylko pomyśleć, jak pięknie można opisać ulicę, wypełnioną nieznajomymi ludźmi, całe złożone, wieloaspektowe życie miasta, a w ten pstrokaty motyw wpleść scenę z pieskiem. W noweli opiszę krótko, dlaczego kobieta przeprowadziła się ze wsi do miasta, pomyślę, skąd w człowieku tak wielka miłość do niemych, czyli do zwierząt. Niestety nowela, w odróżnieniu od powieści, nie potrzebuje szerokiej analizy. („Ciąży nad nami do niemego miłość" – i wiersz wolny też można zastosować). Miłość do pieska pośród budynków ze szkła i betonu – oto główna problematyka noweli. Już ją dostrzegam. Nie wiem, z pewnością wybiorę również i powieść dla tego obiecującego tematu. Czas jeszcze zaczeka. Póki co nie zwracam uwagi na wydawnictwa. Widzę nawet pierwsze zdanie noweli lub powieści: „Samolot zagrzmiał nad głową i Maria Noga jakby po raz pierwszy ujrzała niebo w mieście". No, z tytułem przyjdzie się trochę pomęczyć. Chciałbym wymyśleć coś subtelnego.

Jestem absolutnie przekonany, że nowela ta stanie się ozdobą radzieckiej literatury.

Niedawno... nie, nie spalę tego listu... no więc, jakiś anonim napisał do mnie list, w którym stwierdził, że jestem kompletnym grafomanem, że w moich utworach nie ma nic, prócz pusto brzmiących frazeologizmów, że w moich utworach brakuje tego, od czego rozpoczyna się literatura, tego, czego potrzebuje serce, serce – myślące piórem. Napisał: „U Pana, Szanowny Mistrzu, tam, gdzie powinna być twarz, jest coś całkiem innego. Takie anatomiczne przemieszczenie nastąpiło, gdyż pisarz – to stosunek do swojego sumienia..." I tak dalej, i tak dalej.

Cóż można na to rzec? Mnie ci brodaci Herodzi dawno już obrzydli. Zanadto się z takimi mędrkami cackają. Nie ma dla nich miejsca wśród ludzi radzieckich, budowniczych komunizmu.

Myślę, że mnie Pan zrozumiał. Byłem z Panem szczery, całkowicie szczerze odpowiedziałem, zwłaszcza na Pańskiepytania.

TWÓRCA UKRAIŃSKI

Kateryna Mykołajiwna, nauczycielka historii, w piątej klasie na końcu lekcji dała nam zadanie domowe: wymyślić scenkę z życia wziętego do niewoli chłopczyka-Murzyna... Wieczorem, na dobranoc, długo oglądałem rysunek w książce do historii ogólnej: rzymskie forum, łuki, łaźnie, gigantyczne pomniki na cześć zwycięstw. Czarne chłopczątko artysta przedstawił pomiędzy wynędzniałymi niewolnikami ożywionymi na cudownym rzymskim bruku. Usłyszałem naprawdę odgłos plusku wody w kamiennych fontannach, zobaczyłem ciasne uliczki i tuniki Rzymian. Chłopczyk skrywał się za plecami dorosłych przed wzrokiem piękności o wąskich ustach, wskazującej na niego palcem...

O świcie biegłem przez park do szkoły i wyobrażałem sobie ogromną księgę, którą napiszę o chłopcu, lecz nie Murzynie, czy tam Traku, a o Ukraińcu, porwanym w niewolę przez Tatarów i sprzedanego w Kaffie...

W ten sposób po raz pierwszy ujrzałem siebie jako pisarza. Nie mogę sobie uprzytomnić, dlaczego spadło na mnie to marzenie. Ni ojciec, ni matka – zwyczajni kołchoźnicy – do żadnej tam książki nigdy nie zaglądali. Tylko „Kobzar" samotnie spoczywał na zakurzonej szafie. Ojciec, kiedy wypił, przystawiał taboret, ściągał książkę na podłogę, podnosił i płakał. Mama pamiętała jedynie, by położyć ją na szafie, kiedy mąż zaśnie, nigdy jednak Tarasa Hryhorowycza nie czytała. Wycierała tylko kurz i wzdychała ciężko, wdrapując się na rozklekotany taborecik.

...I oto napisałem swoją pierwszą książkę. Malutką powieść i dramat poetycki. Syzyfowe prace zakończyły się sukcesem. Uchwalono by wydrukować książkę. Byłem w siódmym niebie. Nowe życie śniło mi się po nocach. Wyobraźnia wciąż pracowała, rodziły się oryginalne pomysły, wyszlifowane obrazy aż prosiły się na papier. Ale mnie się nie spieszyło. Czekałem na laur.

Gdy powołano mnie do pracy w wydawnictwie, nagle przyśnił mi się Szewczenko. Ściślej, jedno zdanie z (jak później zrozumiałem) jego najbardziej zagadkowej noweli – „Podróż z zadowoleniem i nie bez morału". („Okna, drzwi, dachy, kominy – wszystko kłóciło się ze sobą, jak baby na targu..."). Pośrodku tej obłąkanej fantasmagorii przechadzał się Taras Hryhorowycz z butelką szampana i poglądał na moją książkę, na której naskakiwały na siebie te wszystkie drzwi, okna, kominy...

Obudziłem się zlany potem, włączyłem brązowy abażur. Umiał uspokajać mnie po takich snach (żona do dziś jest przekonana, że to lampa Antonycza). Otwarłem na ślepo Szewczenkę i przeczytałem pod koniec siódmego rozdziału powieści: „Prochor legońko kriaknuł i jedwa słyszno progoworił: *Nicziewo skazat', smaszna sobaka!*"

Zmroziło mnie po raz drugi tej nocy. Jakoś zawsze trafiały mi się nieszczęścia, kiedy otwierałem Szewczenkę na tekście rosyjskim.

...Przyjechałem do Lwowa. Wydawnictwo zaproponowało zmianę tytułu książki ze „Skrót" na „Groźne niebo", wyrzucić cztery umowne arkusze rękopisu, a do zaplanowanej objętości dopisać opowieść o radzieckich lotnikach. Tak zwany „parowóz".

Wypaliłem na korytarzu papierosa i napisałem oświadczenie, że zabieram rękopis. Jakby na to czekali.

Rękopis paliłem nocą. Piłem wódkę i rzucałem w ogień arkusze. Dopaliłem, dopiłem, w ciemności, po omacku wyciągnąłem z szafy jakąś książkę i zaświeciłem lampę. Trzymałem w rękach Czechowa. Otwarłem ją, znów na ślepo (praktykowałem rytualną bibliomanię) i odczytałem: „...Ukraińcy – naród uparty. Uważają za wspaniałe to, co sami proklamują, i swoje ukraińskie istoty stawiają tak wysoko, że na koniec gardzą nie tylko prawdą artystyczną, ale i zdrowym rozsądkiem".

Znów śnił mi się Szewczenko...

PO PROSTU PROZA

Słońce. Dachy. Asfalt. Zaszczane przejście podziemne. Solidna kobieta w fioletowym chałacie.

– Pieseczku, pieseczku! Ja cię wyczyszczę! Nie uciekaj! – błaga.

Białawy piesek dziwacznej rasy umazał się mazutem.

Kobieta zwolna zbliża się do psa. Kundel nie rusza się. Sapie. Ogląda się przestraszonymi ślepkami. Kobieta stara się narzucić na niego długą pończochę. Uliczny przybłęda znów ucieka. Wybiega na jezdnię. Samochody trąbią przeraźliwie. Przechodnie zatrzymują się. Obserwują pojedynek.

Podjeżdża ciężarowy samochód z czarną budą. Kościsty mężczyzna w kufajce wyskakuje na asfalt. Robi kilka zamaszystych kroków i wprawnym ruchem zarzuca śmierdzącą siatkę na umorusanego psa.

Kobieta podbiega niezgrabnie. Psa właśnie wrzucają do budy.

– To mój pieseczek! – krzyczy kobieta.

Mężczyzna wyszczerza żółte zęby. Kobieta wpycha mu zmięty papierek do kieszeni kufajki. Mężczyzna lezie do budy. Wyrzuca na asfalt czarną sukę z oberwanym uszkiem.

Kobieta coś krzyczy. Samochód rusza. Ogłupiała od szczęścia suka rzuca się w zarośla.

Kobieta podnosi kamień. Rzuca za psem...

1989

Jarosław Pawluk

Tłumaczył **Janusz Szlifiński**

JAROSŁAW PAWLUK - przedstawiciel najmłodszego pokolenia prozaików, prezentowane opowiadanie pochodzi z czasopisma „Kurier Krywbasu" (1997, nr 87-90).

Emma Andijewska

Bajka o wędrowcu

Był sobie kiedyś człowiek, który został wielkim wędrowcem, ponieważ pewnego razu zapragnął dowiedzieć się, dlaczego wszystko jest właśnie takie, jakie jest. Obudził się którejś nocy podczas pełni księżyca, co nigdy dotychczas mu się nie zdarzało i wyjrzał przez okno, aby zobaczyć, dlaczego wokół jest tak jasno. A że w nocy każda rzecz zwija swoje wnętrze, koncentruje się na sobie i nie przeszkadza innym, jak w ciągu dnia, to przyszły podróżnik zobaczył, że księżyc trzyma pełną garść nitek, za które od czasu do czasu pociąga.

– Co robisz? – spytał człowiek księżyca, a ten krzyknął tak, że aż posypały się gwiazdy.

– Przestraszyłeś mnie swoim niedorzecznym pytaniem, bo takie pytania zadają tylko ci, którzy na każdym kroku zastawiają na mnie pułapki. Za mocno szarpnąłem nici, którymi reguluję przypływy i odpływy i spowodowało to potop tam, gdzie nikt się go nie spodziewał. Twoja ciekawość wielu ludzi doprowadziła do zguby. Za ich życie ponoszę tymczasową odpowiedzialność, a ty musisz teraz odpokutować część tego przewinienia, wędrując dopóty, dopóki nie znajdziesz drzwi do wczorajszego dnia. Na progu wczorajszego dnia leży złota gałązka. Musisz mi ją przynieść, abym mógł w jakiś sposób zaradzić złu, które wyrządziłeś swoją ciekawością, tak zgubną dla człowieka.

– Nie chciałem zrobić nic złego!

– Nikt tego nie chce, ale nie można być głupcem. Czyżbyś nie wiedział, że małe przyczyny mogą dać wielkie skutki?

– Oj, niedobrze – zmartwił się człowiek – gdzież ja teraz znajdę te drzwi do wczorajszego dnia.

– One są wszędzie i nigdzie. Jednak musisz je znaleźć, bo inaczej nie tylko mnie, ale i ciebie niebawem dosięgnie śmierć.

Człowiek nie miał wielkiej ochoty porzucać ciepłego łóżka i dachu nad głową, ale nie było innej rady, więc ruszył w świat. Podczas swej długiej podróży odwiedził wiele różnych krajów, wypytał wielu, wielu ludzi, biednych i bogatych, mądrych i głupich, ale nikt nie umiał wskazać mu, gdzie znajdują się drzwi do wczorajszego dnia.

Wreszcie człowiek doszedł do granicy królestwa, gdzie stała straż. Każdemu, kto chciał iść dalej, strażnicy nakazywali zdjąć buty i starannie obwąchiwali jego nogi.

– Jakiż dziwny zwyczaj – nie wytrzymał wędrowiec, z zakłopotaniem wyciągając do strażników porządku swoje zmęczone nogi. – Po co to robicie?

– Tylko po zapachu nóg można poznać, czy człowiek jest dobry, czy zły. Z całego ciała jedynie nogi dotykają ziemi, która unieszkodliwia wszelkie maski i przesłony, a my chronimy naszą krainę przed złoczyńcami.

– Może wiecie w takim razie, gdzie są drzwi do wczorajszego dnia?

– Nie jesteśmy ci do tego potrzebni. Przecież te drzwi ty sam nosisz na własnych kościach.

I rzeczywiście, w tej samej chwili, w której strażnicy to powiedzieli, wędrowiec zauważył, że sińce na kostkach jego własnych nóg, które nabił sobie padając w przepaść na swym długim szlaku, to nie skaleczenia, ale drzwi do wczorajszego dnia, a na ich progu leży złota gałązka.

– Księżycu, księżycu! – zawołał w myśli wędrowiec, machając złotą gałązką, rozsiewającą miękki, łagodny blask. – Oto masz, czego chciałeś.

Ale tym razem księżyc nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko, nie odwracając głowy do wędrowca, a człowiek zauważył, że może teraz z gałązką w ręku wędrować przez widzialne i niewidzialne do samej istoty rzeczy, za którą odsłaniają się niezmierzone równiny Bożego tchnienia.

Emma Andijewska

Tłumaczyła **Katarzyna Kotyńska**

EMMA ANDIJEWSKA (ur. 1933) – emigracyjna poetka, pisarka i malarka tworząca w konwencji surrealizmu. Od 1943 roku mieszkała najpierw we Francji i USA, obecnie w Niemczech. Zadebiutowała w 1951 roku zbiorkiem *Poeziji*, następnie wydała jedenaście innych tomików, m. in. *Spokusy swiaatoho Antonija*, *Wigiliji* i *Architekturni ansambliji*. Jest autorką powieści *Tyhry*, *Dżalapita*, *Herostraty* , *Roman pro dobru liudynu*, i *Roman pro liudśke pryznaczennia*. Prezentowana nowelka pochodzi z czasopisma „Switowyd" (nr. 3, 1994).

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

się w Tarnopolu nieznane są w Odessie, lwowskie wydania rzadko trafiają do Kijowa, Użhorod nie ma pojęcia o wydawniczych przedsięwzięciach Charkowa, więc próba zakupu tytułu coraz częściej przypomina polowanie. Jedyna księgarnia, która stara się regularnie zamawiać przynajmniej podstawowe pozycje i dba o sprowadzanie wznowień i nowości, znajduje się... przy ul. Kanoniczej w Krakowie. Wszystkie znane mi wielotomowe słowniki i encyklopedie, jakie ukazały się w ostatnim dziesięcioleciu, zakończyły swoją egzystencję w okolicach litery „K" lub „M" (czy z powodu wymierania redakcji?), za to każdy z jedenastu tomów podstawowego dla każdego tłumacza i ukrainisty *Słownika języka ukraińskiego* z lat 70., wydano w innym nakładzie, uniemożliwiając tym samym skompletowanie całości. Bibliofile zalecają więc zakup w antykwariacie tego, co jest, i uzupełnianie bibliotek najpierw drogą wymiany, a następnie przemytu, ponieważ, jak dotąd, wywóz tego typu pozycji z Ukrainy jest zabroniony.

W tym kontekście dodam, że żaden z pisarzy nie utrzymuje się wyłącznie z honorariów, ponieważ ani czasopisma, ani wydawnictwa ich po prostu nie płacą. Żadna wydana w ostatnich latach ukraińska książka nie zarobiłaby na siebie bez dotacji. Żadna też księgarnia nie przyjmuje ukraińskich książek bez narzucania marży, co skazuje wydawnictwa na balansowanie na granicy opłacalności. Ukraińska literatura funkcjonuje więc we własnym kraju w granicach gett (lub, jak mówi Riabczuk, jak literatura o statusie „quasi-emigracyjnym"), których istnienie warunkują surowe prawa rynku i popyt. Pozostaje pytanie, jak funkcjonuje w tym rosyjskojęzycznym morzu ukraińska inteligencja? Czy także na prawach getta?

Jest i jasny akcent na tym ciemnym horyzoncie – wciąż ukazują się czasopisma i to głównie z ich pomocy korzystają autorzy. Pochwalę w tym miejscu „Kurier Krywbasu" z dalekiej Wschodniej Ukrainy, którego polityka wydawnicza może stanowić zagadkę, podobnie jak fakt, że jest jedynym finansowo samowystarczalnym almanachem. Warto wspomnieć przeniknięte galicyjskim duchem lwowskie czasopismo „Ji" (niewtajemniczonym wyjaśnię, że dziwny tytuł, w oryginale „i" z dwiema kropkami, to najbardziej ukraińska z cyrylickich liter), którego ostatni monograficzny numer poświęcony jest kulturze austriackiej (na tych samych łamach ukazały się też przekłady prozy Brunona Schulza). Pojawił się politologiczny kwartalnik „Duch i litera", w którego Radzie Naukowej znajdziemy nazwisko Adama Michnika. Dość regularnie ukazuje się „Switowyd", który corocznie funduje własne nagrody literackie. Niepokonane pierwsze miejsce nadal zajmuje kijowska „Suczasnist'", z którą od jakiegoś czasu skutecznie konkuruje „Krytyka". O ile pierwsza zaprezentowała najważniejsze w ostatnich latach teksty artystyczne i krytyczne, to druga zawdzięcza swoje powodzenie atrakcyjnej dla czytelnika formule polemicznej, jaką przyjęli jej redaktorzy i, co tu dużo ukrywać, faktowi, że na jej łamach mówi się głośno o tym, o czym szepcze się po „salonach". Nigdy nie dość komplementów

CIĄG DALSZY NA STR. 11

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

blem nie tyle zewnętrzny, co wewnętrzny. Czynnik zewnętrzny jedynie do pewnego stopnia go zaostrza, gdyż ukraiński rynek wydawniczy, informacyjny i w ogóle kulturalny jest dzisiaj w przeważającej większości jedynie prowincjonalną częścią rynku „ogólnorosyjskiego" (ze swoją, wciąż większą co prawda, miejscową odrębnością).

To co pisze się o ukraińskiej kulturze w rosyjskojęzycznych publikacjach z Moskwy w zasadzie nie różni się od tego, co pisze się o niej w rosyjskojęzycznych publikacjach w Kijowie. Nierzadko powtarzają się nawet autorzy: Łada Fedorowska na przykład mieszka w Chersonie i jest członkiem Związku Pisarzy Ukrainy. W rzeczywistości istnieje szeroki krąg kolonialnej, lub, nazywając rzeczy po imieniu, „kreolskiej" krytyki, posiadającej skrajnie powierzchowne, przybliżone, a zwłaszcza – pełne uprzedzeń wyobrażenie o kulturze tubylców, zmierzającej w głównej mierze do tego, by uprzedzenie to wszystkimi możliwymi środkami zwiększyć.

Do charakterystycznych cech takiej krytyki należą styl felietonowy, parodyjno-prześmiewcze przekazywanie tekstu (środek konieczny do zniszczenia każdego, choćby największego utworu), niekompetencja (powierzchowne widzenie tekstu) łączące się z całkowitym niedostrzeganiem, niezrozumieniem kontekstu, istniejących w nim różnorodnych, wielopłaszczyznowych związków; nieznajomość tę rekompensują argumenty typu „a ja sam jestem na wpół tubylcem" lub „moja babcia była Indianką"), oraz – pretensjonalność, zarozumiałość, i, jak już powiedziano – ksenofobia, przejawiająca się albo w powierzchownie-pobłażliwej „życzliwości" cywilizatora względem zdolnego dzikusa (taka kostka cukru dla niedźwiedzia na rowerze), albo – częściej – w złośliwym wykrzywianiu języka ukraińskiego lub zawieszaniu obraźliwych etykietek na wszystkich „nacjonalno ozaboczienych", czyli niezrusyfikowanych, Ukraińcach.

Krytyka taka wcale nie jest jakąś „antyukraińską dywersją" kierowaną z Moskwy ani też podstępem „piątej kolumny", jak twierdzą szczególnie zacięci ukraińscy patrioci. Jest to w głównej mierze zjawisko lokalne, kolonialno-kreolskie, odpowiadające przede wszystkim na miejscowe, a nie jakieś „zagraniczne" zapotrzebowanie: przekonania „zrusyfikowanych chochołów", że żadnej mniej lub bardziej wartościowej kultury ukraińskiej nie było, nie ma, i wątpliwe, czy kiedykolwiek będzie, nie ma więc co żałować jej zniknięcia, czy chociażby własnego od niej odłączenia. W pewnym sensie krytyka taka spełnia rolę terapii społecznej – łagodzi społeczne neurozy i przywraca komfort psychiczny małorosyjskiemu obywatelowi, mówiąc mu dokładnie to, co on sam chciałby usłyszeć.

W istocie, tak jak i sto lat temu, kultura ukraińska żyje w warunkach „społecznej zimnej wojny", czy, mówiąc dokładniej, wojny dwóch dyskursów – kolonialnego i antykolonialnego. Tylko że sto lat temu dyskurs kolonialny był zazwyczaj imperialny, „ogólnoruski", a obecnie jest zjawiskiem przeważnie miejscowym, „kreolskim". Jednak i wówczas, i dziś kultura ukraińska musi przekonywać wszystkich dokoła jak i samą siebie, że istnieje, że ma swoje osiągnięcia i zasługuje na los lepszy, niż tylko dostarczanie egzotyki literaturze rosyjskiej lub polskiej.

Kuriozalność tego typu przekonywania polega na tym, że nikomu, kto zna literaturę ukraińską, takie argumenty nie są potrzebne: jej obiektywna wartość i niezbędność jest sprawą oczywistą. Do tych natomiast, którzy jej nie znają, a jest to większość rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy – połowa ludności! – podobne argumenty nie przemawiają, pojawiają się bowiem na innej, niedostępnej dla nich, częstotliwości.

Tak więc dialog społeczny na Ukrainie nie istnieje. Ukraińsko- i rosyjskojęzyczne społeczności żyją niby w dwóch alternatywnych światach ze swoimi własnymi zdobyczami kulturalnymi i także swoimi, w dużym stopniu zmitologizowanymi, wzajemnymi wyobrażeniami. Każdy z nich uważa swój świat za „Ukrainę prawdziwą", przeciwstawiając go „fałszywej" Ukrainie demonizowanych „zapadienców", „banderowców", „nacjonalistów" z jednej, czy też „wschodniaków", „małorusów", „przechrztów" – z drugiej strony. Problematyczność, brak możliwości powstania dialogu społecznego odczuwana jest nawet przez liberalną inteligencję, zwłaszcza wówczas, kiedy mowa jest nie o polityce czy ekonomii, lecz o języku i kulturze. Wystarczy przejrzeć wydawnictwa dwujęzyczne, starające się konsekwentnie realizować na swoich łamach ideę dialogu, aby przekonać się, iż bliskość i wzajemna zrozumiałość języków ukraińskiego i rosyjskiego wcale nie są czynnikiem sprzyjającym pojawieniu się wspólnego dyskursu kulturowego.

Ten brak równowagi świadczy o zasadniczej odmienności kodów kulturalnych, którymi posługują się autorzy ukraińsko- i rosyjskojęzyczni. Podczas gdy dla tych pierwszych najbliższą, powiedzmy, paralelą dla *Moskowiady* Jurija Andruchowycza jest *Mała Apokalipsa* Tadeusza Konwickiego (opublikował ją „Wseswit" z 1991 r. w przekładzie tego samego Andruchowycza), dla drugich – naturalnymi są wpływy Bułchakowa i Benedykta Jerofiejewa (rzecz oczywiście nie w tych paralelach, a w tym, że o Konwickim we „Wseswicie" nawet nie słyszeli). Kiedy ukraińscy krytycy zestawiają *Badania terenowe ukraińskiego seksu* Oksany Zabużko z *Strachem przed lataniem* Eryki Jong, rosyjscy krytycy znów szukają wpływów jakichś rosyjskich autorek, nie przypuszczając nawet, że na Ukrainie wyrosło już pokolenie intelektualistów, znacznie lepiej orientujących się w kulturze zachodniej, niż w rosyjskiej.

Literatura

Wszystkie te nieporozumienia pojawiają się oczywiście na poziomie szczegółów, ale każdy szczegół jest elementem znaczącym. Oto na przykład rosyjskojęzyczny autor w zachwycie nazywa rosyjską pop-gwiazdę „naszą Ałłą", lub określa radzieckie filmy wojenne o Sztirlicu jako „kino krajowe", chociaż dla większości jego ukraińskojęzycznych kolegów Ałła jest „naszą" nie bardziej, niż Michael Jackson, a mówienie o „krajowości" sowieckich Sztirliców jest nawet trochę niezręczne. Inna autorka pisząc reportaż o Wenecji, wymienia zachodnich i rosyjskich autorów, którzy przebywali w niej i coś napisali. Ni

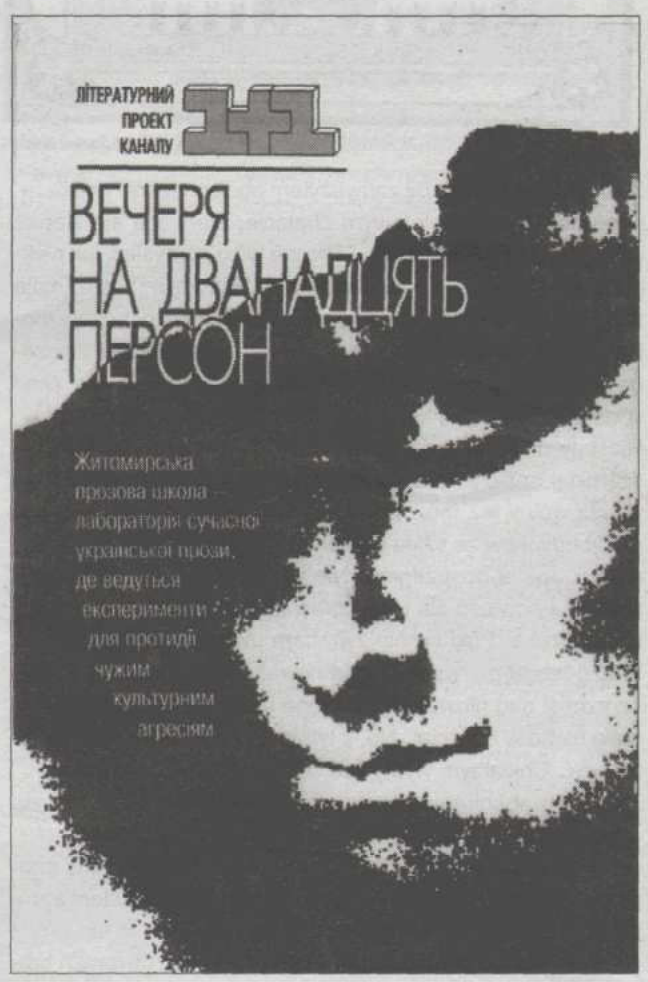

słowem nie wspomina oczywiście o *Perwersji* Andruchowycza, żyje bowiem w świecie, gdzie nie ma ani *Perwersji*, ani Andruchowycza, nie wspomina w ogóle o literaturze ukraińskiej (chociaż mówiąc o pożarze weneckiej opery *Perwersji* przemilczeć nie można: w ukraińskiej powieści tragedia ta przewidziana została rok wcześniej, nim rzeczywiście nastąpiła). Inny jeszcze autor recenzuje *performance*, zorganizowany przez ukraińskiego poetę i pokazany w telewizji. *Performance* nie podoba mu się, lecz nie w tym rzecz. Opisuje on jego twórcę jako prowincjonalnego grafomana, nieudacznika, „szympansa z kijem w garści" (dosłownie), choć mowa jest o pierwszorzędnym ukraińskim poecie Konstantynie Moskalcu. Symptomatyczna głuchota recenzenta na ukraińskie wiersze łączy się tu z równie symptomatyczną głuchotą na nazwisko: on po prostu nigdy o nim nie słyszał, Moskaleć to dla niego taki sam „nikt", jak i Irwaneć dla Łady Fedorowskiej, choć obiektywnie rzecz biorąc podobna formuła powinna brzmieć również: „jakiś Prigow", „jakiś Rubinstein", „jakiś Pieliewin".

Wszystkie te drobnostki można sprowadzić do jednego uogólnienia: autorzy rosyjskojęzyczni nie znają (lub prawie nie znają) kodu kulturowego swoich ukraińskojęzycznych kolegów, podczas gdy ci ostatni znają kulturę rosyjską i jej kod dość dobrze. Dialog więc nie istnieje, ponieważ współrozmówcy zajmują odmienne, wzajemnie nie przystające do siebie stanowiska.

To nieprzystawanie czy, mówiąc współcześnie, niekompatybilność dwóch, bliskich zdawałoby się kultur, jest naturalnym rezultatem ich wieloletnich nierównoprawnych stosunków. Wziąwszy na siebie półtora wieku temu zadanie głównego, jeśli nie jedynego wyraziciela i twórcy nowej ukraińskiej tożsamości, literatura ukraińska sama sobie wyznaczyła rolę ob-

oblężonej twierdzy

lężonej twierdzy. Poważyła się bowiem wkroczyć na terytorium, wejść do wspólnoty etnicznej, którą literatura rosyjska od dawna uważała za własną. Konfrontacja była nieunikniona: jako pierwsza na zuchwalstwo Małorusinów rosyjska krytyka zareagowała w osobie Bielińskiego: „Małoruś nigdy nie była państwem, w związku z tym i historii, w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie miała... Historia Małorosji to boczny nurt, wpadający do wielkiej rzeki historii rosyjskiej. Małorusini zawsze byli plemieniem, nigdy nie będąc narodem... Język małorosyjski rzeczywiście istniał w czasach samodzielności Małorosji, istnieje również obecnie – w pamiątkach ludowej poezji tamtych sławnych czasów. To jednak jeszcze nie oznacza, iż Małorosjanie posiadali literaturę: poezja ludowa nie tworzy jeszcze literatury... Zazwyczaj tworzy się dla odbiorcy, a jako pod tym terminem rozumiemy klasę społeczeństwa, dla której czytanie jest rodzajem ciągłego zajęcia, jest pewnego rodzaju koniecznością. Dlatego do grupy odbiorców zaliczyć można i dworskiego dziedzica, i – jeśli chcecie – chłopka. Lecz, mimo wszystko, będzie on wyjątkiem: zazwyczaj

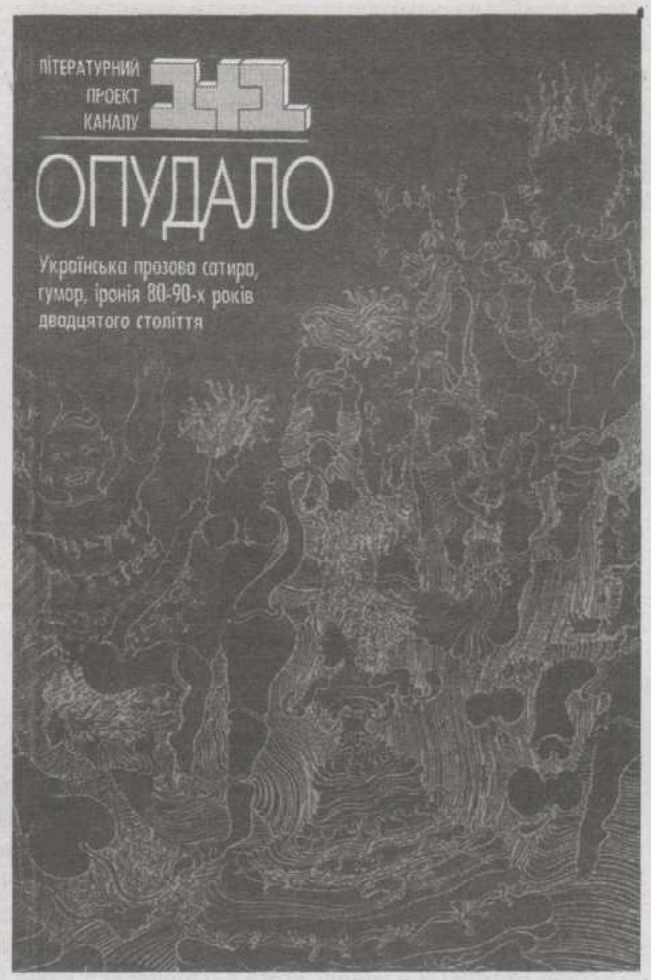

odbiorcami są ludzie należący do wyższych, wykształconych warstw społeczeństwa... Szkoda by było, gdyby malutki dar talentu stracił swoje siły, pisząc po małorosyjsku – dla małorosyjskich wieśniaków... Zaprawdę piękna to literatura oddychająca jedynie prostactwem wiejskiego języka i tępotą chłopskiego umysłu!"

Wkrótce zareagowała zaś i carska ochrana, rozprawiwszy się z członkami Bractwa Cyrylo-Metodiańskiego tak, jak z niebezpiecznymi spiskowcami politycznymi, choć byli oni jedynie członkami całkiem niewinnej (lecz przecież – ukraińskiej!) grupy literackiej.

W ten sposób na półtora wieku ustalono podstawowe parametry, a właściwie ograniczenia, w których wypadło rozwijać się współczesnej ukraińskiej literaturze. Były więc, z jednej strony, ciągłe represje, zakazy, czystki, policyjne i administracyjne prześladowania, ucisk polityczny, z drugiej zaś – nacisk kulturalny czy, właściwie, propagandowy: wyśmiewanie „chochoła", jego mowy, kultury, jego marginalności i wypierania go przez kulturę panującą, „nowoczesną". Obok tego podwójnego nacisku politycznego i kulturalnego ważną rolę odgrywał i trzeci niesprzyjający czynnik, celnie (choć złośliwie) określony przez W. Bielińskiego: brak „wyższych, oświeconych warstw społeczeństwa", a więc i wymuszone zdeterminowanie ukraińskiej twórczości przez „małorosyjskich chłopów", ich ograniczone, jak na współczesny, zurbanizowany świat, zasoby językowo-pojęciowe.

Na każdy z tych problemów literatura ukraińska odpowiadała w sposób dwojaki. Straszliwy, zwłaszcza sowiecki ucisk polityczny, zrodził ogromną masę nijakiej, serwilistycznej twórczości, której jedynym usprawiedliwieniem (samousprawiedliwieniem) jest dziś teza, że literatura ta stanowiła, mimo wszystko, jakąś oazę w warunkach totalnego wyniszczenia. Co więcej, w owej serwilistycznej twórczości pojawiały się ślady oporu, przemycano heretyckie myśli, rodziło się dysydenctwo, które było właśnie tą drugą odpowiedzią literatury ukraińskiej na polityczną niewolę – przede wszystkim w postaci podziemnych, emigracyjnych i więziennych tekstów.

Równie dwojaka była odpowiedź literatury ukraińskiej na panujący „kolonialny" dyskurs rosyjskiej kultury. Piśmiennictwo serwilistyczne pokornie przyjmowało narzucony mu obraz „młodszego brata", takiego sobie Piętaszka przy boku Robinsona Crusoe, choć niektórzy starali się przy tym grać rolę chytrego Sancho Pansy, a nawet Józefa Szwejka. Literatura sprzeciwu tworzyła w odpowiedzi własne antyrosyjskie stereotypy i własne, nacjonalistyczne mity.

Najbardziej złożona była odpowiedź literatury ukraińskiej na problem społecznej „niepełności" ukraińskiego (ukraińskojęzycznego) świata, jego przeważającej rustykalności i pozamiejskości. „Bardziej cywilizowane", „bardziej nowoczesne" życie miejskie było w 90 % rosyjskojęzyczne. Świat ukraińskojęzyczny w miastach ograniczał się do prywatnych mieszkań nielicznych ukraińskich inteligentów lub karykaturalnego *surżyku* miejskiego marginesu – zdezorientowanych przybyszów z wiejskiego „trzeciego świata", w panice przyswajających sobie język, zwyczaje i ukrainofobiczne stereotypy „elit". Kultura ukraińska odpowiedziała na ten problem ideologią „narodnictwa" – pstrokatą i niejednorodną mieszaniną racjonalnej, pragmatycznej orientacji na kulturalno-oświatową pracę wśród ludu, typową dla narodów wschodnioeuropejskich inspiracją „przebudzenia narodowego", oraz z drugiej strony zupełnie romantyczną utopijną tegoż ludu idealizacją. Co zrozumiałe, w chwilach słabnięcia ucisku politycznego na pierwszy plan wysuwała się orientacja pragmatyczna, oświeceniowa, „narodotwórcza". W momencie nasilania się represji – uwypuklała się mitotwórcza strona narodnictwa. Ukraińska inteligencja uciekała w wymyślony przez siebie świat, dowcipnie określony przez jednego z emigracyjnych publicystów jako „literacka Ukraina" (aluzja do nazwy czasopisma, ciągle jeszcze wydawanego przez Ukraiński Związek Pisarzy).

Alternatywa dla „narodnictwa" w postaci modernizmu pojawiła się na przełomie stuleci, w rzeczywistości jednak ukształtowała się w latach 20., kiedy nastąpiła swego rodzaju ukrainizacja życia miejskiego, a zatem rozszerzeniu uległa społeczna baza ukraińskiego modernizmu, „nowej sztuki", nazywanej niekiedy eufemistycznie, w duchu ówczesnych konwencji, „proletariacką" – będącej przeciwwagą nie tylko dla „burżuazyjnej" ale i „wiejskiej", a więc tradycyjnej, czyli – narodnickiej. Alternatywę tę jednak w dobie stalinizmu całkowicie

CIĄG DALSZY NA STR. 12

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

CIĄG DALSZY ZE STR. 10

dla redaktorów „Krytyki", bo wypełniła ona miejsce zaniedbane przez inne czasopisma – diagnoz, recenzji i komentarzy wydarzeń kulturalnych i wydawniczych pisanych „na gorąco".

Po erupcji poezji na początku lat 90. przyszła kolej na prozę – w ubiegłym roku ukazały się aż cztery antologie, do czego dodać trzeba i piątą: monograficzny numer „Kuriera Krywbasu" (z niego pochodzi duża część publikowanych tutaj opowiadań), a jeśli cofnąć się następne trzy lata, to i szóstą – „Teksty" wydane w kijowskim „Smołoskypie". Mamy więc opowiadania satyryczno-ironiczne zebrane w tomie *Opudało*, nowelistykę w tomie *Kwiti w temnij kimnati*, dorobek pisarzy Żytomierza, którzy ogłosili się przy okazji „szkołą", wydany w tomie *Weczeria na dwanadciat' person* oraz antologię poezji i prozy *Imennyk*, która chciałaby stać się manifestem pokolenia lat 90. zgodnie z ukraińską tradycją ogłaszania się raz na dziesięć lat nową, absolutnie różną od poprzedników generacją. Nawiasem mówiąc, ukraiński proces literacki w ostatnich trzech dziesięcioleciach przemienił się w szalenie zatłoczony kawałek rzeczywistości, gdyż po wyraźnych generacjach lat 20./30. i 60., które skonsolidował tragiczny los i fakt, że stały się ofiarami politycznych represji, przyszli cisi literaci epoki Breżniewa, bez łączącego ich wyraźnego przeżycia pokoleniowego, następnie debiutanci lat 80., którzy ani pod względem poetyki ani daty urodzenia nie mają ze sobą nic wspólnego (choć wszystkich wepchnięto do emigracyjnej antologii „Wisimdesiatnyky").

Dziś mamy młodych lat 90., którzy – jak delaruje redaktor antologii *Imennyk*, Andrij Kokotiucha – są pierwszymi, którzy z racji wieku nigdy nie musieli zmagać się z ideologią i – tak dziewiczy – *tworzą podwaliny współczesnej literatury od zera*. Potwiedza tę potrzebę odrębności również najnowsza antologia poezji, która już przez swój tytuł *Dewiatdesiatnyky* (w opisowym tłumaczeniu – *Pokolenie lat 90.*) manifestuje odrębność „nowego" od „starego". A „stare" to grupa pisarzy dziś prawie czterdziestoletnich, którzy z rzeczywistością (politycznego i ideologicznego) przełomu lat 80. i 90. poradzili sobie na sposób prześmiewczy, parodystyczny i ironiczny. Wystarczy dodać, że ich patronem stał się Michaił Bachtin, a karnawał – sposobem uprawiania sztuki – bo nie chodziło jedynie o pisanie wierszy, ale także o prowokowanie publiczności w ramach rozmaitych widowisk poetycko-muzycznych, instalacji, happeningów. Bohaterem pierwszej połowy lat 90. stała się grupa „Bu-ba-bu", przeciwko której występują dziś najmłodsi, zarzucając jej odejście od Słowa i sprowadzenie poezji do poziomu wydarzeń ulicznych. Nie zmienia

CIĄG DALSZY NA STR. 12

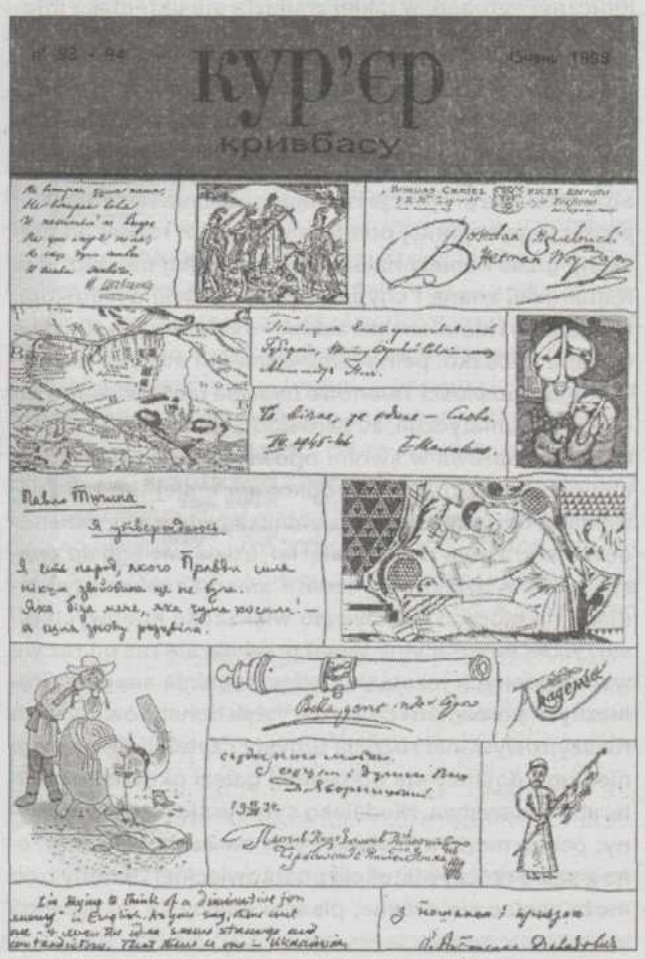

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

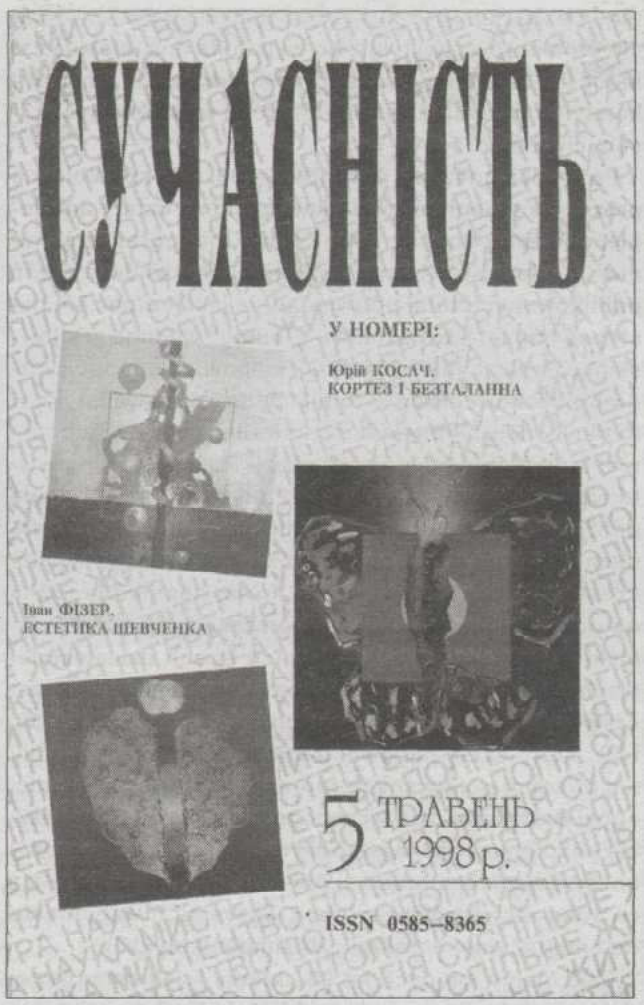

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

to jednak faktu, że – przynajmniej z polskiej perspektywy – formuła „Bu-ba-bistów" zdaje się o wiele wyraźniejsza i wiarygodniejsza od pokrzykiwań „dewiatdesiatnyków", ale pewnie o pozostaniu w literaturze nie zadecydują deklaracje i manifesty, lecz jak zawsze talent pisarza.

Spośród prozaików prezentowanych na łamach ukraińskiego numeru „Dekady Literackiej" na szczególną uwagę zasługuje Wołodymyr Dibrowa (ur. 1951) i jego znakomite opowiadanie *Urodziny*. Dibrowa na stałe mieszka w Bostonie, i jest autorem czterech książek: *Teksty z nazwamy i bez nazw*, *Pisni Bitlz*, *Pentameron* i *Budryk*. Przedstawicielem tego samego – jak powiedzieliby „młodzi" – starszego pokolenia jest także Mykoła Riabczuk (ur. 1953), mniej znany jako prozaik, bardziej – jako krytyk i redaktor najpierw „Suczasnosti", teraz „Krytyki". W „Dekadzie" występuje w obu rolach – jako autor opowiadania *W ciemnym oknie na ciemnym tle* oraz jako komentator językowej i psychologicznej sytuacji, w jakiej znalazła się ukraińska inteligencja dziasiaj. Analizy to tym bardziej cenne, że dokonywane z samego środka literackiej zawieruchy, z Kijowa i choć nie pozbawione wigoru, to do pewnego stopnia bezstronne.

Zabrakło w naszym numerze pań, co w jakiejś mierze odzwierciadla proporcje istniejące obecnie w ukraińskiej prozie (przynajmniej pod tym względem różnej od polskiej), gdzie kobiety należą do znakomitej mniejszości. Najbardziej znaną i chyba uznaną – dzięki dyskusjom, skandalom i kłótniom literackim – osobowością jest dziś Oksana Zabużko, pełna temperamentu autorka kontrowersyjnej powieści *Terenowe badania ukraińskiego seksu*. Symptomatyczne, że zarówno Zabużko (jak też Wołodymyr Dibrowa w swoim opowiadaniu i Jurij Andruchowycz w *Rekreacjach*) dokonują mniej lub bardziej złośliwej demaskacji mitu ukraińskiej emigracji, mitu budowanego z górą pięćdziesiąt lat, a dziś łatwego do zweryfikowania dzięki podróżom i amerykańskim stypendiom, na których przebywało większość krajowych pisarzy. Ów emigracyjny temat przewija się raz po raz we współczesnych tekstach, będąc kopalnią anegdot, ironicznych porównań i charakterystyk bohaterów, których rozszyfrowywanie rozpala umysły czytelników i chyba niedługo dosłuży się oddzielnej gałęzi ukraińskiego literaturoznawstwa. Niedaleko sytuuje się wątek pokrewny: ocena modelu łatwego życia na Zachodzie zderzona z szarą rzeczywistością postsowieckiej Ukrainy i, co może wydać się dziwne, pisarze dalecy są od apologii

CIĄG DALSZY NA STR. 13

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

zlikwidowano, zaś ideologię narodnicką w jej skrajnej, mitologicznej postaci zaadaptowano dla potrzeb socrealistycznego „oświecania mas pracujących" i kolonialnego etnografizmu. Chruszczowowska „odwilż" przyniosła nowe odrodzenie ukraińskiego modernizmu, częściowo w obiegu legalnym, w części – w młodzieżowym *undergroundzie*, gdzie przetrwał on aż do „pieriestrojki".

Znamienne, że inna alternatywa dla narodnictwa, całkowicie przeciwna elitarnemu modernizmowi, w ukraińskej kulturze właściwie nie powstała, mimo że alternatywą taką w oczywisty sposób stać się mogła narodowa kultura masowa. Przyczyna była bardzo prosta: miejskie środowiska Kijowa i Galicji lat 60-80 wytworzyły już dostateczną ilość ukraińskojęzycznej inteligencji, by stworzyć i przyswoić sobie elitarną, „europejską" sztukę. Dramat polegał na tym, że odbywało się to w wąskim kręgu, wśród „swoich", „wtajemniczonych". Tymczasem dla pełnoprawnego funkcjonowania popularnej, a więc, *ex definitio*, wysokonakładowej literatury „wąski krąg" to zbyt mało. Literatura taka wymaga licznej, ukraińskojęzycznej klasy średniej, której w dużych miastach Ukrainy, poza Galicją, wciąż jeszcze brakuje. Ukraińska kultura masowa okazała się więc *a priori* niezdolna do konkurowania z kulturą rosyjską, proporcjonalnie do roli odgrywanej przez język. Przykładem może tu być ukraińska muzyka pop. Zdobywa ona coraz silniejszą pozycję na rynku ukraińskim, zaczyna nawet przedostawać się na rynek rosyjski, gdyż język piosenek jest niezbyt skomplikowany, a treść – mało istotna. Nikt natomiast nie wykonuje *dubbingu* filmów video w języku ukraińskim, ani nie tłumaczy na ten język zachodnich powieści-*thrillerów*, bo ich potencjalny rynek zbytu jest niepomiernie mniejszy, względem rynku rosyjskojęzycznego. W pewnym uproszczeniu można by to porównać z sytuacją w Irlandii, gdzie po gaelicku wydawane są publikacje naukowe, podręczniki, poezja i proza artystyczna, lecz nikt nie przekłada Stevena Kinga. Wątpliwe też, czy ktoś pisze oryginalne gaelickie *thrillery*.

Język ukraiński nie jest oczywiście tak marginalizowany, jak język gaelicki, lub, powiedzmy, białoruski. Aktywnie, czyli na co dzień, posługuje się nim przynajmniej połowa ludności Ukrainy, gdy tymczasem druga połowa zna go co najmniej biernie. Okazuje się jednak, że nie tylko pasywna, lecz nawet czynna znajomość języka nie wystarcza do tego, by chcieć czytać po ukraińsku. Istnieją bowiem jeszcze takie czynniki, jak nawyk

Literatura

czytania, przekonanie o wyższości (lub niższości) tego lub innego języka. Na Ukrainie przez szereg dziesięcioleci język ukraiński był oznaką podrzędności, czyli przynależności do wiejskiego, przestarzałego, archaicznego świata. Był on swego rodzaju „wilczą skórą", którą każdy aborygen starał się zrzucić po przybyciu do miasta, aby ustrzec siebie, a zwłaszcza swoje dzieci, przed kpinami, poniżeniem, oświatową, zawodową i jakąkolwiek inną dyskryminacją, że nie wspomnę o ciągłym prześladowaniu ukraińskojęzycznej inteligencji za „nacjonalizm". Ten strach i kompleks niższości pozostał na poziomie podświadomości: większość ludzi w Kijowie nie rozmawia po ukraińsku nie dlatego, że tego języka nie zna lub z zasady nie lubi, a jedynie dlatego, że boi się wyglądać „niemodnie", a więc zostać wyśmianym, wykrzywionym, poniżonym. Bo nawet jeśli w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto otrzymacie całkiem uprzejmą odpowiedź na swoje zadane po ukraińsku pytanie, wystarczy jeden cham, który ze zdziwieniem wytrzeszczy oczy udając, że „nie zrozumie", lub wbije szpilkę robiąc aluzję do „krowiego (kołchozowego, banderowskiego itd.) języka", a dobrze pomyślisz zanim przeprowadzisz ten „ukraińskojęzyczny eksperyment" po raz drugi. To jak rosyjska ruletka: jedna kula w bębenku wystarcza, by większość ludzi nie próbowała takiego szczęścia na sobie, a tym bardziej – na dzieciach.

Z nawykiem czytania rzecz ma się podobnie: Z jednej strony istnieje głęboko zakorzeniony kolonialny stereotyp mówiący, że każda ukraińska książka jest gorsza od rosyjskiej tylko dlatego, że jest ukraińska. Podobnie z przekładem: większość czytelników jest przekonana, że wszystkie ukraińskie przekłady autorów zachodnich robione są z języka rosyjskiego. Po cóż więc kupować podwójny przekład? Z drugiej strony istnieje o wiele poważniejszy problem nieprzystawalności, niewspółmierności życia toczącego się wokół przeważnie po rosyjsku, i życia opisywanego w książkach ukraińskich pisarzy. Dopiero niedawno, po tragicznej próbie lat 30., literatura ukraińska zaczęła analizować życie miejskie przy pomocy adekwatnych środków, wykorzystując różne formy rosyjskiej i ukraińskiej mowy potocznej, *surżyk*, autorskie formy „udziwnienia"

KSIĘGA:

1. Kiedy słowo oddzieliło się od Boga, stało się światem. Kiedy oddzieliło się od człowieka, stało się księgą. Bóg ma do czytania świat - człowiek ma księgę. Księgi to dobra rzecz. Ale lepiej czyni ten, co ich nie czyta. Trzeba co dzień pracować. Trzeba z ziemi zbierać kamienie i na tym miejscu siać chleb. Trzeba z tego kamienia budować chaty. Trzeba tym kamieniem odganiać wrony i obrzucać niewiernych. Trzeba podlewać drzewa i kwiaty. Trzeba co dzień modlić się do Boga, prosić go o przebaczenie, słońce i deszcz. Trzeba pisać nowe księgi, opróżniając się ze zbędnych słów. Napisane trzeba palić na popiół i użyźniać nim ziemię. Na gnoju dobrze rośnie chleb. Trzeba jeść, rodzić dzieci i umierać. Świat opróżnia się ze zbędnych ludzi. Martwych trzeba chować poza granicami koła. Promień koła i rozmiary mogił opisane zostały w księgach.

2. (*a la Borges)* Nie wiemy, która z istniejących ksiąg jest prawdziwą Księgą, to znaczy początkiem i końcem wszystkiego co istnieje. Całkiem możliwe, że K. nie jest żaden z kanonizowanych tekstów - ani Biblia, ani Koran, ani Wedy lub podobne przykłady piśmiennictwa. Całkiem możliwe, że nasze wyobrażenia o K., jako księdze, to znaczy utrwalonym tekście, są niczym nie usprawiedliwione, nie wykluczone więc, że K. w ogóle nie ma odpowiedników w materialnym (mówiąc umownie) świecie. Trzeba dodać, że nie jest Ona żadną z realnie istniejących rzeczy*, ani żadnym z możliwych zbiorów tych rzeczy. Będąc konsekwentnym, należy przyznać, że i cały świat, cały niezmierzony Kosmos, Wszechświat też nie jest K., lecz jedynie przez K. został narodzony.

Można szukać oznak K. w sferze nieoznaczoności, irrealności, wtedy krańcowym punktem podobnych poszukiwań będzie twierdzenie, że K. jest czymś nienazwanym, niepoznanym, czyli zupełną nieobecnością, kompletnym Nic. Wszystko, co wypływa z tej ciemności, z Nicości, wszystko, co dostaje nazwę, atrybut czy miejsce - rodząc się z K. - przestaje Nią być. Jednak taka myśl, jakkolwiek wiarygodna i kusząca się zdawała, jest tylko myślą, czyli założeniem, które przeczy wysuniętej na początku tezie. Mówiąc prościej, taka wersja jest jedną z transkrypcji teorematu Gödla i naukowcowi żadnych korzyści nie daje.**

Odczuwając intuicyjnie obecność K., staramy się jednak udowodnić swoje przeczucie słowami, pojęciami, co przyczynia się do powstawania nowych ksiąg, które K. nie są. Całkiem możliwe, że pojęcie K. oznacza sam proces poszukiwania, czyli Drogę albo Przybliżanie się. Jednak wątpliwe, czy takie tłumaczenie - choć jest rozpowszechnione i do tego cieszy się znaczną popularnością - jest prawdziwe. Jasna rzecz, ostateczna prawda nie jest osiągalna, a w poszukiwaniach K. zawsze jesteśmy zorientowani na absolut. Logika takiego kierunku podpowiada, że jeśli K. nie jest Wszystkim i nie jest Niczym, to może być Czymkolwiek - ziarnem piasku, oceanem lub wytworem rąk ludzkich. Musimy więc powrócić do początku i dopuścić możliwość istnienia K. w postaci wspomnianych już kanonicznych czy jakichkolwiek innych niekanonicznych tekstów. To znaczy, K. może kryć się za okładką jakiejkolwiek bulwarowej powieści czy ściśle zawodowego poradnika. Dalszy kurs na absolut prowadzi do wniosku, że K. może być i słowem, i literą, i nieodczytanym znakiem. Absolutna dowolność wyboru pozwala zresztą twierdzić, że K. jest i wyżej przytoczony tekst.***

**Autor zdaje sobie sprawę z absurdalności połączenia słów „realnie istniejący".*

***Oczywiście, poprawniej byłoby mówić o teoremacie Tarskiego, którego cząstkową wypadkową jest teoremat Gödla.*

****W. Jeszkilew uznał, że K. może być czytelnik wyżej przytoczonego tekstu, ale w napadzie redakcyjnego szału zdecydowałem, że najbardziej godnym miana K. jest czasopismo „Czetwer".*

JURKO IZDRYK („Czerwer", nr 3, 1992)

oblężonej twierdzy

językowego itp. Takie wirtuozerskie oswojenie języka żywego, a nawet, można powiedzieć, postmodernistyczna zabawa z nim rozszerza się z prozy na poezję, muzykę popularną, teatr. Niedawno na przykład telewizja, odnosząc wielki sukces, wyemitowała ukraiński przekład klasycznego *musicalu* „My fair lady", w którym londyński „cockney" głównej bohaterki kongenialnie odtworzono za pomocą ukraińsko-rosyjskiego *surżyku* mieszkańców kijowskiego Podołu.

Spośród trzech czynników, przez półtora wieku istotnie wstrzymujących i ograniczających rozwój nowoczesnej literatury ukraińskiej po roku 1991 zniknął tylko jeden: polityczny. Natomiast upośledzenie kulturalne oraz socjalne zmarginalizowanie świata ukraińskojęzycznego niemal się nie zmieniły. Eks-komunistyczne, a przeważnie rosyjskojęzyczne elity, zachowujące władzę na Ukrainie (jak również na Białorusi) reprezentują raczej interesy panującej ludności „kreolskiej", niż marginalizowanej ludności „tubylczej".

W ten sposób sytuacja językowa na Ukrainie okazuje się dalece niejednoznaczna. Z jednej strony zachowane są wszystkie podstawowe cechy poprzednich dziesięcioleci, co skłania najzaciętszych ukraińskich nacjonalistów do piętnowania „antyukraińskiego" rządu za postępującą (niby) rusyfikację Ukrainy. A z drugiej strony – zaznaczają się istotne zmiany we wszystkich dziedzinach, co z kolei skłania rosyjskich nacjonalistów (zgodnie z sowiecką tradycją nażywających siebie „internacjonalistami") do piętnowania tego samego rządu za ukraińskość, „nacjonalizm", „zachodniactwo" (choć nigdy nie było w nim i nie ma nikogo z Ukrainy Zachodniej), a jego niezwykle pasywnej polityki – za „przymusową ukrainizację".

Literatura ukraińska, zwłaszcza ta instytucjonalnie reprezentowana przez postkomunistyczny Związek Pisarzy ciąży, co zrozumiałe, w kierunku pierwszego z przedstawionych punktów widzenia, a jej przedstawiciele narzekają w różnego rodzaju swoich publikacjach na „antyukraiński" charakter władzy i trwającą rusyfikację. Kategoryczność tego osądu osłabia nieco charakterystyczna dla ukraińskich pisarzy sowieckich potrzeba państwowego paternalizmu i ciągłe oczekiwanie-„wypraszanie" państwowej pomocy ze strony rządu. Kompromis między „patriotyzmem" i paternalizmem znaleziono wreszcie w skrzydlatej mitologicznej formule o „dobrym", „ukraińskim" Prezydencie, którego należy wspierać w walce z „antyukraińską" biurokracją, sabotującą jego mądre decyzje.

Jednak poza instytucjonalnym obrębem Związku Pisarzy rozwija się całkiem inna literatura, która ani nie wojuje, ani nie brata się z władzą (po prostu jej nie obraża i stara trzymać się od niej jak najdalej), a tym bardziej nie oczekuje od tejże władzy znalezienia odpowiedniego dla siebie czytelnika, czyli (re)ukrainizowanego „ludu". Woli pracować z takim czytelnikiem i takim społeczeństwem, jakie jest. Niektórzy z tych literatów należą formalnie do Związku Pisarzy, traktując go jako organizację w rodzaju związku zawodowego, niektórzy – tworzą własne grupy i organizacje, z których najliczniejsze jest, liczące blisko 120 osób, Stowarzyszenie Pisarzy Ukraińskich, powstałe półtora roku temu po skandalicznym zjeździe Związku Pisarzy Ukraińskich i odejściu z niego dużej grupy młodych autorów, przeważnie „modernistycznej", „prozachodniej" orientacji.

Jeśli spojrzymy, czyje utwory są dziś najczęściej drukowane, omawiane w prasie i wreszcie przekładane za granicą, zobaczymy, że są to przede wszystkim utwory członków nowo powstałych grup i stowarzyszeń literackich. Dla nich oblężenie ustało, wojna domowa skończyła się. Wschodnioeuropejska inteligencja jako pewien fenomen ideologiczny zrodzony z braku swobód politycznych stopniowo zanika, ustępując miejsca twórcom dialogu myśli.

Nie oznacza to, że problemy literatury, kultury i w ogóle społeczeństwa ukraińskiego zostały już rozwiązane, a jedynie, że teraz należy je rozwiązywać w zupełnie inny, niekonfrontacyjny sposób. Antykolonialna retoryka w niezależnym państwie jest równie kuriozalna, jak kolonialna. Ołeksandr Irwaneć swoimi parodiami do szaleństwa doprowadza nie tylko rosyjskich nacjonalistów w rodzaju Łady Fedorowskiej, ale i nacjonalistów ukraińskich, przeklinających go za podobne „ody", a zwłaszcza za *Kochajcie Oklahomę* (parodię klasycznego wiersza Wołodymyra Sosiury *Kochajcie Ukrainę*)* . W swej istocie parodia Irwancia opanowuje podświadomość, dezorganizując próżną, „patriotyczną" retorykę, demonstrując łatwość, z jaką socrealistyczną sztancę dostosować można do potrzeb nacjonalistycznych, i na odwrót.

Literatura nie jest bogata ani zróżnicowana, posiada jednak jedną wspólną cechę, którą jest swoboda wewnętrzna, brak kompleksów, otwartość wobec świata. Nie patrzy już na siebie oczyma kultury panującej, nie kurczy się już po każdym znieważającym uśmieszku, geście, słowie. Sama umie już wyśmiewać i parodiować. Nie boi się też żartów z siebie, sama robi to bowiem znacznie lepiej. Najlepszą reakcją na czyjś niesmak jest pobłażliwy uśmiech, najlepszą odpowiedzią na ideologiczne ogłupianie – wesoła dezorganizacja. Pisarze nie wpadają już w rozpacz, mówiąc że „nikt nas nie zna", „nikomu nie jesteśmy potrzebni" i w ogóle „nie ma nas". Są również dalecy od megalomańskich ambicji swoich poprzedników, lekkomyślnie plotących o „światowej sławie Szewczenki" oraz „światowej wielkości Ołesia Honczara". Mówią po prostu: „Istniejemy i mamy coś do powiedzenia, a waszą sprawą jest to, czy nas wysłuchacie, czy nie". Niby uliczni grajkowie rozstawiają swoje instrumenty i zbierają monety. Nawet gdy monet nie ma, świat jest cudowny. Przecież nikt już do nas nie strzela, nie wsadza do więzień. Jakie, do diabła, problemy literackie mogą równać się z tą główną, najważniejszą zdobyczą ostatniego dziesięciolecia?!...

Mykoła Riabczuk

Tłumaczył **Janusz Szlifiński**

* przekład polski Bohdana Zadury drukowany w ukraińskim numerze „Literatury na Świecie" (przyp. red.)

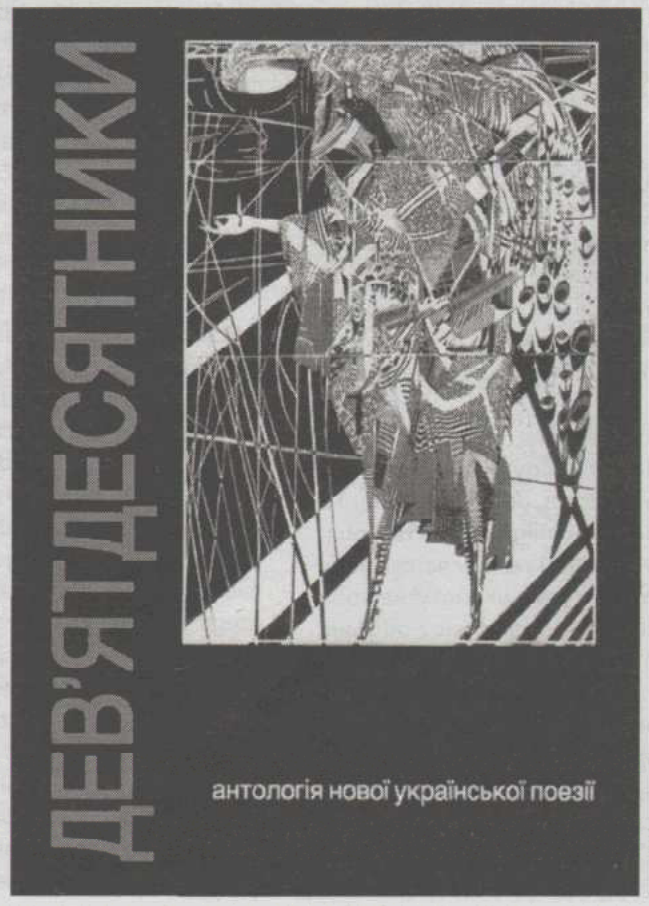

Ukraina: O literaturze, literatach i książkach

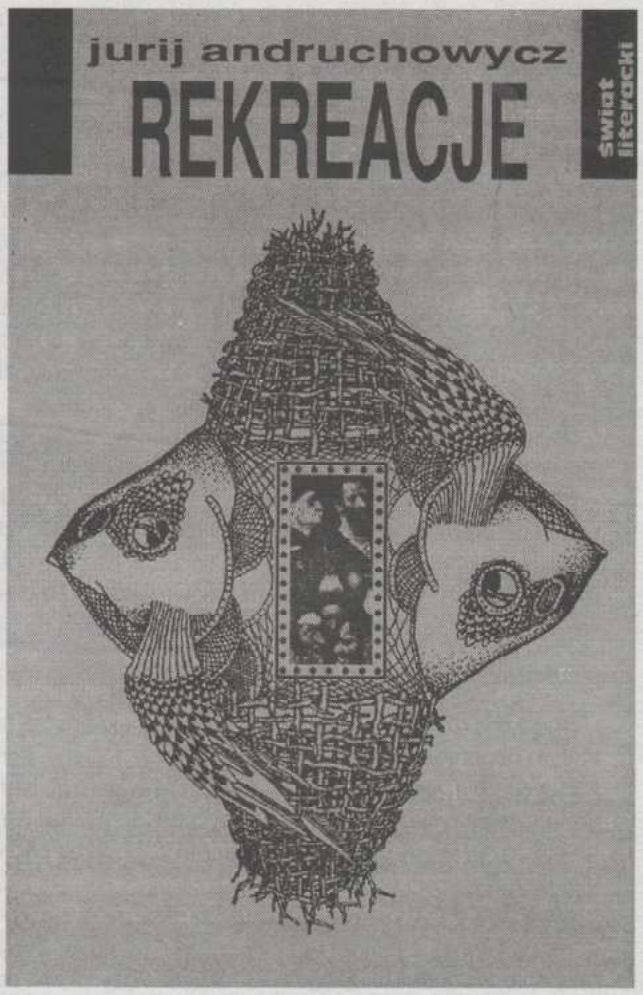

CIĄG DALSZY ZE STR. 12

do niedawna niedostępnego konsumpcyjnego raju. Drugi wyraźny nurt prozy demaskuje mit radzieckiego pisarza – nadętego własną ważnością i doniosłością pełnionej roli – arywisty; nurt, który dobrze reprezentuje tutaj opowiadanie Jarosława Pawluka. Można by określić taką prozę mianem rozrachunku, gdyby nie fakt, że jej autorami są ludzie, którzy nie zdążyli dosłużyć się ani pisarskich godności, ani nagród czy orderów. (Znowu pierwszeństwo parodystycznej demitologizacji wizerunku pisarza przyznać należy *Rekreacjom* Andruchowycza). Proza eksperymentu i poszukiwań formalnych jest dziś domeną najmłodszych, takich jak prezentowany tutaj Mychałko Skalicki czy, niestety, nieobecni Taras Prohaśko czy Iwan Andrusiak (urodzeni w 1968 roku).

Dobrze zatem będzie mieć w pamięci wyżej zarysowany kontekst przy lekturze ukraińskiego numeru „Dekady Literackiej", którego motywem przewodnim są właśnie dokonania młodych i nieco starszych prozaików. Dobór nazwisk może wydać się nieco przewrotny, bo są to w dużej części autorzy mało albo w ogóle nieznani. Zabrakło wśród nich w Polsce publikowanych i popularnych nazwisk, ponieważ pojawiły się one albo w wydaniach książkowych (jak Andruchowycz, Szewczuk i z niecierpliwością oczekiwany Izdryk), albo na łamach czasopism i antologii (jak ukraiński numer „Literatury na Świecie", „Kresy", antologie „Kanapa na skraju łąki" i „Rybo-wino-kur" i in.). Aby więc uzyskać pełny obraz ukraińskiej prozy, należałoby uzupełnić lekturę o te publikacje. Przewodnikami po literackim świecie Ukrainy będą tutaj: Iwan Dziuba – przedstawiciel pokolenia lat 60., postać przez poplątane koleje swojego losu do dziś kontrowersyjna, lecz wyjątkowa osobowość i niewątpliwy autorytet w ukraińskiej kulturze – który kreśli wizerunek i historyczne perypetie współczesnej inteligencji, zachowując cenny w takich przypadkach dystans do omawianych zjawisk; i, z drugiej strony, Jurij Andruchowycz, który komentuje wszystkie te wydarzenia „od wewnątrz", jako współuczestnik i autor bądź co bądź największej prowokacji prozatorskiej ostatnich lat.

Agnieszka Korniejenko

[1] Wszystkie przytoczone w tym artykule dane liczbowe i niektóre spostrzeżenia zaczerpnęłam z następujących artykułów: G. Grabowycz, *Sowietyzacija ukrajińskoji humanistyky. Ideołohija ta kulturnyj styl* („Krytyka", nr 2, 1997), M. Riabczuk, *Wid SPU do AUP" sproba emancypaciji* („Krytyka", nr 1, 1997), M. Riabczuk *U poszukach „ukrajińskoho Markesa". Do pidsumkiw literaturnoho roku*, („Krytyka", nr 1, 1998) O. Hrycenko, *Knyżka jak jawyszcze popularnoji kultury* („Suczasnist'", nr 11, 1997).

[2] Wydanie polskie tej powieści w tłum. A. Hnatiuk jest dwa lata późniejsze.

[3] „Literatura Plus", nr 1, 1998.

Wołodymyr Dibrowa

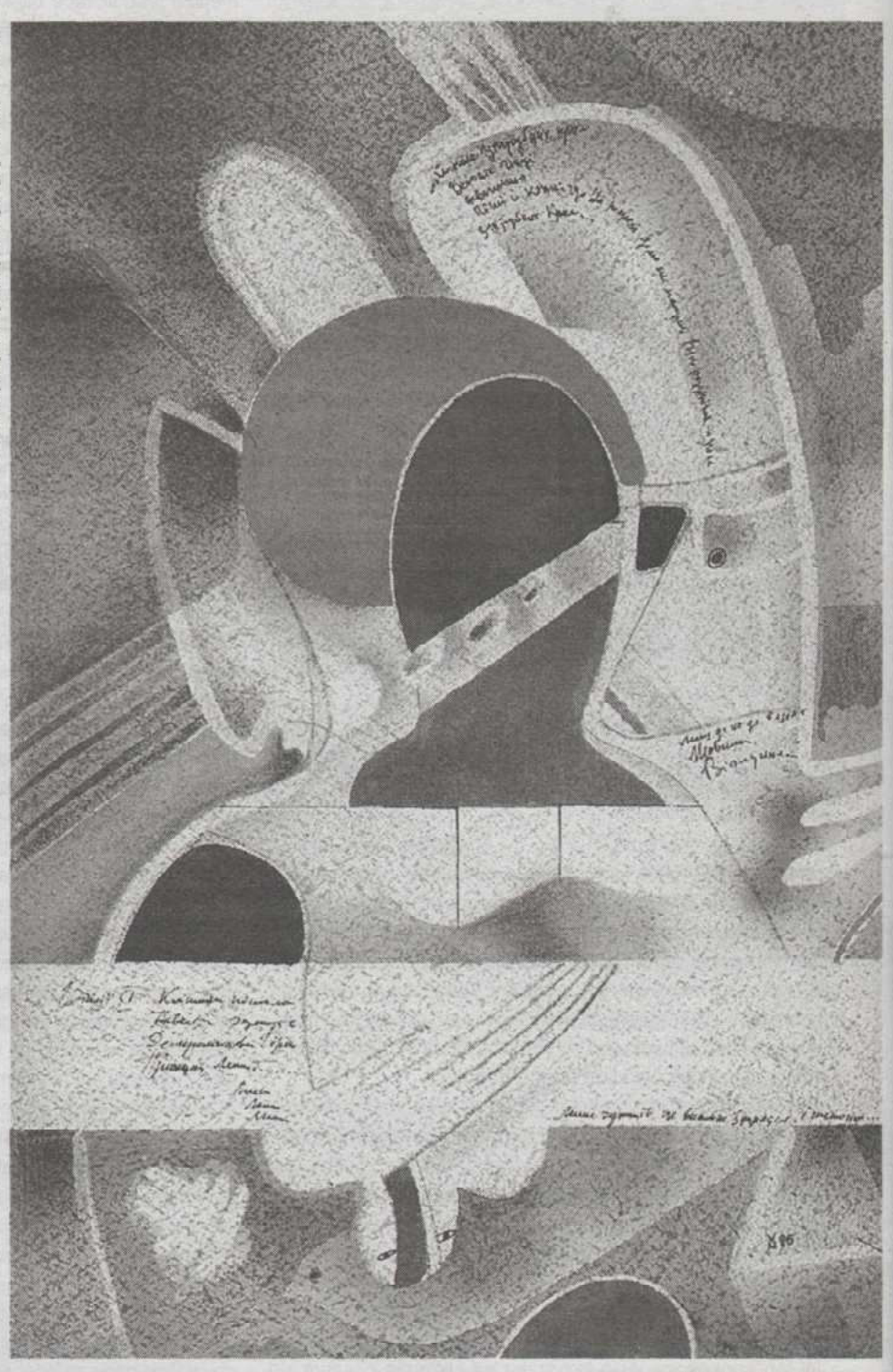

Z tomiku poezji Emmy Andijewskiej *Wigilija*, Mjunchen 1987.

Grafika **Wołodymyr Makarenko**

I

Swoje czterdzieste urodziny Bojko obchodzi w Ameryce. Zaprosił go tam na jeden semestr docent Kohut, też Jerzy, albo po ichniemu – George.

Bojko jest znanym w pewnych kręgach filologiem, doktorem, tłumaczem i członkiem Związku Pisarzy. Ma w swoim dorobku młodzieńcze poezje, kilka przekładów, książkę z tekstami krytycznymi i monograficzną pracę z morfologii (wspólnie z grupą autorów). Razem z nim jest tu jego żona Luda i dwie córki, w wieku dwunastu i siedmiu lat.

Bojkowie chcą obchodzić te urodziny w ścisłym gronie rodzinnym. Ale docent Kohut wie, kiedy Bojko ma urodziny. Jeśli się go nie zaprosi – bez wątpienia obrazi się, a w dodatku jeszcze pomyśli sobie, że są niewdzięcznymi świniami.

Tym bardziej, że jest mu za co dziękować. Docent Kohut wysłał im zaproszenie, znalazł niedrogie mieszkanie i zorganizował Bojce odczyty dla emigracji.

Są ze sobą na „ty". Kohut przy kawie (Bojko w przerwach między zajęciami zawsze wpada do niego) dzieli się swymi planami. To chce założyć jakiś komitet, a to coś przekłada, to znowu troszczy się o kogoś. A za trzy miesiące w oparciu o Kohutową katedrę zostanie zorganizowana konferencja. Zjadą się międzynarodowe sławy, a na zakończenie zaplanowano średniowieczny słowiański bankiet. Kohut daje do zrozumienia, że liczy na Bojkę.

– Oczywiście – mówi ten – bardzo mnie to interesuje.

Bojkowie zamieszkali o kilka ulic od Kohutów i często po sąsiedzku wpadają do nich. Doktor ma żonę i piętnastoletniego syna, ale gościom rzadko udaje się zastać ich w domu.

Bojkowe dziewczynki od pierwszej chwili polubiły ich podwórze (huśtawki, drabinki i zjeżdżalnię) i zaprzyjaźniły się z miejscowymi dzieciakami. Mieszkają tu ludzie z uniwersytetu, rosną dęby, klony i coś, co przypomina nasz orzech. Raz w tygodniu Bojko zagrabia docentowi liście (bo ma się ku zimie) i wypycha nimi foliowe worki. A pewnego razu we dwóch rozebrali w ciągu weekendu szopę. Kohut marzy o hodowaniu wiosną na tej działce pomidorów.

II

Bojko bierze przekład współczesnej prozy ukraińskiej (ostatni krzyk literackiej młodzi), nad którym obecnie biedzi się Kohut, porównuje z oryginałem i jęczy. Bo proza ta i bez Kohuta niesie w sobie podwójny ładunek szaleństwa (które po pierwsze, wyłazi ze wszystkich szczelin sowieckiego życia, a po drugie podsycane jest świrem każdego z autorów z osobna). I dlatego utwory te, jak by nad nimi nie pracować, poprzez swoje rozchełstanie do przekładania się nie nadają.

Ale Kohut o tym nie wie. Codziennie rano pilnie siada do komputera i do piątej wieczorem przeciąga słowa z jednego obcego języka na drugi. Żeby zachowana została litera i zapach oryginału, wszystko to, czego nie może przełożyć, trafia do przypisów i wyjaśniane jest specyfiką ukraińskiego charakteru. W pozostałych wypadkach opiera się na słowniku. „Figa" („A figę!") to u niego, tak jak nakazuje słownik, bezwarunkowo „drzewo", „Besarabka" (nazwa bazaru w Kijowie) jest „kobietą pochodzenia mołdawskiego", a okrzyk któregoś z bohaterów: „a na co, cholera, ten gnojek się przerzucił?" w jego przekładzie zamienił się w pytanie:„czemu mała szpachelka służy do przerzucania nawozu?"

– Cholera! – woła Bojko i biegnie do żony z kolejną perełką – Co ja mam z tym zrobić?! Tu wszystko trzeba pisać od nowa!

– Zostaw! – mówi Ludmiła.

– Co znaczy „zostaw"? Prosił o sprawdzenie! Chce, żebym poprawił wszystkie błędy.

– No to znajdź mu jakieś dwa drobiazgi, i powiedz, że więcej nie widzisz. Nie zdążyłem, powiedz mu, w tym czasie na tyle opanować języka, żeby wyczuwać wszystkie niuanse.

– Niuanse?! To dziadostwo, a nie robota. U mnie studenci drugiego roku lepiej przekładają!

– To nie twój problem.

– Właśnie, że mój! Poprosił mnie. To sprawa prestiżu. Etyki zawodowej.

– Co ty, oszalałeś? Przecież on ciebie znienawidzi za taką etykę! Musimy tu przeczekać do wiosny. Jeśli nie on, to kto ci przedłuży wizę? A on tu jest bogiem! Może wszystko!

Bojko likwiduje wszystkie swoje dopiski zrobione ołówkiem, zostawia dla przyzwoitości kilka drobnych uwag i chwali Kohuta za to, że ten z taką przenikliwością przekazał tekst oryginału.

– Niestety – wyznaje Bojko – jeszcze nie opanowałem języka, i dlatego nie mogę ciebie poprawiać. Nie mam prawa.

Kohut zgadza się z nim.

– Być może – dodaje Bojko, żeby nie pojawił się nawet ślad dwuznaczności – nie dane jest mi to.

Kohut rozkłada ręce.

Bojko nie jest pewien, jak powinien to rozumieć, ale Kohut nie komentuje swego gestu.

– A propos – wpada w pauzę Bojko – mam pewien problem. Szykuje się nam dzień moich urodzin...

Kohut nie rozumie.

– Miałem na myśli urodziny – tłumaczy Bojko. – Czy u was świętuje się takie rzeczy? Krótko mówiąc, poradź.

Kohut powiada, że w tym celu korzysta się ze zwykłych oraz etnicznych restauracji. Chińskich, koreańskich albo meksykańskich.

Bojko zaprasza Kohuta (rzecz jasna z rodziną) i proponuje, by od razu ustalić, gdzie najwygodniej byłoby posiedzieć. Kohut mówi, że gdzieś w pobliżu jest niedroga restauracja, obiecuje, że zaprowadzi tam ich wszystkich, a dodatkowo zatroszczy się o napoje.

– Po co macie się wykosztować? – mówi. – Lepiej zawieźć więcej do domu.

III

Bojkowie kombinują, jakby tu ograniczyć do minimum ilość zaproszonych osób. Ale, oprócz swego dobroczyńcy, muszą zaprosić jeszcze kilku rodaków, którzy z różnych powodów znaleźli się w tym miasteczku. A konkretnie – Ołeksę Sambura, Ulanę Żowtiańską (i tak przez cały czas kręcą się koło Kohuta) oraz małżeństwo Krawców z synem (Krawcowie pomogli Bojkom, pożyczyli im kołdrę i gwoździe, młotek i poduszki).

Sambur jest reżyserem, nowatorem estrady i teatru. W ojczyźnie wsławił się reżyserią hucznych uroczystości narodowych – konkursów, świąt, imprez, festiwali oraz świąt zjednoczenia. A tutaj ściągnął go, jako artystę i gościa swojego wydziału, Kohut. Przez ostatnie trzy miesiące Sambur mieszka w akademiku i dostaje pięćdziesiąt dolarów na tydzień. Nikt niczego od niego nie wymaga, chociaż była między nim i Kohutem ustna umowa, iż Sambur pomoże mu w organizacji bankietu.

– Jasne! – obiecał wówczas Sambur. – Tylko gwizdnij.

Ale Kohut jakby o tym zapomniał. Ołeksa języka nie zna, pieniędzy wystarcza mu ledwie na jedzenie, a dorobić może tylko dzięki Kohutowi. Codziennie za dziesięć ósma Sambur wyskakuje na róg i wypatruje Kohutowej „mazdy". Ten zaś robi po drodze do katedry koło, tak żeby podrzucić Sambura pod samą bibliotekę. W piątki chodzą do siłowni, później – do sauny, gdzie rozmawiają o stanie ukraińskiej kultury.

– Przynajmniej – uspokaja sam siebie Sambur – nie będzie później gadał, że się tutaj obijałem.

KOMPLEKS SHELLEY'A: szczególna zdatność poetów do „intensywnego samospalenia" i umierania pomiędzy 26 a 28 rokiem życia. Wyznaczona granica wiekowa daje każdemu z nich czas na pełny rozkwit i spełnienie, określając jednocześnie kres całkowitego zużycia duchowej energii. Tym samym wypełnia się sens ich dalszego ziemskiego bytowania. Zszedłszy z tego świata, poeci z K. Sh. przechodzą w stan publikacji, książek, wierszowanych urywków, i (rzadko) pamiętników czy muzeów. Pozostają w ludzkiej pamięci bardzo powabni, wiecznie młodzi, tajemniczy i genialni.

Zewnętrzne przyczyny ich śmierci mogą być nad podziw różne. P.B. Shelley, którego imieniem nazwano kompleks, zatonął w lecie 1882 r. kiedy płynął jachtem z Livorno w niewiadomym kierunku i trafił na straszliwy sztorm. Jego ciało razem z ciałami dwóch jego towarzyszy, których „przypadkiem" pociągnął *tam* za sobą, odnaleziono na morzu dopiero po kilku dniach. J. Keats zmarł na nieznaną nocną chorobę. M. Lermontow został zastrzelony w pojedynku. G. Trakl skończył ze sobą w wojskowym lazarecie w 1914 r., zażywając zbyt dużą porcję narkotyku. Podobnie postąpił J. Morrison w paryskim hotelu 3 lipca 1971 r., choć lekarze stwierdzili tylko zawał serca. B.-I. Antonycz zszedł w noc św. Jana, chyląc się przed wolą duchów Kupały, które stanowczo wezwały go do swego niezgłębionego pralasu.

Takie przykłady można mnożyć. Każdego ze wspomnianych poetów śmierć zastała w apogeum twórczości. Oszczędziła ich i ustrzegła - przede wszystkim przed powolnym zatonięciem w marazmie, od „kompleksu Hölderlina".

J. ANDRUCHOWYCZ („Czerwer", nr 3, 1992)

Urodziny

Grafika **Wołodymyr Makarenko**

Z nudów wycina z czasopism fotografie i klei z nich kolaże. Na wszelki wypadek przygotował sobie dwa bankietowe scenariusze. Jeden z pełną pompą, z tańcami połowieckimi i laserami, drugi – gdyby miała to być impreza na stojąco i na sucho.

Jak każdy prawdziwy profesjonalista Sambur marzy o Broadway'u i o Hollywood. – A czemuż by nie? – nie pojmuje. – Czyżbym był od nich gorszy? Na odwrót! Gdyby Kohut zostawił mnie tutaj na rok, wszystkie siły włożyłbym w naukę języka. I już pod koniec wiosny ćwierkałbym. W najgorszym razie – na początku lata.

– Chcesz – pyta co piątek Sambur Kohuta – żebym wystawił dla nich sztukę? Za darmo. Przecież u was na uniwersytecie jest, zdaje się, teatr? Jeśli ty będziesz przekładać, to ja im zrobię nową interpretację czego tylko zechcą. Totalna neoawangarda!

Ale Kohut odpowiada milczeniem.

– *Może on – niepokoi się Sambur – obraził się na mnie? Ale za co?*

Podstaw obiektywnych – zero! Jeśli chodzi mu o Ulanę, to ja jej nie ruszałem. Bo rozumiem. Nie jestem przecież idiotą. A jeżeli on ma co do niej jakieś plany – to proszę bardzo. Cała naprzód. Ja – pas. Ja dla przyjaciela i pod klasztor i do samego klasztoru pójdę!

Ulana to nasza znana poetka. W minioną środę przyjechała tutaj z Nowego Jorku i liczy, że Kohut jako kierownik katedry zaproponuje jej prowadzenie w następnym semestrze wykładów poświęconych zagadnieniom baroku. Na tutejszych uniwersytetach, jak jej mówiono, na taką ewentualność są odrębne fundusze.

Ulana jest doktorem historii sztuki, doktorat robiła z motywów barokowych. To jej trzecia Ameryka. Wywalczyła ją sama, bo w terminie nadesłała zgłoszenie na kompleksowe badania naukowe. Temat, w związku z którym otrzymała stypendium, leży na styku kultur, feminizmu, zagadnień mniejszości oraz ekologii.

I ostatni z zaproszonych – Krawcowie, Larysa i Aleksander. On obronił tu doktorat i nie pojechał do domu, lecz znalazł pracę na uniwersytecie, przy laboratorium chemicznym. Podczas gdy on „wychodził na człowieka", ona siedziała przy dziecku. W końcu wysłali podania o zielone karty, czekają na decyzję. Teraz Larysa też chciałaby gdzieś pracować. A z wykształcenia jest filologiem-romanistką. Dlatego docent Kohut to dla niej bezpośrednia (i jedyna!) okazja na znalezienie pracy wykładowcy. Tym bardziej, że u niego – jak się dowiedzieli – zostaje w tym semestrze bez przydziału grupa języka rosyjskiego.

Pensja Krawca wystarcza im na ładne mieszkanie i dostatnie życie. Ale z drugiej strony, ich Igorek, choć ma siedem lat, nie mówi (nie zwraca się do nich ani „tato", ani „mama") i nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Niekiedy Krawcom wydaje się, że ich dziecko ktoś im ukradł i przetrzymuje za głuchym murem. A im zostawił tylko jego niewinne i udręczone ciałko.

IV

Docent Kohut – obracając dwa razy – zawozi wszystkich (oprócz Krawców, bo ci mają samochód) do chińskiej restauracji. Żona i syn Kohuta nie mogli przyjść, ale prosili, żeby wszystkich pozdrowić.

Chińska obsługa ubrana jest w białe nylonowe koszulki i czarne kamizelki. Wszyscy są bystrzy, niscy i niewymiarowi. Widać, że to uciekinierzy nie z Hongkongu czy Tajwanu, ale z głębin matecznika.

Kohut objaśnia, że przemyt uchodźców to wielki biznes. Bo ludzie oddają przemytnikom wszystkie swoje pieniądze, aby tylko wskoczyć na statek. Ci upychają „nielegalnymi" ładownie, wiozą poprzez ocean i wyrzucają przy amerykańskim brzegu do lodowatej wody. Ale Chińczycy nie skarżą się, bo są bardzo cierpliwi. Jeszcze cieszą się, że przeżyli.

Kelnerka, która ich obsługuje, jest tego jaskrawym dowodem. Ma może siedemnaście lat, nie więcej, i bije od niej szczęście, w żaden sposób nie związane z rzeczywistością ani potrzebą chwili. Goście Bojki podejrzewają, że będą tu ich naciągać („bo może doliczą do herbaty"), i dlatego też zapoznają się z menu zaczynając od cen.

Języka kelnerka jeszcze nie opanowała dobrze, chociaż się stara. Oprócz menu, rozdaje wszystkim ołówki i prosi, by przy pomocy ptaszków zaznaczyć kto i co zamawia. Wszyscy spoglądają na Kohuta, czekają co on doradzi.

Kohut opisuje chińskie potrawy. Tam, gdzie się o coś potyka, Ulana poprawia go (z czego jasno wynika, że tak potrawy serwowane w restauracjach, jak i niuanse obu języków nie są jej obce). W przeciwieństwie do Kohuta, Ulana wie, że „egg-rolls" to ciasto z nadzieniem, „shrimps" to krewetki, a „broccoli", jakkolwiek u nas na bazarach nie sprzedaje się tego, przetłumaczyć trzeba jako „brokuły".

Niechcący rodzi się dyskusja na temat zalet i wad kuchni ukraińskiej. Kohut jest zdania, że jest w niej zbyt dużo tłuszczu i cholesterolu, a za mało potraw morskich.

Bojkowe dziewczynki też chcą wiedzieć, czym będą karmione. Walczą przy menu i już dawno by je rozerwały na kawałki, gdyby było na papierze, a nie na mocnym plastiku. Przełożyć z angielskiego nazw potraw oczywiście nie są w stanie, rozumieją jednak, że w prawym słupku podane są ceny.

– Ile dolarów! O rany, jak drogo! Tato, nie bierz tego! Bierz to, co tańsze!

Dorośli śmieją się z nich.

Roksolana w wieku siedmiu lat zna wszystkie cyfry, a starsza, Oksana, najpierw po cichu, a później na głos przelicza walutę na kupony. Kwota idzie w miliony. Widać przyszłe charaktery: starsza to prymuska, a Roksolana – psotnica i urwis. Ludmiła syka na nie, ale jednocześnie dumna jest z matematycznych zdolności Oksanki. A Bojko, przeciwnie, więcej serca ma dla małej.

Docent Kohut wyciąga z torby butelki – trzylitrową butlę burgunda, hiszpańską sherry i chilijskie cabernet sauvignon. Wszystkie butelki są odkorkowane, pokryte kurzem i widać, że nieźle z nich nadpito.

Goście są zdziwieni. Przynieść do restauracji swój alkohol, po to żeby ukradkiem pod stołem przelać go do „urzędowych" naczyń – to rozumieją. (Na taką ewentualność Sambur przywlókł tu ostatnią butelkę „percówki"). Ale, że w Ameryce też panuje taki zwyczaj – to dla nich rzecz dziwna. W dodatku nie wiadomo, co z tego wyniknie. Dlatego, ażeby nie pokazać po sobie lekkiego zmieszania, odczytują nazwy i wychwalają je.

– *Hi, Hi, Chile*! Pinochet, nie Pinochet, ale winnic nikt nie zniszczył. To nie Związek Sowiecki. A to, patrzcie tylko, burgund! To się rozumie! Ciekawe jaki to rocznik? Czyżby przywieźli je z samej Francji? Nie? Kalifornijskie? Tym lepiej! Ale to chyba drogie wino. Po cóżeś ty, Jurek, na Boga... Sami byśmy coś wykombinowali. Teraz to nawet niezręcznie.

Kohut mówi, że wszystko *o'key*, nalewa sobie wina i – nie czekając na początek ceremonii – pociąga wielki łyk. Bojkowie wymieniają spojrzenia („jakże to tak, wszyscy mają puste szklanki, jedzenia jeszcze nie przynieśli, a ten już pije!").

Z pomocą przychodzi im Krawiec z toastem na cześć jubilata. Goście wyciągają ręce po wino. Bojko wstaje i, jakby się usprawiedliwiając, chwali docenta Kohuta i całą diasporę za to, że na obczyźnie zachowali język ojczysty.

– Nie wiem jak innych, ale mnie to oszałamia – wyznaje. – A najbardziej to nastawienie, to jest – miłość do ziemi ojców i jakaś taka nadzieja... Bo mówiąc szczerze: my sami to nigdy byśmy... No, na przykład ty, Jurek, jako uczony, jako Ukrainiec i jako kierownik... To, co ty jako kierownik katedry robisz dla nas, Ukraińców i dla Ukrainy... Ale co tam dużo gadać! Za to trzeba wypić. Zdrowie!

Ze wszystkich stron popierają go i dodają, że zapraszając do Ameryki twórczą i uczoną młodzież, pozwala on jej nasiąknąć doświadczeniem, które będzie działało na korzyść Ukrainy. Bo my mamy chęci, ale nie mamy możliwości. I kwalifikacji. I wiedzy o tym, jak funkcjonuje *cywilizowany* świat. Dlatego powinniśmy trochę pomieszkać tutaj, ładnie sobie wszystko przyswoić, a wówczas już wspólnymi siłami podnosić kulturę duchową.

– Pewnie, że tak – zgadza się docent Kohut.

– A cóż to pan pije? – gramoli się spod stołu Roksolana.

– Wino – mówi Kohut.

– Wino to trucizna! Niech pan to natychmiast wyleje!

– Wiem – doskakuje Ludmiła i ciągnie spryciulę w inną stronę stołu – że lubisz wujka Kohuta!

Przynoszą jedzenie. Zgodnie z chińskim zwyczajem wszystko zostaje wyłożone na okrągłą

CIĄG DALSZY NA STR. 16

JABŁKO NEWTONA: to samo, które spadło na głowę wielkiego fizyka i przyczyniło się do odkrycia prawa ciężkości. Spirytualiści twierdzą, że jabłko było z gatunku *alodais* - maleńkie, kwaśne w smaku i mieszkały w nim dwa robaki. Jeden zdechł w momencie zetknięcia się jabłka *alodais* z głową Newtona, drugi przeżył, dając początek sławnemu klanowi robaków, a jego potomek w 136-tym pokoleniu został rozgnieciony butem Karola Marksa na londyńskiej Edward's Street w momencie, kiedy twórca *Kapitału* obmyślał list do Fryderyka Engelsa na temat niezmierzonych perspektyw Komuny Paryskiej.

WOŁODYMYR JESZKILEW („Czerwer", nr 3, 1992)

Urodziny

CIĄG DALSZY ZE STR. 15

tacę. Kohut wyjaśnia, że taca się kręci i każdy nakłada sobie to, po co wygodniej sięgnąć.

– I to, co na ciebie patrzy – dodaje Bojko.

– O tak, bo to się obraca – i docent Kohut demonstruje, w jaki to właśnie sposób porusza się pełna przekąsek taca.

– A pan czego sobie nalał? – Bojkowa Roksolana wyrywa się z rąk Ludmiły, wpełza pod stół, błąka się pomiędzy kolanami i butami, ale w końcu znajduje wyjście. Wynurzając się trąca Sambura i ten rozlewa wino.

– Czy pan nie wie, jakie to szkodliwe?

Sambur macza palec w sherry i przyciska do warg Roksolany.

– Masz, poliż sobie!

Dziewczynka piszczy i znowu znika pod stołem.

Chinka chce życzyć wszystkim smacznego, ale nie wie, jak to powiedzieć po angielsku. Goście widelcami i łyżkami szturmują karuzelę.

– To wszystko można też jeść patyczkami – wyjaśnia im docent Kohut i na dowód stuka drewnianymi pałeczkami.

V

Wszyscy szybko zaspokajają pierwszy głód. Przeczuwając, że toastów nie przewidziano, i że to, co mają przed sobą, to całe wino, niektórzy (na przykład Ulana, Sambur i Bojko) pośpiesznie napełniają kieliszki.

Bojko mówi: – Czyż mógłbym sobie wyobrazić, że będę kiedyś siedzieć w Ameryce, w chińskiej restauracji i pić burgundzkie wino?!

– To – popiera go żona – jest jak jakiś film. Jak „Trzej muszkieterowie"!

– Pięć... nie! nawet mniej! Cztery lata temu, kiedy jeszcze nic nie mogłam wydać – wtrąca się do rozmowy Ulana, – gdyby ktoś mi powiedział...

– A mnie?! – przerywa jej Sambur. – Ja bym....

– A ja – ciągnie za rękę Oksanka – kiedy byłam w pierwszej klasie...

– A ty się nie odzywaj! – strofuje córkę Luda Bojko.

– Nawet w koszmarnym śnie coś takiego ci się nie przyśni! – wpada w rozmowę Krawiec. Jego żona Larysa kopie go butem w łydkę. Boi się, że on przez to swoje zwichnięte poczucie humoru wszystko im zepsuje. Nie zawsze może śledzić, czy jego żarty są na miejscu, bo Igorek raz po raz wyrywa się z kolan i leci do wyjścia. Kiedyś w ten sposób wybiegł z domu i mało brakowało, żeby wpadł pod ciężarówkę. A dwa lata temu, kiedy byli nad Oceanem Atlantyckim, wszedł do zimnej wody i zaczął ją żłopać. A oprócz tego jeszcze lubi widelce i wali nimi w talerze i filiżanki. Matka jest zmuszona, powstrzymując jego nieodparte pragnienie, wyjąć widelec z dziecięcej ręki tak, aby nie powyłamywać mu wszystkich palców. Pozbawiony zabawki Igor spełza na podłogę i mknie w stronę drzwi. Larysa spogląda z rozpaczą na Krawca i biegnie w ślad za synem. Ale ani spojrzenie żony, ani nawet jej kopnięcie nie powstrzymują Krawca.

– Gdyby ktokolwiek mi wspomniał, że życie potoczy się w ten sposób – oświadcza – to plunąłbym mu prosto w oczy!

– A mnie przez te wszystkie lata nigdzie nie pozwalali wyjechać! – wspomina Bojko.

– A ja – mówi Ulana – latami nie mogłam wydać mojego drugiego tomiku!

– A ja się kiedyś budzę – rechocze Sambur – no, pewnie, że nawalony. Rzucam okiem przez okno, a tam, gdzie zawsze wisiało hasło „Chwała KPZR" – goła ściana! No, mówię do siebie, Alosza, schlałeś się tak, że masz już zwidy ! Trzeba z tym skończyć!

– Tak! To był cud – zgadzają się z nim wszyscy. – Tego nikt nie mógł przewidzieć!

– Ale dlaczego? – próbuje pojąć Kohut.

– Z kilku powodów – mówi Bojko, bo on jest nie tylko filologiem, ale również politologiem. – Weźmy tylko jeden argument. Armia. Kiedy w tamtych czasach zbieraliśmy się i marzyliśmy o niepodległości, to zawsze mówiliśmy sobie: popatrz na mapę, wszędzie okupacyjne okręgi wojskowe, bazy, podziemne magazyny, broń atomowa. I to otrzeźwiało. Jak walczyć z czymś takim? Kiedy kolej, drogi, szlaki morskie, komunikacja – wszystko to było skierowane na Moskwę.

– No, to teraz – radzi docent Kohut – musicie na wszystko spojrzeć w inny sposób. Wziąć kurs na NATO i na Europę. Zbudować nowe drogi. U nas zrobiono to sto lat temu. Kiedy Henry Ford zaczął wypuszczać produkowane przez siebie auta. We Włoszech to samo zrobił szybko Mussolini, bo rozumiał, jakie znaczenie mają drogi. To, nawiasem mówiąc, było pierwszą rzeczą, od której Rzymianie zaczynali na nowych terytoriach. Na przykład w Brytanii. Jeszcze przed Chrystusem.

– To prawda – Ludmiła podchwytuje myśl Kohuta. – Ale przecież u nas zakazana była wszelka duchowość. Nie daj Boże wspomnieć gdzieś, że jest się wierzącym! Chociaż swoje dzieci ochrzciliśmy. Nasza Oksanka jest grekokatoliczką (zrobiliśmy to we Lwowie, w domu znajomego rzeźbiarza), a Roksolanę ochrzciliśmy już w Kijowie, w prawosławnej świątyni.

Ci, którzy z początku nałożyli sobie mięsa, teraz próbują owoców morza. I na odwrót. Jeden przez drugiego wspominają represje, których wszyscy musieli zaznać.

Sambur z konkretnych przykładów układa obraz tego, jak ciężko mu było wystawiać sztuki. Każde z nich może dorzucić coś o prześladowaniu wszystkiego, co świadome narodowo.

– Proszę, oto tylko drobny fragment – mówi Ulana – tego, do czego przywykliśmy i z czym pogodziliśmy się. Pewnego razu, kiedy miałam jakieś siedem-osiem lat, wynajmowaliśmy kwaterę na Krymie...

– Co to jest? – dopytuje się Kohut.

Objaśniają mu wszystko.

– No i – ciągnie Ulana – gospodarz słyszy, że zwracam się do rodziców po ukraińsku. To go bardzo oburza i mówi do mnie – przecież jesteś kulturalną dziewczynką, a mówisz po wsiowemu. To nie ma przyszłości!

– Co? – nie rozumie Kohut. – Co on ci powiedział?

Objaśniają mu, co to znaczy. Jest wstrząśnięty: – Ależ dlaczego nie protestowaliście?!

– Jak?

– Trzeba było iść do innego gospodarza! Niechby ten przynajmniej finansowo (jeśli nie można postawić go przed sądem) zapłacił za swój szowinizm!

– Och, to łatwo powiedzieć.

– U nas za coś takiego trafia się do sądu. Bo to jest rasizm!

– A u nas nie zwracało się na to uwagi. U nas mówili: dobrze, że nie rozstrzelali!

– No, jakże tak można!

– A to jeszcze nic. U nas przemilczano głód. Głód trzydziestego trzeciego roku.

– I dwudziestego drugiego!

– I czterdziestego siódmego!

– A to, że Kijów w dwudziestym roku stał zimny, głodny i zupełnie pusty! Czemu nikt o tym nie wie?!

Wspominają nawet o tym, jak to za Chruszczowa, w sześćdziesiątym trzecim roku pieczywo było reglamentowane i dzieciom w szkołach rozdzielali bułeczki według listy. Co prawda jednak nie wszyscy to pamiętają. Tylko Sambur (miał wtedy piętnaście lat) i Bojko. Ludmiła jest młodsza od męża i mieszkała wtedy na wsi. A Ulana i Krawcowie są gdzieś tak przed trzydziestką.

– Dlaczego? – pytają sami siebie i w trakcie dyskusji znajdują odpowiedź. – Dlatego, że bardzo długo byliśmy niewolnikami! W niewoli nas rozmyślnie okaleczono. Amputowano nam godność. Ale w końcu się wyrwaliśmy. Nie tylko nie umarliśmy, ale w dodatku jeszcze zachowaliśmy duszę, i pociąg do wolności, i język.

W tym czasie dopijają i cabernet, i burgunda. A sherry – nie, bo ma dziwnie podejrzany kolor i smak.

Na wyścigi przechwalają się, kto ilu krewnych oraz przyjaciół nawrócił na ukraińskość.

– A ja – swoją bratową – mówi Ludmiła. – Wiecie, jakie miała panieńskie nazwisko? Barinowa! Mimo to, teraz ona mówi lepiej niż brat, wyplata, robi wycinanki, i nauczyła się połtawskiego haftu. A pochodzi z Ługańska.

– Teraz trzeba mówić Ługańskie, a nie Ługańsk – poprawiają ją.

– I Donieckie.

– I Hemingwej.

– I Sapiehów.

– A gdzie to jest? – pyta docent Kohut.

– W obwodzie tarnopolskim. To takie ładne miasteczko. Ale zrobili z niego „Sapiegow". A powinno być – Sapiehów. Dlatego, że to od Sapiehy. Był taki wojewoda litewski.

– Litewski, ale zukrainizowany!

– Przez kogo?

– Jak to przez kogo? Jasne, że przez kobietę. *Cherchez la femme!* U nas wszystkie one to czarownice. On sam, chociaż szlachcic, wziął sobie prostą dziewczynę. Ale za to piękną.

– Czyżby? Zdaje się, że to sułtan turecki miał żonę Ukrainkę. Z Rohatyna.

– Sułtan tak. Ale Sapieha też.

Dziewczynki bawią się w berka. Igorek stoi osobno. Kiedy ktoś go trąca, macha rękami, podskakuje w miejscu i śmieje się radośnie. Na pozór (jeśliby nie brać pod uwagę kiwania główką ani dziwnych okrzyków zamiast słów) to całkiem normalny chłopczyk, ładny, wysoki, przyjazny. Ale dzieci wyczuwają, że z niego żaden uczestnik zabawy, bo sama idea zasad zabawy znajduje się gdzieś daleko poza nim.

– A czemu on nie chce się z nami bawić? – pyta Oksana Larysę Krawiec.

– Nie, on chce – wyjaśnia ta – ale nie może.

– Nie umie?

– Nie zaczepiaj chłopczyka – mówi Ludmiła do córki.

– Wręcz przeciwnie! – mówi Larysa – on po prostu nie rozumie tej zabawy. Ale jak się z nim pobawicie, to od razu zrozumie. Nauczcie go. On bardzo tego chce.

Oksana podchodzi do Igora, chwyta go za rękę i mówi:

– Teraz ty – berek! Goń nas!

Igor jest zachwycony. Zanosi się śmiechem i pada głową na stół. Matka ciągnie go na siebie i tym samym ratuje zastawę. Dziewczynki widzą, że z Igorka pożytku nie będzie i żeby urozmaicić zabawę, włażą pod stół i próbują wciągnąć do zabawy dorosłych.

– Złapałam pana – wrzeszczy Kohutowi do ucha Roksolana. Zaskoczony w ten sposób krztusi się, kaszle i opryskuje wielu siedzących miękkim, brudnobrązowym ryżem.

– Ejże! Roksolano! – podnosi się Bojko. Ale psotnica już śmignęła pod obrus. Zanim zniknie pomiędzy dorosłymi nogami, pakuje wskazujące palce obu dłoni do ust, rozciąga je, wywala język i mówi do Kohuta: – Beeeeeee!

– To właśnie – ty! – odpowiada jej docent.

– Roksia! – zrywa się Ludmiła – Hej... Oksano! Dawaj ją tutaj!

Oksana rzuca się pod stół. Przez chwilę dolatują stamtąd płacz, pisk, odgłosy bójki.

Bojkowie rozdzielają córki.

– Nigdy – mówią do gości – nie wtrącamy się do tego. Niech same sobie poradzą.

Tymczasem, nie zauważony przez rodziców, Igor Krawiec, też włazi pod stół, żeby badać nogi. Podpełza do docenta Kohuta i przestrasza go. Kohut podskakuje i wylewa na siebie wino. Ale to tak, że ochlapuje marynarkę, koszulę i spodnie.

VI

Docent Kohut pospiesznie idzie do toalety, gdzie próbuje zmyć plamy.

– Sól! – woła Larysa. – Sasza! Weź sól! I solidnie posyp nią wszystkie plamy! Co tak siedzisz?! Pomóż mu!

Krawiec, nie zwlekając, znika za drzwiami, na których przedstawiono spodnie i parasolkę.

BÓG: Ze strychu przedostałem się na dach. Na dachu było ślisko i strasznie. Umościłem się na samej górze i rękami objąłem komin. Potem z całych sił zawrzeszczałem: *Boże, czy mnie słyszysz, Boże?!* Bóg mnie słyszał. Kiedy to zrozumiałem, poczułem się zakłopotany i zapomniałem o przygotowanych w rozdrażnieniu słowach. *Dzięki czemu żyjesz?* - zapytał Bóg. Czy miałem mu odpowiedzieć? Uff. *Co was czeka w przyszłości?* - zapytał po raz drugi. Może zresztą wcale nie mnie. Ręce szybko mi ścierpły, ale bałem się poruszyć. Jakbyś nie kombinował - od razu runiesz w dół. Najtrudniej będzie stąd zejść. Wysokości bałem się już od dziecka. I żadnej nie miałem radości z oglądania perspektywy miasta. Gdybym był ptakiem, chyba umarłbym od razu - rozerwałoby mi serce. *Czy istnieje Bóg, jak myślisz?* - Bóg zwrócił się do mnie po raz trzeci. *Jest* - pokiwałem twierdząco. Odpowiedź na to pytanie nie stanowiła dla mnie żadnego problemu.

JURKO IZDRYK („Czerwer", nr 3, 1992)

Bojko podejrzewa, że w toalecie Krawiec nie tyle będzie walczyć z plamami, ile namawiać Kohuta, by ten zatrudnił Larysę w swojej katedrze na etacie lektorki rosyjskiego. Jeśli ten się zgodzi, to niewykluczone, że ona powie mu przede wszystkim: a ja mogę wziąć jeszcze grupę ukraińskiego! A to będzie oznaczało, że Bojko ze swoimi kobietami może już dziś pakować walizy. Dlatego, że z chętnych do nauki ukraińskiego dwóch grup się nie uzbiera. I to jest niesprawiedliwe! Bo ona i tak za chwilę dostanie zieloną kartę, a po to, żeby Bojko mógł zostać tutaj choćby przez jeden marny semestr, Kohut, jako ojciec katedry, musiałby zatroszczyć się o niego, gdzieś chodzić, dzwonić, zaprzątać sobie głowę, zdobywać fundusze... A ona co sobie wyobraża?!

Sambur nie pcha się na wykładowcę, ale ma wewnętrzne przeczucie, że Kohut nie będzie w stanie uszczęśliwić wszystkich. I nawet nie zechce. Dobrze będzie, jeśli jednego. Czy też jedną. Tego, kto podsunie się pierwszy. Bo Sambur wie, że Kohut to oczywiście cymbał, ale w środku jest miękki. I dlatego można na niego wpłynąć. A on da temu, kto silniej przyciśnie.

Bojko z Samburem, nie wyjaśniając powodów swego działania, wyślizgują się zza stołu, wskakują do toalety i zastają tam scenę następującą. Kohut bez marynarki (marynarka znajduje się na suszarce, obficie obsypana solą) leży plecami na muszli (albowiem jeśli będzie stał, to sól się zsypie i nie zdąży wchłonąć wina). Nad nim zawisa Krawiec, który macha solniczką nad Kohutowym odzieniem. Z ostatniego zdania Krawca wynika, że już zdążył się naprzepraszać za syna i teraz wyjaśnia Kohutowi, że jego Igorek postąpił tak nie przez złośliwość, ale ze względu na swoją przykrą chorobę. Kohut chce się podnieść. Krawiec go nie puszcza, bo trzeba poczekać dwie-trzy minuty, żeby sól zdążyła wyciągnąć z tkaniny całą ciecz.

– Chciałem jeszcze powiedzieć – precyzuje – że ona, Larysa, i to nie żebym chciał ją nadmiernie wychwalać, to jest, że przesadzam w opisie jej zdolności. Nie! Ona ma dyplom z czerwonym paskiem. Jest językoznawcą, lingwistką. Pracowała nad doktoratem. Aż tu nagle – ciąża, urlop macierzyński, poród. Ale zdała dwa egzaminy. Kierunkowy i z francuskiego. Fonetykę, leksykę, typologię... Temat pracy doktorskiej – „Partykuły i spójniki w różnych językach". Gdyby nie była zmuszona siedzieć z synem...

– U nas są po to – Kohut podnosi się jednak – różne „day-care". Wy nazywacie to u siebie „żłobek".

– Sekundkę! – kładzie go znowu na urządzenie sanitarne Krawiec. – O, tu jest jeszcze kropla.

Na Kohutowych spodniach w kratę tworzy się po chwili solna zaspa.

– O, tak. Zaraz wszystko wyciągnie. Właśnie tak! Ona może choćby nawet na pojedyncze godziny, choćby na pół etatu....

– No co? – Bojko z Samburem próbują plecami rozdzielić Krawca od Kohuta. – Gdzie nasz bohater? Żyje jeszcze?

To wejście daje Kohutowi możliwość zlezienia z muszli. Wyciąga kilka papierowych ręczników, strząsa nimi sól z ubrania. Przyglądnąwszy się plamom Sambur, a po chwili też i Bojko, zajmują miejsca przy pisuarach. Ale ujrzawszy, że Kohut rusza do drzwi, przerywają czynność i chwytają go pod ręce.

– Ja ... tego... – mówi do niego Sambur – widzisz, docent, ja przez cały czas chciałem zapytać odnośnie bankietu. Nie odwołali go jeszcze? Bo ja jestem ciągle gotowy. I taki festiwalik urządzimy, że... Totalna awangarda!

Kohut nie może załapać znaczenia tych słów.

– Totalisze awangardejszyn! – wyjaśnia Sambur. – Ja jestem w pełnej gotowości! Scenariusz. Bankiet. Słowianie.

– O! O! – poprzez krótkie frazy zaczął wreszcie docierać do Kohuta sens wypowiedzi. – Konferencja!

– Yes-s-s! – obejmuje go Sambur. – Napisałem dwa scenariusze. Następny ruch należy do ciebie. Bo mój angaż kończy się w grudniu. A bankiet ma być w lutym. Tak więc, towarzyszu dowódco, bierz pan kurs na decyzję!

– Trzeba to powiedzieć mojej sekretarce. Ona wie, jaka jest w takich przypadkach procedura.

– No!

– À propos! – Bojko wbija się między drzwi a Kohuta. – Jurek! Ty kiedyś wspominałeś coś o podręczniku. Do języka ukraińskiego. Że nie ma jeszcze dobrych książek. Mam w związku z tym pewną myśl. I gdyby nad tym popracować, to znaczy w waszej bibliotece, no choćby z pół roku... Zapoznać się z nowymi trendami...

– To trzeba przemyśleć. Do dwudziestego...

– Larysa – krzyczy im w plecy Krawiec – robiła odpowiednie kursy. Jest obeznana z wszystkimi metodami. Z metodą intensywną, z metodą totalnego zanurzenia, z bułgarską. Tego... no, jak mu tam... zapomniałem nazwiska!

– I podręcznik ten wyszedłby – maluje Bojko obraz świetlanej przyszłości – pod szyldem twojej katedry!

– To trzeba będzie z Jeniffer – przepycha się do drzwi Kohut – to moja sekretarka. Ona wie, jak to załatwić. Żeby papiery złożyć do dwudziestego.

– Dziesięć lat byłem we Lwowie głównym reżyserem – odpycha Bojkę Sambur. – Lwów to przecież ukraiński Wiedeń! Rozwinięta kultura kabaretów i kawiarni. Opowiadałem ci, jak kiedyś zmontowaliśmy sex-show na motywach ukraińskiej klasyki? Wyobraź to sobie tylko! Nie uwierzysz! Wziąłem Neczuja...

– Zrobimy to – mamrocze zablokowany ze wszystkich stron Kohut – dwudziestego.

– Co? Dopiero dwudziestego? – nie może uwierzyć Sambur. – Przecież dzisiaj jest dwudziesty trzeci!

Z drugiej strony ktoś wali butem w drzwi. Uderzony w plecy Sambur, rozłożywszy ręce, pada na podłogę. Przez niego z hukiem przelatuje coś tęgiego w dżinsach z paskiem i szczoteczką do zębów w ustach. Nikt nawet nie zdążył się przestraszyć, tak szybko bałwan zajmuje ostatnią kabinę i trzaska zamkiem.

W czasie, gdy Bojko z Krawcem podnoszą kolegę, nie upilnowany Kohut czym prędzej wyskakuje na zewnątrz.

Pod drzwiami czatuje na niego Ulana. Dusi ją wściekłość. – Jak to tak! – dyszy. – Jak oni śmieli! To jeszcze jeden przejaw tysiącleci nieustannych poniżeń i ucisku płciowego. I to kto? Nic nie warci. Zera. Bo to oni rządzą światem. I właśnie oni wycyganią od niego to, co po sprawiedliwości jej powinno się należeć! Bo nikogo tu nie obchodzi przyszłość Ukrainy!

– Jureczku! – Ulanie udaje się gest, przewidziany na przypadkowe spotkania. Po drodze do stolika wciska Kohutowi konspekt kursu kultury i cywilizacji Ukrainy. Poczynając gdzieś od czasów kultury trypolskiej. Ten projekt jest czymś unikatowym. I obliczony jest na rok. Ulana mogłaby zaprezentować plan choćby zaraz. Wszystko jest tam opracowane. Trzeba tylko co nieco doszlifować. Ale to drobiazgi, które zajmą może ze dwa miesiące, nie więcej. Trzeba tylko, żeby katedra Kohuta zajęła się załatwianiem, pokazała, że chcą Ulany u siebie. Minimum na dwa semestry.

– O, to byłoby dobrze – zgadza się Kohut. – Trzeba powiedzieć Jeniffer.

– Na wiosenny i jesienny – precyzuje Ulana.

– Tak – mówi Kohut – bo zima tutaj jest nie taka, jak u was.

– Albo już na ten rok akademicki – w biegu zmienia plany Ulana. – To byłoby logiczne. Ale w takim razie musiałabym mieć zaproszenie, albo jakiekolwiek poświadczenie do następnego września. Bo mój grant, to jest stypendium, jest tylko do końca grudnia. A to oznacza, że zostaje koniec zimy, wiosna i lato.

– Lato jest u nas upalne – z każdym zdaniem Kohut powoli, ale jednak przesuwa się w stronę stołu. – Bez klimatyzacji ciężko. Ale można będzie pojechać w góry. Bo tam nie jest tak parno.

– A wiosną mogłabym tu być lektorką języka. Do jesieni.

– Jesienią też jest u nas ciepło – Kohut zatrzymuje się, przypomniawszy sobie o czymś przyjemnym. – O jakieś dwie i pół godziny jazdy stąd jest kolej. I jaskinie. A w październiku mamy święto naszej miejscowości. Zewsząd zjeżdżają się farmerzy i pod gołym niebem w swoich kotłach smażą jabłkowe masło.

– Powidła – nie może nie poprawić go poetka – jabłkowe powidła.

– O! – docent Kohut przymyka oczy. – To jest wyśmienite!

VII

Podczas kiedy mężczyźni gdzieś się zapodziali, Larysa z Ludmiłą zgarniają sól i przywracają porządek na stole. Roksolana goni Oksanę. Igor macha rękami, podskakuje, wyrywa się na ulicę. Matka trzyma go za rękę.

– No a poza tym, jak z nim? – pyta Ludmiła. – Wszystko normalnie?

– Co znaczy „normalnie"? – z trudem powstrzymuje się Larysa.

– No, alergii nie ma?

– Alergii?

– A nas, rozumiesz, one po prostu zamęczyły! To Roksolana, to Oksana. I na pomarańcze, i na mango, i nawet na te... jak im tam... te z Nowej Zelandii?

– Kiwi.

– No, no! Po prostu okropne! (Luda sypie szczegółami tego, co, w jakiej ilości i w jakich miejscach wyskoczyło dziewczynkom).

Larysa mówi, że byłaby najszczęśliwszą z matek, gdyby alergie były jej największym zmartwieniem.

– A co, on nie rozmawia?

– Nie widzisz?

– A mnie się zdawało, że jakby coś mówił.

– Powiedział: „a-tie-pie-tie-pie". To właśnie powiedział!

– To może on mówi językiem, jakiego nie rozumiecie?

– Może.

– Moje też, widzisz, jak zaczną przedrzeźniać jedna drugą! – Oksana zatrzymuje się, usłyszawszy, kogo tu obgadują. Koło niej przystaje też Roksolana. – O, przybiegły! Wy świntuchy! A po cóż tak drażniliście wujka Kohuta? No, pytam cię, Roksiu! Ha?

Roksia chowa się pod stół.

– On ma – pyta Ludmiła – tak jakby opóźnienie umysłowe?

– Nie, to nie opóźnienie – wyjaśnia Larysa – to autyzm.

– Co?

– Zagadka medyczna. Niezbadany fenomen – mówi Larysa. – Do osiemnastego miesiąca rozwój przebiegał zgodnie z normą. Igorek mógł nawet powiedzieć zdanie z dwóch-trzech słów. Potem, przed wyjazdem do Ameryki, zrobili mu szczepienie (bez niego w przychodni nie wydawali zaświadczenia). Od tego czasu zaczął się u niego regres, jakby z każdym dniem staczał się w niewidzialny dół. Pozapominał prawie wszystkie słowa, zapomniał wyuczonych nawyków, nie poznawał ludzi, nie wiedział, co robić z zabawkami.

– Nie, niepotrzebnie masz taki stosunek do szczepień! – protestuje Ludmiła. – Ja osobiście nie sądzę, że to od szczepienia. Bo szczepienia są potrzebne. W mojej szkole...

– Zapomniał nawet to, co umiał kiedy miał roczek! – Larysa zmienia rękę i sadza Igora na krześle. – Posiedź spokojnie sekundę! Teraz trzeba go nauczyć wszystkiego od zera. Wszystkiego! Jak chodzić po schodach, jak myć ręce, jak jeść łyżką. Normalne dzieci łapią to z marszu, a tutaj spróbuj mu to wyjaśnić! I gdzie gwarancja, że jutro znowu nie zapomni wszystkiego!

– Ale wątpliwe, żeby to od szczepienia! – nie rezygnuje Ludmiła. – Ja raczej sądzę, że to przez Czarnobyl. Pewnie jakieś mutacje genów już się dokonały. Bo co my o tym wiemy?! Sama pamiętasz, jak oni ukrywali wówczas przed nami wszelkie informacje! Proszę, to są winowajcy! A teraz co, myślisz, że mówią nam prawdę? Przed wyjazdem czytałam, że gdzieś w obwodzie żytomierskim pojawiły się nieznane nauce zwierzęta. I dzieci bez palców... A ilu debili się rodzi!

– Nasz syn nie jest debilem! – obrusza się Larysa. – Kiedy miał osiem miesięcy, po raz pierwszy stanął na nóżkach i rano, w swoim łóżku, tak popatrzył na nas, że wtedy w nas wszystko się przekręciło. Tak, jakby to nie on był dzieckiem, a my jego rodzicami, ale na odwrót. Jakby on wszystko rozumiał, a nawet więcej...

– No, powiem ci, że dzieci często patrzą niezrozumiale – nie poddaje się Ludmiła.

– No co, czego ty chcesz ode mnie?! – Larysa oburącz przyciska Igora do krzesła. – Czy ty możesz nie wyrywać się choć przez chwilę?!

CIĄG DALSZY NA STR. 18

DIABEŁ: W piwnicy było ciemno i nie mogłem niczego dojrzeć. Słyszałem tylko jego oddech. Nauczony dowiadczeniem już nie otwierałem ust. On też milczał. Tylko oddychał ze świstem, jakby był słaby. Na wszelki wypadek w kieszeni pokazałem mu figę. Zaśmiał się. Właściwie uśmiechnął pod nosem. Zrobiło mi się smutno. Prawda, mam trzydzieści lat, a zachowuję się jak gówniarz. Pacan. Od betonowej podłogi nasilił się mój reumatyzm. Nieprzyjemny, łamiący ból podnosił się od stóp do kolan. Zrobiłem krok w tył i stanąłem na pierwszym szczeblu drabiny. Tak też było niewygodnie, bo trzeba było schylać głowę pod powałą. Długo w takiej pozycji nie wystoisz. Zacząłem słuchać. Oddech jakby przycichł. *Hej* - odezwałem się na próbę. *Tu jestem, tutaj* - odpowiedział. Głos wydał się jakiś znajomy. Zrobiło mi się przyjemnie, że nie sam tu marznę. Bo i marznąć nie miałem już długo.

JURKO IZDRYK („Czerwer", nr 3, 1992)

Urodziny

CIĄG DALSZY ZE STR. 17

– I co z tym robicie? – pyta Ludmiła. – Leczycie to jakoś? Trzeba przecież działać!

Larysa w jednym zdaniu wylicza cały swój szlak od rejonowej lekarki z czarną gębą do pełnych godności amerykańskich lekarzy.

– Powiem ci – mówi Ludmiła – że znajomości to jeszcze nie wszystko. Nasza Toma, sąsiadka z czwartego pietra, ma wnuczkę, Alonę. Jej mąż, generał-major, od dziesięciu lat już jest na emeryturze. Oczywiście tam i wyżywienie jest odpowiednie, i opieka medyczna taka, jak dla czwartego departamentu, jednym słowem wszystko „od a do z". I co myślisz? Kiedyś tak ich Alonę obsypało bąblami, że musieli wzywać pogotowie. A przyczyny do dzisiaj nie ustalili! Może coś zjadła.

– Zdarza się.

– A może powinniście – chwyta się nowej myśli Ludmiła – spróbować czegoś nietradycyjnego?

– Było – macha w odpowiedzi Larysa i opowiada, do jakich ludowych i domorosłych uzdrowicieli kiedyś się zwracali. Oczywiście nie tutaj, ale w domu, dokąd ona z Igorem jeździ każdego lata.

– Zanim dostaniesz się do Boryspola – skarży się Larysa – przeklniesz wszystko na świecie! Saszko ma tu pracę, musi tu być. A mnie samej jest trudno. Na grzbiecie plecak, tu – walizka, na ramieniu torba (bo wszyscy przecież czekają na prezenty, nie daj Boże pominąć kogoś – obrazi się na całe życie!), no a z tej strony – Igor. A na niego i dwie ręce to za mało.

– Dokładnie! – cieszy się Ludmiła. – Ja też miesiąc temu wysyłałam przez baptystów paczkę i od razu zadzwoniłam do teściowej. Tak, a tak, powiadam, czekać! A wiesz, co ona mi na to powiedziała?

– Ja rozumiem – podniecona Larysa chce dokończyć myśl. – Chodziliśmy z nim i do znachorów, i do bioenergoterapeuty (miał tytuł doktora)...

Ludmiła też, jeśli już zacznie, to nie lubi kończyć w pół słowa. Ale, żeby Larysa usłyszała o tym, co powiedziała Ludmile teściowa na jej prośbę o wysłanie cudownego panaceum „mumijo", Ludmiła musi co najmniej przekrzyczeć Larysę.

– A potem rodzice – wpada Larysa – wysłali zdjęcie Igorka do kobiety, która mieszka pod Łuckiem...

– I wyjaśniłam – walczy z nią Ludmiła – gdzie dokładnie to leży. I w co zapakowane. W niebieską folię! Pod zamrażalnikiem! Tam, gdzie propolis!

– Popatrzyła i mówi – Ludmiła na całą restaurację rozgłasza rodzinną tajemnicę Krawców – że to ktoś z bliskich rzucił na niego klątwę!

Jej syn szamocze się, bije piersią o stół, chce się wyrwać. Nie udaje mu się. Wygina się, wyciąga twarzą do sufitu i wyje.

Ludmiła milknie.

– Ktoś z bliskich? – wypytuje.

– Tak.

– Ja bym takiego gada dostała – obiecuje Ludmiła – nawet spod ziemi! I dusiłabym go dotąd, aż sam...

– A jeszcze ta kobieta – Larysa osuwa się na krzesło – powiedziała mi: „Odpuść im! Wszystkim! Tym, którzy są winni twoich krzywd. Nie zatrzymuj w sobie nawet kropli zła, bo ono ciebie otruje. I wybacz im. A wtedy idź do cerkwi..."

– Powolną śmiercią! – momentalnie przejmuje się cudzym nieszczęściem Luda. – Dusiłabym go codziennie, od rana do nocy! I w środku nocy też!

– Jedyne co mnie teraz podtrzymuje – cicho, nie wiadomo do kogo, mówi Larysa – to jakieś... i nie wiedza, i nie przeczucie... Wiara? Raczej nie... Raczej – nadzieja... Tak, to bliższe jest nadziei... Że i to jego spojrzenie, kiedy miał osiem miesięcy, i to, co stało się potem, i to, że on taki ładny – że to wszystko nie jest tak.

– Myślisz, że wyrośnie z tego? – przypuszcza Ludmiła. – U mnie w pracy córka koleżanki też nie mówiła do czwartego roku życia.

– Nie, nie! – przerywa jej Larysa. – Nie o tym mówię.

– Jesteś jeszcze młoda – poucza ją Ludmiła. – Skąd możesz wiedzieć, co będzie dalej? Ja, na przykład, nie wykluczam, że wy sami to spowodowaliście przez dwa języki. Tak nie można – w przedszkolu słyszy angielski, a w domu... Po jakiemu rozmawiacie w domu?.. Pewnie po rosyjsku... A z dziećmi umysłowo opóźnionymi...

– On nie jest umysłowo opóźniony!

– Nie obrażaj się. To samo życie. Znać diagnozę to połowa sukcesu.

Igor zrywa się ze swego krzesła. Larysa biegnie za nim, chwyta go i bije. Igor drży, mruży oczy, trzepoce rękami, ale nie krzyczy i nie płacze.

Obecni w restauracji oglądają się. Nie są pewni, czy to co widzą, podpada pod kategorię naruszenia praw dziecka. Na wszelki wypadek uśmiechają się. Bojkowe dziewczynki, które kręciły się wokół akwarium ze złotymi rybkami, skaczą na wyścigi, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

Larysa ciągnie syna do stołu.

– Ale się zmęczyłam! – mówi do Roksolany. – Czy go bijesz, czy nie bijesz, on nigdy się nie skarży. To skąd mam wiedzieć, co go boli? Gdzie? I czego chce?. No, gdzie ty biegłeś? Mów! Czemu ty milczysz?!.. Choć raz ktoś by z nim posiedział! Zastąpiłby nas. Poszlibyśmy gdzieś. Upili się. Albo do jakiegoś kina. Bo przez cztery lata ani razu nie byliśmy w kinie!

Ludmiła odsuwa córki dalej od Igora.

– Nam też – uspokaja Larysę – nikt nie pomagał. Tylko moi rodzice. A żeby teściowa kiedykolwiek...

Igorek ryczy jak zwierzę.

Larysa dłonią zatyka mu usta: – Zamknij się! Bo zaraz cię zabiję!

– Jesteś jeszcze młoda... – naciska na nią Ludmiła.

– A ty milcz! – odcina się Larysa. Zbiera łzy w garść, przyciska się do syna i trze oczy o jego ramię.

– Jak ja ciebie dobrze rozumiem! – wybacza jej nieuprzejmość Ludmiła. – Bo przecież jesteś matką. A chłop zawsze zostanie chłopem.

– A czasem widzę, jak to będzie – bardziej do syna, niż do Ludmiły szepcze Larysa – jak on kiedyś obudzi się rano i przemówi do mnie. Jak śpiąca królewna.

– Myślisz, że nam z Bojką zawsze i wszędzie było lekko? – również szeptem pyta Ludmiła.

– Ale kto go – nie słyszy jej Larysa – wyzwoli z tego snu? Jeśli wokół nas, w najlepszym razie, są sami ślepi i obojętni ludzie. Głupie krety. Zazdrośni, grubiańscy, tępi, źli...

– Dokładnie! – zgadza się z nią Ludmiła. – Gdybyś wiedziała, jak ja się z nim namęczyłam! Kiedyś ci opowiem...

Nagle zauważa, że korytarzem suną w ich stronę Ulana z Kohutem i od razu zmienia temat.

– Ale trzeba mu więcej czytać! – radzi Larysie. – I tłumaczyć. Na przykład tak, bierzesz widlec i mówisz do niego: „Popatrz tutaj. Widzisz? To widlec. Powtórz!". To jest, co ja mówię – nie widlec, a widelec!

– Czy taki cud jest możliwy? – Larysa z trudem powstrzymuje łzy.

– Bo to, wiesz – tłumaczy się Luda – jak już od dziecka coś słyszysz... Chociaż, oczywiście, powinno się mówić widelec. A u nas w domu czemuś mówili widlec. Kto by pomyślał! Wszyscy między sobą – dzieci, rodzice – zawsze i wyłącznie po ukraińsku, a zamiast widelca – widlec!

Igorek chwyta widelec i stuka nim w sosjerkę.

– Widzisz? Rozumie mnie! Powiedz: widelec, widelec, widelec...

Pod belferskim spojrzeniem Ludmiły Igorek przyklęka i napręża się.

– Nie! – Larysa klęka i włazi pod stół.

– Co jest? O co chodzi? – przestraszona Larysa schyla się i widzi kałużę, która pełznie do jej nowych butów, wykonanych w dalekiej Brazylii.

Larysa popycha swego syna obok Ulany i Kohuta do męskiej toalety i rozsuwając Bójkę i Sambura, przekazuje syna ojcu. – Masz!

– Co się stało? – ten nie rozumie.

– Ot co! Popatrz tutaj! Zrób coś, bo ja muszę posprzątać kałużę. Wziąłeś ubranie na zmianę?

– Koszulę i spodnie. W torbie, na tylnym siedzeniu.

– A majtki?

– Nie!

– Jak to nie?!

– A tak to! Co się tak na mnie patrzysz? To nie ja się zlałem! Przecież był z tobą!

VIII

Opróżniają butelki, wyskrobują miseczki, czekają na herbatę.

Sambur zamaszystym gestem daje wszystkim do zrozumienia, że za chwilę opowie śmieszną anegdotę, o tym, jak dwie kompanie telekomunikacyjne (jedna z Europy, a druga z Ameryki) przebijały się na rynek ukraiński.

Ale uprzedza go Ulana. Zwraca na siebie uwagę docenta Kohuta i w taki sposób, żeby dotarło to do wszystkich – niby na marginesie – wspomina konferencję, z której właśnie wróciła. Wśród uczestników było trzech laureatów Nagrody Nobla. A ostatniego dnia, na bankiecie w hotelu „Waldorf-Astoria" Ulana prowadziła po polsku dyskusję z jednym z nich.

Luda zmusza córki, żeby zjadły do końca krewetki (bo w krewetkach jest dużo potasu). Dziewczynki jęczą. Ludmile udaje się między kuksańcami i groźbami opowiedzieć wszystkim o tym, że kiedy jej dzieci miały jechać do Ameryki, to dziadek i babcia, rodzice Ludmiły, kazali im nosić ze sobą mydło i wodę w buteleczce, bo w USA ludzi kosi AIDS. „Jedźcie sami dokąd chcecie – błagali – a wnuczki zostawcie nam! Przez to Oksana, kiedy poszła do szkoły, to przez pierwsze dni niczego nie dotykała i nie chciała usiąść w ławce. Ze zdenerwowania zaczęła się jąkać, na ciele pojawiły się czerwone plamy, temperatura podskoczyła do czterdziestu. Tak było u Oksany. A po Roksi – wszystko jak woda po gęsi.

Sambur artystycznie, wcielając się to w Niemca, to w Amerykanina, to w przewodniczącego komitetu obwodowego, przedstawia, jak dochodzono do historycznych postanowień. Istota jego żartu polega na tym, że podczas kiedy jeden z biznesmenów rozkładał swoje prospekty i demonstrował zalety, inny dowiedział się, komu i ile trzeba dać w łapę i w rezultacie wyrwał kontrakt.

Krawiec z synem siadają do stołu. Igor ma na sobie suche spodnie. Krawiec, żeby odciążyć żonę sadza go sobie na kolanach. Doczekawszy się pauzy, pyta Kohuta, jak tutaj robi się przegląd techniczny auta (bo od dawna ma już nieważne badania).

– Gdzie mają tutaj odpowiedni warsztat? I jak to zrobić? Trzeba umawiać się telefonicznie, czy można też bez uprzedniego zapisywania się?

– Można tak jeździć miesiącami – uspokaja Kohut Krawca. – U nas wielu tak robi. Dlatego nie musisz się przejmować.

– A jak złapią?

– To będzie mandat! Kilkaset dolarów. Bo w Ameryce nikt tak nie robi. Po to jest prawo.

– No to gdzie ten warsztat? – domaga się Krawiec.

– Jesteśmy już od kilku lat w Ameryce – włącza się Larysa – a ja nigdy nie widziałam tu zielonego czosnku. Cebula jest, w kilku gatunkach, i zielona, i w główkach. A czosnek – tylko w ząbkach. Nie wie pan czemu tu nie sprzedają młodego czosnku?

– U mnie na zakupy jeździ żona – wyjaśnia Kohut. – Do któregoś z supermarketów. To są wielkie sklepy albo „chain-stores". „Chain" – to znaczy łańcuch. We wszystkich stanach. A ja idę do lodówki, otwieram ją i mówię do siebie: „Ehe! Dzisiaj gotuję coś meksykańskiego!" Bo to można kupić w etnicznych sklepach.

– No a żona – pyta go Larysa – ona coś gotuje?

– O, tak!

– To wy oboje gotujecie? Razem?

– No pewnie. Bo u nas teraz jest feminizm. Mężczyźni muszą sami troszczyć się o wszystko. Kobiety też wolą robić własną karierę. Pora organizować własny ruch wyzwolenia mężczyzn.

Ale ten wątek w żaden sposób nie jest dalej rozwijany. Natomiast z inicjatywy Ulany, porzuciwszy jej sprawozdanie z bankietu w hotelu „Waldorf-Astoria", wszyscy ruszyli do omawiania losu naszej literatury. Bo wszyscy wiele czytają i znają niemal wszystkich wybitnych artystów. Ludmiła zmusza Oksanę do wyrecytowania wiersza, który ta napisała w trzeciej klasie z okazji starokalendarzowego Nowego Roku. Ale w czasie, kiedy Oksana walczy z onieśmieleniem,

CZŁOWIEK: Człowiek - to ja. Siedzę tu, w swoim mieszkaniu, nade mną Bóg, na dole w piwnicy zamknięty Diabeł. A może na odwrót - trudno odgadnąć. Cieszę się z tego, że tak jest. W jestestwie nasza siła. Kiedy się tu zjawiłem, powiedzieli mi - *Idź* - jednak zostałem. To mój dom. Moje krzesło. Moje okno. Wspinam się na strych po pszenicę i schodzę do piwnicy po wino. Dobrze mi tu. Ja jestem człowiekiem. Jestem człowiekiem. Jestem człowiekiem. Jestem człowiekiem. Jestem człowiekiem. Masło maślane. Ja żyję i wara od tego. Albo - niech was szlag. Jestem człowiekiem. Wiekiem. Em.

JURKO IZDRYK ("Czerwer", nr 3, 1992)

Roksia wykrzykuje wierszyk o muszce, która usiadła na konfitury.

Kohut, który kiedyś recenzował przekład *Soboru* Honczara, pyta zgromadzonych, czy Honczar jest socrealistą. Zdania są podzielone.

Rozbrzmiewa pogląd, że jeśli już ktoś z naszych zasługuje na Nobla, to Szewczuk. Bo jego pisarstwo to psychologiczna proza. A w dodatku jeszcze jest on historykiem, stylistą i filozofem. Człowiek na skalę Franki.

Bojko uważa, że nagroda Nobla stała się polityczną dziwką. Wszystkie kandydatury są rozpisane z wyprzedzeniem, panuje żelazna koniunktura, i chyba tylko debil nie widzi, w czyich rękach znajdują się wodze.

Ulana krytykuje Szewczuka (jechała kiedyś z nim w jednym przedziale). Szewczuk to populista. A to oznacza dzień wczorajszy.

Inni murem stają za Szewczukiem. Bo nie boi się pisać o mieście, nie lezie w politykę, pracuje dzień i noc, wykorzystuje masowo używane i na wpół zapomniane warstwy leksykalne.

Sambur jest zachwycony Szewczukiem. – To jest klasa facet – chodząca encyklopedia! – mówi. Sambur kiedyś wystawiał jedną ze sztuk Szewczuka, bywał u niego w domu i kilka razy pił z nim herbatę.

– Narodnictwo to anachronizm – odrzuca jego argumenty Ulana. – Bo teraz mamy dobę dekonstrukcji i postmodernizmu.

Kohut zgadza się z nią. – A u was – nie ukrywa zdumienia – nie znają fenomenologii! Nie wprowadza się studiów nad płcią! W dziewięćdziesiątym roku uczestniczyłem w panelu na posiedzeniu waszej Akademii Nauk. I zauważyłem, że oni nie znają terminologii! No to jak można było prowadzić pełnowartościową dyskusję!

Według Kohuta to kolektywizm jest powodem wszystkich zapóźnień. To właśnie jest ten hamulec, który nie pozwala ukraińskiej kulturze wlać się w zachodni kontekst. I dlatego do tej pory spełnia ona nie estetyczną, lecz wyłącznie społeczną funkcję. Rozumieją to młodzi artyści, bo oni już nie są skrępowani dogmatami i odrzucają tabu. Kohut spodziewa się, że przekład, nad którym obecnie pracuje, zniszczy klisze i zrobi odpowiednie wrażenie.

– Bo Ukraina – uważa on – musi się obudzić. I przepełnić się duchem entreprenerstwa... Czy jak wy to tam nazywacie?

– Przedsiębiorczość – znajduje słowo Ulana.

– Tak – kiwa głową Kohut, – bo to samo było kiedyś w Ameryce. Tylko, że my pracowaliśmy! Moi rodzice mieli po kilka etatów! Bo jak się będzie leżało na przypiecku, to nic z tego nie będzie.

Luda dzisiaj, po odprowadzeniu dziewczynek do szkoły, oglądała w telewizji jeden z ostatnich przebojów filmowych. A to przecież jest część ich kultury. Ich organizm domaga się tego, tak jak nasz – alkoholu.

– I zrozumiałam – dzieli się swoim odkryciem – że oni, biali, zanim przyszli, wszystkich wyniszczyli! Kiedy ustanawiali swoją władzę i dzielili strefy.

– Jakie strefy? Gdzie? Kto i kogo wyniszczał? – pytają ją.

– Strefy wpływów! Na Dzikim Zachodzie – tłumaczy swoją myśl Luda. – Kiedy kowboje zabijali tubylców! Dlatego, że przed Konstytucją panowało u nich pełne bezprawie! Jeszcze gorsze niż u nas! Oni teraz sami to przyznają!

Larysa w ciągu tych kilku lat, kiedy mieszkają tutaj, obrosła amerykańskimi przyjaciółmi. Teraz, komentując domysły Ludmiły, wyjaśnia rodakom, że u nich, Amerykanów, wszystko jest inaczej niż u nas. Bo oni nie są tacy sami jak my.

– Na przykład, idziecie do kogoś, powiedzmy, na piknik. I niesiecie ze sobą sałatę. A potem, po zakończeniu, spokojnie zabieracie ją (oczywiście to, czego nie zjedzono) do domu. Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, żeby się na was o to obrazić. Bo tak u nich jest przyjęte.

– Za to u nas – szeroki gest – mówią jej. – My gościowi niczego nie pożałujemy. Wszystko, co jest w domu – na stół! I to nie wczorajsze, nie z koncentratów. Wszystko świeże i smaczne. I niedopitkami u nas przyjaciół się nie częstuje. Możemy być dla nich głupimi Scytami. Jednak za to oni dla nas – to żłoby!

Tutaj rozmowa się na moment urywa. Goście wyczuli, że nagadali rzeczy niepotrzebnych. Ale nie widząc, jak z tego się wykaraskać, wszyscy po kolei sprawdzają, co mogliby jeszcze zjeść. Niczego, oprócz resztek żółtego sosu, żadne z nich nie znajduje. A ich uśmiechnięta kelnerka z wózkiem zbiera tymczasem brudne naczynia i robi miejsce na deser.

– Ale my, Ukraińcy – odnajduje się wreszcie Bojko – skoro już znaleźliśmy się tutaj, to moglibyśmy zebrać się i... to znaczy wspólnie... zrobić coś takiego... no, chociażby... ja wiem... po prostu, żeby o nas usłyszeli!

Wszyscy zaczynają gwałtownie rozwijać tę myśl. Bo każdy chciałby i ma czym przysłużyć się sprawie narodowej. Kursami języka, kultury i cywilizacji. Wystawianiem kolaży. Założeniem tutaj klubu ukraińskiego ze stałymi cotygodniowymi wieczorami literacko-artystycznymi. Z degustacją potraw ukraińskich, wykładami z towarzyszeniem magnetofonu i slajdów. Oni po przyjacielsku mogliby pomóc Jurkowi Kohutowi w pracy nad jego przekładem. Bo tam jest wiele rusycyzmów, jest potoczny surżyk, niezrozumiałe aluzje i nawiązania. Ażeby ten przekład stał się naprawdę wydarzeniem w ich życiu literackim. Wówczas dotarłoby do nich, że my – to nie Russia, ani Parasza.

– Jak tobie, Jurek, podoba się ta idea? – podsumowuje Bojko. – Czy coś takiego jest realne, czy nie?

– Może być – zgadza się z nim Kohut. – Uniwersytet wiosną organizuje tu festiwal etniczny. Studenci tańczą, śpiewają i organizują jeszcze inne zabawy. W mojej katedrze są różne kostiumy. Jeniffer wam pokaże. To dobra idea. Czemu by nie?

Wszyscy zmieszani milczą.

– Tak więc na bankiecie – wskakuje Ulana – rozmawiałam z pewnym brytyjskim prozaikiem. I zapytałam go, co on wie o Ukrainie. Na to on mi powiedział, że to bardzo duże miasto i że jest tam wielu katolików. A drugi, także znany poeta, tak mi oto wprost oświadczył: „Jaka literatura? Ukraińska? A istnieje taka?"

– O – zgadza się docent Kohut – to pogląd rozpowszechniony tutaj!

– No to – Ulana jest oburzona – trzeba ich jakoś uświadamiać! Niech twoja katedra otworzy kursy...

– Ale ja nie mam wolnych etatów – denerwuje się Kohut. – I skąd ja wezmę na to fundusze?! U nas się tak nie robi!

– Oczywiście! – Bojko popiera Kohuta. – Jakie jeszcze kursy?! Kiedy nie ma nowoczesnych podręczników! To od tego trzeba zacząć! Od podręczników!

– I trzeba do wykładania – proponuje Krawiec – zatrudniać nie artystów, ale fachowców!

Ulana oblewa wszystkich piekącą nienawiścią. Nie ukrywa, kto tutaj jest kim. Kandydatka na fachowca (czyli Larysa Krawiec) to zuchwała gospodyni. Sambur to alkoholik. Bojko – słabizna, sam siebie nazywa doktorem habilitowanym i profesorem, chociaż w rzeczywistości jest tylko doktorem i docentem. A jeśli idzie o artystów, to wszystko to prawda. Ona jest artystką, bo jej utwory są przekładane i na angielski, i na rumuński. I naukowych prac ma w dorobku więcej niż wszyscy obecni razem wzięci. Z docentem Kohutem włącznie. A w dodatku wykładała w dwóch amerykańskich college'ach!

– Brawo! – mówią jej. – Powykładałaś i odpocznij. Teraz niech inni wezmą swoje.

Ale jednolity front, który jednoczy wszystkich przeciwko Ulanie, kruszy się z każdym zdaniem. I już niebawem wszyscy walczą przeciw wszystkim.

– Jakie ty masz prawo – pytają jeden drugiego – osądzać mnie?! Jak ty możesz mówić „chciałbym mieć twoje zmartwienia?!" A co ty o mnie wiesz?!

Okazuje się, że każdy ma pewien (i dobrze jeśli tylko jeden) powód, aby się tu zatrzymać. Ale tęsknota za ojczyzną i ciągłe opanowanie, na które są skazani na tej, niechby nawet szczodrej, ale jednak obczyźnie, wybuchają burzliwymi spowiedziami.

Najgłośniej ze wszystkich spowiada się Ulana. Bo jako poetka odczuwa ona piękno i ból świata ostrzej niż wszyscy. I z wszystkich tylko ona zdolna jest przetopić otaczające migotanie w wyborne wersy. I choćby w ten sposób, ale jednak przejść do wieczności.

Z Ludmiły, na odwrót, wyłazi dokuczliwa powszedniość – złe sny (a stąd również odpowiedni nastrój), przejmowanie się dziećmi i ich chorobami, wspomnienia o tym, jak walczyła z różnymi siksami o swego męża (czegóż to ona nie piła, żeby schudnąć! i czegóż to nie wyrabiała, aby mu dogodzić i uratować rodzinę!).

– Jak to wszystko mi obrzydło! – woła Luda. – Och, mój Boże, na piechotę poszłabym do domu! Przez ten cały ich ocean!

Bojko również plunąłby na wszystko i wrócił do swojego instytutu, gdyby nie rodzice. Jego oraz Ludmiły. Bo dopóki oni są tutaj, w ich domu mieszka grecki dziennikarz. A pieniądze, uczciwie rozdzielone na pół, idą dla rodziców-emerytów.

– Patrzcie go! On i tutaj zarabia, i tam mu coś kapnie! No, ty Jureczku, to jesteś szczwany lis! – klaszcze w dłonie Sambur. – A ja ani tutaj, ani tam nie mam własnego kąta! (I to jest prawda. Jak tylko ich syn został przyjęty do szkoły milicyjnej, żona wyrzuciła Sambura z domu).

Krawiec kładzie twarz na stole, zakrywa ją rękami i jęczy. Bo wszyscy oni mogą rozporządzać swoim życiem, a on i jego żona – nie.

– Żeby nie można było z własnym dzieckiem po ludzku porozmawiać! Albo na minutę puścić go gdzieś! Bo on jak nie narobi różnych szkód, to ściągnie na siebie kalectwo! Kto z was by coś takiego wytrzymał? Ha!

– Daj spokój! – mówi do niego Larysa – komu i na co się skarżysz! Czyż oni zrozumieją!

– Tylko sobie nie myślcie – wybucha Ludmiła – że tacy jesteście wyjątkowi! Wszyscy tutaj mają dzieci!

Ulana nie ma dzieci i traktuje to oświadczenie, jako kolejny podły zarzut skierowany przeciwko niej. Za to sama nazywa oboje Bojków komuchami. Bo i Ludmiła i Jurij do niedawna byli członkami naszej partii. Ludmiła nawet przez dwa lata stała na czele organizacji w szkole średniej, w której uczyła języka.

W odpowiedzi Bojko przypomina Ulanie, że ona też jest komunistką, chociaż byłą.

– Dlatego przyganiał kocioł garnkowi...

Ulana nie oczekiwała takiego ciosu. O tym fakcie już dawno zapomniała.

– Ale ja przecież byłam zmuszona! – nie poddaje się. – Bo inaczej nie obroniłabym się!

– No to milcz!

Ale ona nie milczy. – Nie ty będziesz mnie osądzać!

– Nie ja?

– Nie ty!

– A kto? Może ty sama?

– Tak! Ja!

– O! myślałby kto!

Sambur rozdziela partyjnych.

– Nie kłóćcie się – mówi łagodnie – To, co w cudzej ręce, zawsze wydaje się grubsze...

Może sobie na ten żart pozwolić, bo sam nigdy nie miał legitymacji partyjnej. Ale to go nie ratuje. Dostaje się Samburowi za to, że często wystawiał teatralizowane przedstawienia z okazji komsomolskich narad, konferencji i zjazdów. I tym wysławiał ich bandę. A to o wiele gorzej niż formalnie przebywać w szeregach, a w rzeczywistości być w opozycji. Sambur nie tylko im przygrywał, ale jeszcze zgarniał za to szmal. Jak buldożer.

– Ja? – Sambur wybałusza oczy. – Przecież ja nigdy porządnego garnituru nie miałem!

Kohut, który już dawno stracił wątek i nie może pojąć, o co oni się kłócą, zrozumiał w końcu problem Sambura i udziela mu rady.

– Och, nie musisz wcale chodzić do drogich sklepów. Bo w innych miejscach też robią *sales* (to takie wyprzedaże), gdzie można wygodnie kupić cokolwiek. A jest też sklep, który pracuje w czwartki. Ludzie znoszą tam stare ubrania i buty. A oprócz tego są takie cerkwie, gdzie w piwiarniach, w soboty, można wszystko jeszcze taniej dostać. Bo to się nazywa dobroczynność.

– W piwiarniach? Gdzie jest coś takiego? – zdumieni są wszyscy. – W cerkwi? W jakiej? Czy czasem nie w ukraińskiej?

– Nie. Tutaj mamy wszelakie denominacje – wyjaśnia Kohut. – A ukraińska znajduje się o jakieś trzy godziny stąd. Jest dosyć nowa. Ozdabiał ją malarstwem Hindus. Ale on, poza tym, jest w połowie Chińczykiem.

Przy tak ostrym zakręcie wszyscy gubią się i spoglądają po sobie. Nawet Bojkowe dziewczynki cichną.

A szczęśliwa Chinka niesie im herbatę oraz tradycyjne rogaliki (ani lodów, ani tortu nie zama-

CIĄG DALSZY NA STR. 20

KOBIETA: dziwna białkowa struktura dookoła otworu. Metafizyczna istota kobiety - otwór. Albo, inaczej mówiąc - próg. Ten sam próg, przez który Bóg rozdzielił światło i ciemność. Ten próg, przez który ziszczają się nasze przejścia z ciemności do światła i na odwrót. Wiele niebezpieczeństw wynika z jego podobieństwa do człowieka. Wielu tak jest zaślepionych, że kobietę uważa za człowieka. Wielu poddaje się pokusie, żeby zatrzymać się na progu i oprzeć o futrynę. Wielu wierzy w istnienie szarego koloru. Idź nie przystając. Idź nie odwracając się. Bądź uważny, żeby się nie potknąć. Przez próg nie podawaj ręki. Myj ręce przed jedzeniem. *Kurica nie ptica, żienszczina nie czeławiek.*

JURKO IZDRYK („Czerwer", nr 3, 1992)

Urodziny

CIĄG DALSZY ZE STR. 19

wiali). Na pytanie kelnerki, czy życzą sobie jeszcze czegoś, Bojko prosi o rachunek. Woli najpierw zapłacić i wyciąga gotówkę.

– Tutaj można – podpowiada Kohut – również czekiem.

– Ale ja już lepiej gotówką – odpowiada Bojko – to jednak pewniejsze.

– A można kartą – upiera się Kohut – kredytową, albo tą, którą wyjmujesz pieniądze.

– Wiem, wiem, dziękuję. Jednak gotówką jest jakby prościej.

– Bo jeśli kartą, to trzeba za usługę jeszcze dodatkowego dolara.

W czasie kiedy ojciec płaci, Roksolana z Oksaną wciągają Igora pod stół. Tam podsuwają mu schowany w tym celu widelec, bo chcą, żeby pobębnił nim o naczynia.

– Ale mogłeś jednak zapłacić czekiem – nie może się uspokoić Kohut i bierze czajniczek. Zza pleców podchodzi do niego Igorek. Zagląda docentowi w oczy i uśmiecha się.

– *Hi!* – mówi Kohut.

Igorek rechocze i dotyka jego ręki widelcem. Przestraszony Kohut cofa nagle rękę, podskakuje i wywraca na siebie wrzątek. Chwyta się za pachwinę, skręca się, pada na krzesło.

– Co się dzieje? – nikt nic nie rozumie. – O co chodzi?

– Mam tego dosyć! – szepcze oparzony Kohut. Długo się podnosi i na oczach przestraszonej restauracji wlecze się w stronę drzwi.

IX

Larysa tłucze syna i krzyczy na swego męża, który go nie upilnował. Igorek nie protestuje, a tylko przymyka oczy i potrząsa rączkami. Bojkowe dziewczynki schowały się pod stół i chichoczą.

Bojko, prawie wywracając krzesło, biegnie za Kohutem. Larysa robi to samo. Ale jako pierwszy dogania docenta Sambur.

– Zrozumiałem – łapie go już przy wyjściu – to o przedsiębiorczości. Całkowicie się z tym zgadzam. I w związku z tym chciałbym ci coś konkretnego zaproponować.

I zasapany Sambur w dwóch słowach przedstawia Kohutowi biznes-plan, jak wzbogacić się w ciągu roku. W tym celu Kohut powinien skontaktować go z kimś z rektoratu. Bo Sambur ma ustne pełnomocnictwa od kilku biznesmenów odnośnie projektu fabryki makaronu. – Nam nie są potrzebne ani marketingi, ani managementy. Dajcie nam tylko pieniądze, dolary, a szczegóły my sami załatwimy. Mamy wszystko – i pomieszczenia, i mąkę, i opakowania i pudełka. Nie mamy tylko kapitału. Jeżeli nam pomożecie, to kupimy faxy, komputery, całe wyposażenie wnętrza i od razu oddamy wam pieniądze. Słowo honoru! Ty tylko skontaktuj mnie z rektorem. Albo z prorektorem do spraw ekonomicznych. Bo to nie są żarty. My i siebie i was zrobimy milionerami! W ciągu roku! Na makaronie!

– Och, daj mi spokój! – wyrywa się Kohut.

Podbiegają do nich Larysa, Ulana i Bojko.

Każde z nich po swojemu woła do niego – „panie Juriju!", „Jureczku!" i nawet „ojczulku!"

– Co, mocno się oparzyłeś? – tarmosi go Bojko. – Znam na to sposób. Chodźmy do toalety...

– Nie chcę! – oświadcza wszystkim Kohut. – Już mi to obrzydło!

– On nie chciał! – usprawiedliwia syna Larysa. – On nie rozumie, że tak nie można!

– Wy wszyscy tego nie rozumiecie! – już z drugiej strony drzwi ogłasza im wyrok docent Kohut. – I to tkwi w waszej kulturze. To jak osobliwości kodu. Bo u was słowa znaczą coś innego niż u nas!

– To znaczy? – goście są zdziwieni. – Czym ciebie obraziliśmy?

– Nie o to biega!

– Kto biega? Gdzie? – obstępują go z wszystkich stron. – Wyjaśnij!

Kohut spogląda w amerykańskie niskie niebo, widzi jak samoloty rozcinają gwiazdozbiory, ale zamiast podać przykłady zagadkowości kodu, wspomina swoje trudne dzieciństwo. I dla wszystkich staje się jasne, czemu tak przestraszył się Igorkowego widelca. Bo jego rodzinie żyło się ciężko. Rodzice, emigranci, pracowali i w dni powszednie i w święta. Ubierali się skromnie, nie przebierali w jedzeniu, zjadali wszystko, co było na talerzu. Pewnego razu mały Jurek (a nie lubił ani chrząstek, ani tłuszczu) spróbował wrzucić pod stół kawałeczek tłuszczu. Ojciec zauważył to i prawie poprzetrącał mu palce widelcem. Inaczej by do niego nie dosięgnął. Ale za to wszystkie dzieci z czasem otrzymały uniwersyteckie wykształcenie.

– A nam co do tego? – nie widzą bezpośredniego związku goście.

– Bo wam się zdaje, że wszystko w Ameryce robi się za darmo. I że wszyscy powinni się wami opiekować. Ani wdzięczności się od was nie doczekasz, ani pomocy!

– Jak to? Przecież my... A przecież ja... – bije się w pierś każdy z obecnych. – Zawsze chętnie pomożemy. Ze wszystkich sił. Z pełną wdzięcznością. A to, że liczymy na twoją uprzejmość, to przecież sam nam to niby obiecałeś. Gdybyś nie mówił, to – oczywiście. My nie pretendujemy. Bo jak nie – to nie! Ale czym my, to jest konkretnie kto i kiedy, naraziliśmy się tobie?

Wszyscy domagają się wyjaśnień. Z wymienianiem imion i zrywaniem masek. I zwaliwszy się, wyciągają z przyciśniętego do szklanych drzwi Kohuta wszystkie jego krzywdy i obrazy.

I dowiadują się, że na przykład Ludmiła wiedziała, że to jej dziewczynki złamały drabinki gospodarza, ale całą winę zwaliła na dzieci sąsiadów. A tutaj tak się nie robi! Bo żona Kohuta widziała wszystko z okna, kiedy ćwiczyła na przyrządach gimnastycznych.

Bojko, któremu załatwił odczyt na uniwersytecie, wygłosił tam swój standardowy patriotyczny tekst, obliczony na diasporę. I przez to wszędzie pojawiła się plotka, że Kohut jakoby wyhodował u siebie w katedrze pyzaty antysemityzm. A to już nie jest nawet podłość, ale zbrodnia! Bo Kohut, żeby stanąć na czele katedry, był zmuszony wymanewrować cały swój slawistyczny kahał. Publikuj albo przepadnij! – tak powiada prawo akademickiej dżungli. A z takim piętnem, to kto go teraz będzie drukował?!

Ulana też zawiniła. Bo, znając język, nie zechciała mu pomóc przy przekładaniu współczesnej prozy. (Kohut co prawda jej nie prosił, ale ona i tak powinna się domyślić). Oprócz tego, występując w Nowym Jorku, Ulana nie wymieniła go w spisie dobroczyńców. (Kohut oczywiście nie słyszał jej wystąpienia, ale tego samego wieczora telefonicznie go o wszystkim powiadomiono). I obraził się.

– Bo u nas jest przyjęte, żeby dziękować. Taki jest amerykański system.

Wina Sambura (a przed nim Kohut otworzył się bardziej, niż przed kimkolwiek) – polega na tym, że nie docenił różnorodności duchowego świata Kohuta (docent i maluje, i komponuje muzykę, i pisze kontrowersyjną prozę poetycką).

Larysa Krawiec też nie jest bez grzechu. Pewnego razu, stojąc w supermarkecie, udawała, że nie dostrzega Kohuta.

– Ja tego nie rozumiem – teraz on się oburza – co to wszystko w waszej kulturze oznacza? To na pewno jest jakiś znak, ale znak czego?

– Kiedy udawałam? – aż przysiada Larysa. – W jakim supermarkecie to było?

Inni także jeden przez drugiego głośno się tłumaczą.

– Ale ja już tego miałem dosyć! – powstrzymuje ich Kohut. – Proszę mnie wypuścić! Dobranoc! – I, cały obrażony, rozstawiając nogi, kuśtyka na parking.

Jubilat wraz z gośćmi patrzą za nim do czasu, aż wsiądzie do swojej „mazdy". Wówczas wszyscy wracają do stołu.

– Masz babo placek! No to po zawodach! Już po naszej Ameryce! – straszą sami siebie. – Teraz to on nam załatwi. I kursy, i wizy, i zaproszenia.

X

Nad stołem wisi gęsty smutek. Każdy, tak albo inaczej, ale po cichu na coś tam liczył.

– Czemu my mamy takiego pecha? – wszyscy chcą wiedzieć. – Może to jakaś klątwa narodowa?

Bojko studzi ich emocje. – Co wy tu na Boga za mistykę wprowadzacie! Jak kacapy. „Klątwa", „Przechodzi ludzkie pojęcie!...". Wszystko ma swoją obiektywną przyczynę. Stulecia zniewolenia przez obcych, pańszczyzna, brak państwowości, brak własnej elity – co, jeszcze wam mało? To one, te czynniki, wyrobiły w nas określony pogląd na świat, sposób zachowania oraz metody obrony. Wszystko to składa się na syndrom kolonialny. Połowa świata cierpi na to.

Taka wiadomość dodaje wszystkim pewności siebie i zuchwałości. Przychodzi uświadomienie faktu, że to nie my od niego, ale on od nas zależy. Bo my jesteśmy mu bardziej potrzebni, niż on nam. W innym wypadku nie zapraszałby nas tutaj. I dlatego to jeszcze nie jest koniec świata. Przeżyjemy i bez U-eS-A. Będziemy mieli własną mocną walutę – i wszystko się od razu zmieni. Po to właśnie mamy niepodległość.

„Percówka", którą wyciąga Sambur, jeszcze bardziej wzmacnia uczucie rozluźnienia. Po przyjacielsku nalewają wódkę do filiżanek i wznoszą toast za czterdziestkę Bojki.

– E, nie! – krzyczy jubilat. – Za to już piliśmy! Teraz zdrowie pań!

Panie nie mają nic przeciwko, ale Luda chciałaby, żeby osobno wypić za nas wszystkich. Żeby nam zawsze i wszędzie było dobrze. Nam i naszym dzieciom.

Wszyscy zgadzają się. A ponieważ więcej wódki nie przewidziano, więc te trzy toasty sprowadzają się do jednego. Mężczyźni piją do dna i stojąc, po husarsku, tak, aby ręka od paznokci do łokcia poruszała się równolegle do podłogi.

Zamiast zakąsić, obgadują Kohuta (Bojko zaproponował, żeby coś zamówić, ale bez walki dał się szybko odwieść od tego pomysłu).

Ulana uważa, że Kohut to geniusz banalności.

– A ja go nie rozumiem – mówi Ludmiła. – Bo on czasem jak coś zasunie... Czy on specjalnie mówi zagadkami?

Wyjaśniają jej, że u niego bierze się to chyba z powodu braku poczucia pewności. Albo stąd, że wszyscy się z niego nabijali. Na pewno w szkole. Z tego, że jest synem emigrantów. Tak jak u nas miastowi z wieśniaków. Dzieci wszędzie są okrutne. No i potem, dopóki nie obronił się i nie wywalczył sobie posady. To tylko u nas wszystko jest takie proste. Wstąpiłeś do szeregów i już wszędzie masz zielone światło. A u nich? Ani partii nie ma, ani bezpieki, ani komsomołu... No to on teraz znęca się nad nami. Bo i nad kim ma udowodnić swoją władzę?!

Nie pomijają też rodzinnego życia Kohuta. Czemu jego żona zawsze jest na marginesie? Czy on z nią żyje czy nie? A może to pedał?

Sambur mówi, że kiedy siedzą w saunie, to docent choćby kątem oka, choć przez chwilkę, ale zawsze zerka mu tam.

– Gdzie? Gdzie? – Krawiec i Bojko udają, że nie zrozumieli.

Ludmiła wygania córki do akwarium ze złotymi rybkami.

– On w ten sposób cię sprawdza – śmieją się mężczyźni – chce wiedzieć czy jesteś obrzezany, czy nie. Ha, Alosza, pokazuj.

– Tutaj?

Naśmiawszy się, wszyscy, już bez złości, oddają należne Kohutowi. Bo, gdyby nie on, to ani Bojkowie, ani Sambur nie siedzieliby tutaj. A i Ulana, gdyby nie poznała go w dziewięćdziesiątym roku w Kijowie, to nie wiadomo, czy wybiłaby się kiedykolwiek na międzynarodową orbitę. Nasz Kohut to mimo wszystko jest postać. Nie przypadkiem znają go również poza ukraińskimi kręgami.

Wyjaśniwszy sobie wszystko w kwestii Kohuta, krytykują Amerykę. Za to, że nie ma tu prawdziwego chleba. I białe pieczywo jest takie, jakby było z gumy. I arbuzy, choć są przez cały rok, ale co one mają za smak! Arbuzy trzeba jeść w sierpniu! Albo we wrześniu. W najgorszym razie – w październiku. Ale żeby w marcu, albo w maju... W tym jest coś nienaturalnego...

– My – opowiada Ludmiła – jemy tylko to, co sami gotujemy. Placki ziemniaczane, jajecznicę, coś mięsnego, placki z sera. Jakoś żyjemy bez homarów. I chemią w ich „macdonaldach" też się nie trujemy.

Wszyscy podkreślają, że ubrania to tu owszem są. Ale co ciekawe! Co odwiniesz metkę – wszędzie „made in china". Buty, zastawa stołowa, zabawki, artykuły papiernicze – wszystko robią dla nich Chińczycy. A tak, żeby sami, i w dodatku własnoręcznie, to oni nie chcą i nie potrafią. A na przykład bratowa Ludmiły robi na drutach takie swetry, jakich nawet w salonach nie znajdziesz!

Słychać pogardliwe spostrzeżenia, krajoznawcze uwagi, analizy tak socjologicznych, jak i kulturowych zjawisk. Wniosek jest jeden: to bardzo dziwny kraj. Bo tutaj dzieci od małego są uczone jak być dorosłym, a wtedy, gdy dorosną, skłania się je do zdziecinnienia. Dają im taką ilość praw i swobód, że wszystko komplikują, doprowadzają do przesytu i szaleństwa.

– No bo po co każdemu z nich tyle różnych kart kredytowych? Masz jedną i wystarczy! Kupuj, posługuj się, wpadaj w długi! Nie, im wszystkiego mało!

A historia uczy, że wszelkie nadmierne wymagania prowadzą do wynaturzeń, do zboczeń. I ledwie cywilizacja sięgnie szczytu, a już nieodmiennie skądś nadlatuje orda, tędy-owędy przeleci kopytami i niszczy całą tę doskonałość.

– Tak! – każdy z obecnych przywodzi mroczne obrazy. – Doigrają się! Wpuszczają do siebie wszystkich – czarnych, niebieskich, skośnych. A potem się dziwią, czemu ich telepie. I kłopoty (mówię wam!) przyjdą nie z tej strony, z której oni się spodziewają. To może być dziura ozonowa. huragan, albo trzęsienie ziemi. Ale to ich przykryje niespodziewanie i z głową. Bo oni są zupełnie nie zahartowani. Nie to, co my. Oni przy nas to małolaty. I moglibyśmy im wiele powiedzieć. Dlatego, że nasze doświadczenie jest doświadczeniem ludzkim. A u nich wszystko opiera

się na technice. Która zawsze może nawalić .

Wniosek taki sprawia, że wszyscy stają się spokojniejsi. Niektórzy myślą ulatują do domu. Ulana, dumna z siebie, oświadcza, że do bólu tęskniła za językiem ukraińskim. Nawet za tym wstrętnym i po trzykroć przeklętym surżykiem.

Ludmiła martwi się, że teraz będzie musiała dać dyrektorce szkoły łapówkę (a ona jest taka niedoświadczona!). Bo z Roksolaną nie będzie problemów (cały program pierwszej klasy opanowała w wieku sześciu lat). A Oksana przez tę Amerykę opuściła dwa trymestry. Czy zechcą teraz przepuścić ją do szóstej klasy? A jeżeli nie zechcą, to ile trzeba dać – pięćdziesiąt dolarów czy sto? I w jakich banknotach? Wetknąć pieniądze do pudełka z perfumami czy włożyć do koperty? I jak to wszystko załatwić?

Wspominają, jak to było w tych czasach, kiedy posiadanie dolarów było zabronione. I co wtedy było na sklepowych półkach. Ptasie mleczko – do wyboru – białe albo różowe, słodki serek z rodzynkami, masło zwykłe i czekoladowe, ser salami, papryka krojona.

A jakie cukierki kiedyś sobie spokojnie leżały! I „biłoczka" i „miszka w sosnowomu boru", i „tuzik" i „a nu-ka otnimi".

Mężczyźni z najdrobniejszymi szczegółami podają ówczesne ceny wina i wódki. „Biomicin" za rubel dwadzieścia dwie kopiejki, „kwas" za siedemdziesiąt siedem kopiejek, „atrament" za dziewięćdziesiąt siedem, „rubin", „irszawskie", „rymnickie", „dar słońca" (wszystko z podaniem ceny oraz procentów). Nawet ci, którzy nie zdążyli poznać „daru słońca" ani „tuzika", pamiętają, że za jednego rubla można było kiedyś kupić kilka razy więcej niż tutaj za dolara.

Wspólne wspomnienia łączą.

– Wszystko przecież było! I to jakiej jakości! – wszyscy cmokają, – Mamy taką ziemię i taki klimat, że moglibyśmy być najbardziej sytym narodem w Europie. A może i w świecie.

Z braku zakąski nadłamują swoje rogaliki i wydobywają wetknięte w nie papierki. Czytają, co komu z nich wywróżyli Chińczycy i porównują szczęśliwe liczby. Ktoś dowiaduje się, że nowe ubranie odmieni jego życie. A ktoś inny, że główną cechą jej charakteru jest połączenie żywego temperamentu z głębią zdobytej wiedzy. Dla kogoś szczęśliwymi liczbami są czterdzieści sześć i pięć, a dla kogoś innego, wręcz przeciwnie – trzydzieści dwa i ósemka.

Umawiają się, że będą się spotykać co tydzień u kogoś z nich. Przy herbacie i czymś do herbaty. Żeby pogadać jak swój ze swoim. Bo któż inny nas zrozumie!

Dzieci również mają po rogaliku i chcą znać całą prawdę o sobie, razem ze szczęśliwymi liczbami. Oksana w ciągu trzech miesięcy nauczyła się angielskiego lepiej, niż jej ojciec przez całe swoje dotychczasowe życie.

I dlaczego (raptem dociera to do wszystkich) do tej pory nie mieliśmy państwa? Bo każdy siedział w swojej norze i marzył, żeby sąsiadowi krowa zdechła. A trzeba było na odwrót. Jeżeli ktoś życzy ci nieszczęścia, przebacz mu, bo skąd można wiedzieć, może on tak z niepewności, dlatego, że sam się ciebie boi. Wybacz temu, który oczekuje od ciebie łapówki. I temu, kto opętany nienawiścią rzuca urok na twoje dziecko. Albo zapędza cię do szeregów partii. Wybacz i przygarnij. Bo wszyscy oni – to nasi. I wówczas zobaczymy jak wielu nas jest! Nie mniej niż Żydów. À propos, Kohut mówił kiedyś, że jakoby Walt Disney też był Ukraińcem.

– A czemu pani Igor – podbiega do Larysy Oksana – zabiera nam ciastka?!

– Synku! Chodź tutaj! Nie zaczepiaj! Oddaj! – nakazuje synowi Larysa.

– On je kruszy!

– On nie robi tego specjalnie. Więcej nie będzie! Igor!

– Proszę mu powiedzieć, że to mój rogalik. On ma swój!

– Niestety, on tego nie rozumie.

– Ale proszę mu powiedzieć!

– Oksana! – wtrąca się Ludmiła. – Daj mu spokój! Masz tu, weź mój!

– Mamo! – skarży się jej pod pachą Roksolana. – Ja nie chcę siedzieć obok niego!

Sambur zanurzył palce w czuprynę Igora i mierzwi ją. – On tak chyba zaleca się do dziewcząt. Ile ma lat? Siedem? No, to już dawno pora! Dobrze mówię? – zagląda Igorowi w oczy. – A kogo my tu mamy? Kozaka?

Ale z kozaka wyrywają się zwierzęce okrzyki. Sądząc po tym, jak go wyłamuje, widać, że on sam nie kieruje własnym ciałem.

Ulana jest zszokowana. – Co z nim?

W czasie, gdy Larysa wyjaśnia jej, co to za choroba, Ludmiła półgłosem opowiada Samburowi o tym, że chłopczyka ktoś zauroczył. Albo przeklął.

– I czym go leczycie? – pyta Ulana.

– Tego się nie leczy – odpowiada Larysa.

– Dlaczego? To u nas się nie leczy, ale na przykład we Francji, słyszałam, że znaleźli już sposób jak z tym walczyć. – I Ulana opowiada, że zgodnie z francuskimi badaniami dzieci chore na autyzm przez cały czas słyszą szum. I szum każdego z nich ma odmienną częstotliwość. Dlatego zakładają im słuchawki, na generatorach znajdują odpowiednią częstotliwość i likwidują ją. Po czymś takim wszystkie one zaczynają normalnie kontaktować się ze światem.

– Musicie z nim pojechać do Francji – proponuje Ulana.

Krawiec mówi jej na to, że i w byłym Związku też jest wystarczająco dużo psychologów (na przykład szkoła leningradzka), którzy w sposób dosyć oryginalny pracują z podobnymi dziećmi. Nie wszyscy, ale psychologowie-entuzjaści, którym za komuny nie pozwalali rozwinąć swoich nowych, nietradycyjnych metod. W wolne dni ci – zazwyczaj młodzi – uczeni wywożą takie dzieci za miasto, podmiejskimi pociągami, na pola albo do lasu, żeby tam, w błocie, zasmarkane, w chłodzie, mokre, ale zadowolone poznawały otaczający je świat. Bo nie zawsze jest pod ręką odpowiednia do tego aparatura.

Ulana nie lubi, kiedy się jej zaprzecza, i naciska na Krawców, aby natychmiast lecieli do Francji. – Przecież pracujecie tutaj. Odłóżcie kilka tysięcy. Czy na zdrowiu można oszczędzać?!

Larysa otwiera usta, żeby dać celną odpowiedź, ale powstrzymuje ją dziewczęcy wrzask.

– Mamo! – wrzeszczy Roksolana. – On znowu! W dodatku kruszy! Oddaj! To moje! No co je-e-est!

Chyba kopnęła Igora pod stołem, bo aż wygiął się z bólu. Przy czym łzy popłynęły mu z oczu nie od razu, ale dopiero wtedy, kiedy minął szok. Bo on z byle powodu nie skamle. Tylko wtedy, kiedy już nie można wytrzymać.

XI

– No, a co teraz? – odwraca się Larysa. – Co ci teraz nie pasuje?

– To nie ja! On sam! – Roksia chowa się za matką.

– Ja też go nie dotknęłam – płacze Oksana.

– Może się zakrztusił? – nie wyklucza Bojko.

– Oksana – nakazuje matka – chodź no tutaj!

Roksolana, widząc, że Krawiec pod stołem obmacuje nogę syna, uderza Igorka piąstką w policzek.

Ale Krawiec zauważa to, i co więcej, łapie ją za rękę.

– Hej-hej! Ostrożnie! – ostrzega Krawca Ludmiła.

– Z dziećmi zawsze są problemy! – Bojko przysuwa się do młodszej córki. – Dlatego ja się do tego nie wtrącam.

– Widziałem! – Krawiec wskazuje czerwonym od gniewu palcem na Roksię. – Dlaczego uderzyłaś Igora? Przecież cię nie zaczepiał!

– Zabrał jej rogalik! – wyjaśnia Bojko Krawcowi. – I połamał go! A to tak samo jakbym ja przyszedł do ciebie i zniszczył ci... no... chociażby... twój komputer! Ha? I jakbyś się czuł?

– Ale on jej nie ruszał! – Krawiec potrząsa pięściami.

Przerażony, zalany łzami Igor wyje i wywija się.

– Zabierzcie go! – żąda Ludmiła. – I trzymajcie gdzieś przy sobie. Dlaczego wszyscy muszą wiedzieć o waszym przekleństwie?! Jak jest dziki i bije dzieci, to siedźcie z nim w domu. Albo wynajmijcie opiekunkę!

– Chodźmy stąd! – płacze Larysa. – Przecież mówiłam: idź sam! Ale nie! Musiałeś wszystkich nas ciągnąć!

– Nie krzycz na mnie! – syczy Krawiec. – Chciałem, żeby było jak najlepiej. Żebyś się rozerwała.

– Jeszcze trochę i zwariuję!

– Uspokój się! Co ja mam do tego? Ja i tak nie mam życia!

– To co ja mam powiedzieć? Ty przynajmniej chodzisz do pracy!

– Gdybym nie pracował, to gdzie byśmy teraz byli! Nie zapominaj dzięki komu tu jesteś!

– Ja... – płacze Larysa – ty... Igor... . A dalej już nie da się nic zrozumieć.

Wszyscy są zmieszani. Luda jako pierwsza nie wytrzymuje milczenia i mówi, że powinni mieć jeszcze jedno dziecko. Ale tym razem – normalne. Wtedy wszystko wróci na swoje miejsce.

– Jakie to u ciebie proste! – doskakuje Ulana. – Ale życie kobiety nie ogranicza się do funkcji rozrodczych.

– Ależ o co chodzi? – odpiera Luda. – Nie chcesz – nie ródź.

Jubilat rzuca się między kobiety i wyjaśnia Ulanie, że dzieci mają swoją własną psychologię.

– To tak jakbyś ty, powiedzmy, napisała powieść, a wówczas ktoś przyszedłby i na twoich oczach potargał ją. Jedyny egzemplarz!

Ale mimo pojednawczego tonu Bojków, duch waśni i niezgody wyrywa się poza granice wąskiego „dziecięcego" tematu i opanowuje wszystkich. Na powierzchnię wyłażą wszystkie krzywe słowa oraz spojrzenia, którymi ktoś kiedyś kogoś obdarzył. Nikt nie ma ochoty się powstrzymywać i dzieci, rozdziawiwszy buzie, nie nadążają z połykaniem wszystkich nowych słów.

Bojce zarzucają, że jest lizusem, bo grabi Kohutowi liście. Ulanie – że zagięła parol na docenta i biustem chce wywalczyć sobie kolejną Amerykę. Samburowi, że jest jak glista, włazi bez mydła w każdy otwór. Krawcom, że mają samochód, ale nigdy nikogo z rodaków nie zabrali autem poza miasto.

– A wy podczołgajcie się do swojego dobrodzieja – odgryza się Krawiec – niech on was wozi. A tak to wy jemu się podkładacie, a on wam – nie.

– Jeszcze nie wiadomo – mądrze uśmiecha się Bojko – kto tu kogo wykorzystuje. Bo ja mówię mu jedno, robię coś zupełnie innego, a co sobie przy tym myślę, tego ani on, ani ty wiedzieć nie możecie. I nigdy się nie dowiecie!

– I o mnie też! – przechwalają się również inni.

– Ale – obiecuje Ulana – jak go opiszę w swojej powieści, to wtedy dopiero poczuje swoją przegraną. I nie on jeden!

Sambur tak zodważniał, że obiecuje przy wszystkich posłać Kohuta w ch...

– Nie trzeba! – proszą go. – Nie zrozumieją cię!

– Nie, właśnie że trzeba! Jako akt ostatecznego oswobodzenia!

Krawiec żałuje, że tak obraził żonę i kiedy rodacy podpuszczają Sambura próbuje pocieszyć Larysę.

– To nic – szepcze jej do ucha – nie jest tak źle. Za to jesteśmy tutaj. A pamiętasz, ta kobieta z Łucka, pamiętasz co ci mówiła? Pamiętasz? Że trzeba wierzyć i wszystko przejdzie.

– Łatwo jej powiedzieć – wierzyć! – Larysa wyciera serwetką oczy. – Kiedy nie ma ku temu żadnych podstaw. Pozapominał wszystko, co wiedział, kiedy miał dwa latka! Jak tu wierzyć? A ona nie tylko do mnie to mówiła, ale i do ciebie też!

– Przecież ja pracuję! Jestem w pracy przez cały dzień! To ty przecież z nim siedzisz!

Jego ostatnie, wypowiedziane szeptem zdanie, słyszą wszyscy, bo już od kilku sekund nikt się nie rusza.

Krawiec podnosi głowę i zauważa, że Igora nie ma za stołem.

– Gdzie on jest? – chrypi Krawiec. – Gdzie się podział?

Odwróciwszy się widzi na lewo od siebie rękę docenta Kohuta. Tyle, że teraz zamiast garnituru ma on na sobie żółto-czerwone szorty i sweter.

Nikt nie ma odwagi ani wciągnąć powietrza, ani wypuścić. Bo skąd można wiedzieć, czy Kohut coś usłyszał czy nie? A jeśli usłyszał, to ile? I co najważniejsze – co z tego zrozumiał?

Larysa w końcu znajduje oczyma syna. Stoi w końcu korytarza, koło drzwi do kuchni. Przed nim, na kolanach – ta sama przyjazna młoda Chinka, która ich obsługuje. Przyciska Igora do siebie i coś do niego mówi. Larysie wydaje się, że Igor nie milczy, ale jej odpowiada.

– Niemożliwe! – Larysa zastyga.

Kohut, nie wytrzymując dzikich spojrzeń, które przylepiły się do jego plamistego ubrania, niedbale rozkłada ręce.

– Zawsze mam w aucie zapasowe ubranie i meszty – wyjaśnia. – Tutaj, to nie to, co u was. U nas do restauracji można iść nawet w szortach. Bo to jest wolny kraj.

Grudzień 1995 – luty 1996

Wołodymyr Dibrowa

Tłumaczył **Przemysław Tomanek**

WOŁODYMYR DIBROWA (ur. 1951) - od niedawna mieszka w Bostonie (wcześniej w Kijowie), jest autorem sztuk teatralnych oraz czterech książek: *Teksty z nazwamy i bez nazw*, *Pisni Bitlz*, *Pentameron* i *Budryk* oraz laureatem literackich nagród im. Mykoły Łukasza i im. Heleny Łapiky. Jego utwory tłumaczono na angielski. Drukowane opowiadanie pochodzi z czasopisma „Kurier Krywbasu" (1997, nr 87-90).

Mykoła Riabczuk

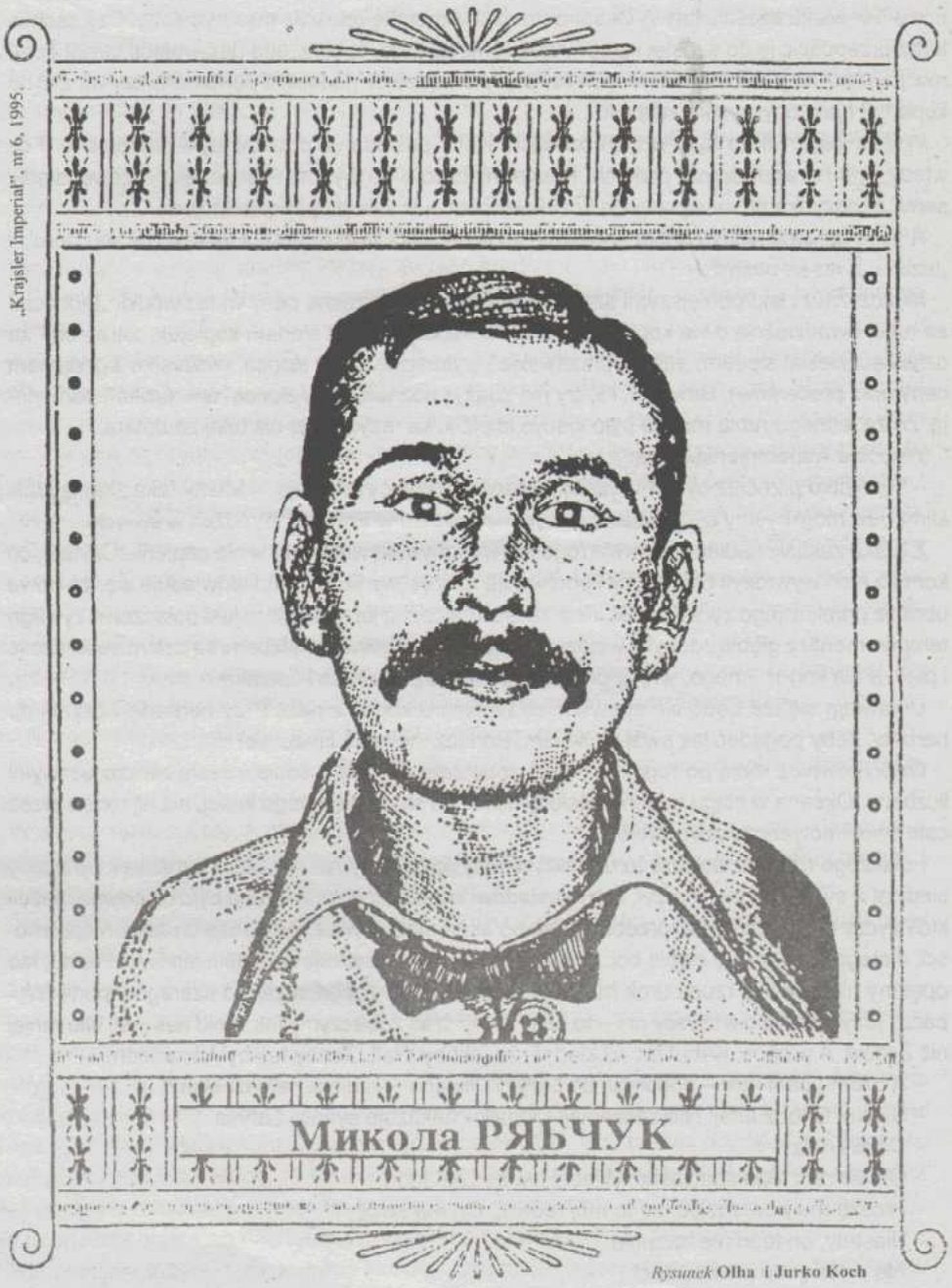

Rysunek **Olha i Jurko Koch**

Ołence Burdasz

Z najwyższego okna dwupiętrowego domu kobieta patrzy na ulicę. Ludzie tłoczą się w długich, krętych kolejkach, chwieją się, przechodzą z jednej kolejki do drugiej – ale niezauważalnie, jakby się przesączali – czekają nie odzywając się i nie sadowiąc na bruku.

To niemal aleja – niegdyś mieściło się na niej sześć samochodów obok siebie; niewysokie topole rosną wzdłuż skraju chodnika, liście zaczynają już żółknąć, ale jeszcze nie spadają. To tyle lat. Przywykła do spowolnionej, jak we śnie, krzątaniny przechodniów. Samochody nie jeżdżą. Kolejki zajmują całą ulicę, stykając się ze sobą, zlewając w zwarty tłum. Niekiedy trudno jej wyróżnić nitkę kolejki z jednolitej ludzkiej masy i musi się dobrze przyjrzeć – to jedno sprawia, że jej zajęcie jest ciekawe. Jeśli przycisnąć czoło do szyby, z prawej strony widać wielki okrągły plac z fallicznym pomnikiem pośrodku i kilka uliczek, które odchodzą od drugiego końca alei. Z lewej strony jest tak samo, tylko placu nie widać, ale ona wie, że jest, z pomnikiem poety, o którym uczą się w szkole i przejściem podziemnym, które zagłębia się pod budynki i wychodzi aż koło bazaru. Jeszcze po dziś dzień nad aleją wiszą druty linii trolejbusowej.

Nie pamięta ruchu. Próbuje wyobrazić sobie swój dom od ulicy – z całą pewnością jest inny, niż sąsiednie monstra powojennego „renesansu". Schodzi piętro niżej do biblioteki i otwiera grubą encyklopedię. Szybko przerzuca karty, poprzekładane papierosową bibułką – gotyckie domy, wysokie i wąskie, po trzy okna na każdym piętrze, secesyjne budynki o szalonych twarzach, w cierniowych koronach na fasadach, klasyczne kolumny, pałace, weneckie podwórza starych renesansowych budowli. Mogła tu żyć.

Szkoda tylko, że obok strony zewnętrznej nigdzie nie ma wnętrz. Jej dom jest najprawdopodobniej konstruktywistyczny – prosty, wygodny i słoneczny. Żyje tu.

Gdy powraca do okna z muślinowymi firankami i kaktusami na parapecie, niespodziewanie dostrzega chłopaka, który usiłuje szybko iść aleją, rozsuwając ludzi w kolejkach – ale ludzie zastępują mu drogę, nawet nań nie patrząc, tłoczą się wokół, otaczają go szczelnie, szczelniej, szcze.....

Chłopak macha rękami i coś krzyczy, jak w niemym filmie, coś wyjaśnia: szanowni panowie i panie, nie staję w waszych kolejkach, niczego nie kupuję – mydła, kaszy gryczanej, książek, konfitur z czarnych jagód, jugosłowiańskich butów, majonezu, bałtyckiego bursztynu, biletów na mecz, na japoński jazz i Andrzeja Wajdę i.....

Tłum, jak fala, podniósł go nad sobą i pochłonął, nawet nie zauważywszy – każdy miał przecież swoje miejsce w kolejce i nie miał powodu rozglądać się dokoła. Gdy po pewnym czasie wszyscy się rozstąpili, dostrzegła rozciągniętą na asfalcie postać. Po prostu cień. Rysunek farbą. Słońce nie przebijało się przez mgliste powietrze i wisiała wilgotna duchota. Wyciągnęła z łokcia kilka kolców kaktusa, które wbiła niechcący, gdy przywarła do okna, i wybiegła do bramy. Od razu przypomniała sobie, jak biegają jaszczurki – popełzła aleją, przesuwając się od drzewa do drzewa, między pojemnikami na śmiecie, zlewając się z białymi, zamazanymi pasami przejścia dla pieszych – dobrze, że założyła białą sukienkę, dobrze, że nie ukłuła się trującym kaktusem – podnosząc głowę, nasłuchując, nurkując w przerwy w monotonnych kolejkach, dostała się do chłopaka. Zarzuciła go na chude ramiona i popełzła z powrotem. Jaszczurka bez ogona.

Szybciej.

Żyją w półmroku. Pozasłaniała okna i szczelnie zamknęła drzwi na balkon. Kwiaty już pewnie poginęły. Kaktusy postawiła na podłodze i teraz razem podlewają je z dziecinnej konewki. Ponad tysiąc rodzajów – kwitnące filokaktusy, zielone potwory o przedziwnych kształtach – słupki, krążki, kule, podobna do węża „Królowa Nocy" z przepięknym kwiatem i pokryty szarym, woskowym nalotem aloes.

– To aloes – mówi kobieta.

– Z Kraju Przylądkowego – powtarza chłopak. – Z Południowej Afryki.

Na ścianie wisi duża mapa. „On wszystko wie – myśli kobieta – na pewno wszystko wie". Nauczyła go wszystkiego. Nauczyła chodzić i mówić, grać na skrzypcach białymi, niemal przezroczystymi palcami, nie bać się luster – chociaż sama nie chciała, żeby natrafił na lustro – pochowała je wszystkie, a razem z nimi i zegarki, ale tak czy owak znalazł je i w zamyśleniu oglądał ze wszystkich stron.

– To monstera – mówi kobieta. Nazywają ją także „filodendronem". „To liana z lasów tropikalnych" – chce dodać, ale milknie, bo od dawna podejrzewa, że chłopak wszystko sobie przypomina – jego wyobraźnia z dziecięcą szczodrością maluje brazylijski las i olbrzymie drzewa, które monstera owija cienkimi łodygami, przebijając się przez gęstwinę do słońca.

– Nazywają ją jeszcze „płaksa". Przed deszczem na końcach liści pojawiają się krople.

– Przed deszczem?

– To woda, która spada z nieba.

– Z nieba?

– Nad naszym dachem jest jeszcze jeden – wielki i niebieski.

Coraz trudniej się wykręcić. Niechcący spowodowała lawinę, której nie może już powstrzymać.

– Jeśli podwiesi się łodygę na sznurku, monstera będzie lepiej rosnąć – mówi i po cichu odchodzi, pozostawiając go w zamyśleniu wśród fikusów, cyprysów i trzykrotek. Starannie zmywa w kuchni naczynia, potem wertuje książkę kucharską, wymyślając obiad na dziś, aż nagle dociera do niej, że chłopak został sam przed zasłoniętymi oknami – nie wytrzyma nowych wrażeń, wspomnienia zniszczą go, cała jej praca pójdzie na marne – i znów będzie sama.

Biegnie przez pokoje, w których stoją straszydła ptaków i leśnych zwierząt, rysunki niedźwiedzi, słoni, wiewiórki z orzechem w łapkach, kuropatwy w dioramach, akwaria, węże i jaszczurki w spirytusie; rozsypane na podłodze dziecięce zabawki, stół do ping-ponga, przyrządy gimnastyczne..... chłopak spokojnie siedzi w bibliotece i przegląda reprodukcje dawnych mistrzów. Wyszperał gdzieś wielką pakę reprodukcji i pilnie ogląda je w półmroku.

– Zagrajmy w szachy – mówi kobieta, wstrzymując oddech – albo w tenisa.

– Kto to? – pyta chłopak, nie odrywając się od książki.

– Pomóż mi w kuchni. Co najbardziej lubisz?

– Kto to jest?

– Ludzie.

I bezsilnie opada na fotel. Przy zapalonych świecach uczy go czytać. Pewnego razu chłopak niespodziewanie pyta:

– Jak ja się nazywam?

– Wcale – szepcze wyschniętymi wargami. – Nie nadałam ci imienia.

– Dlaczego?

Chłopak stoi tak niebezpiecznie blisko okna, że wszystkie jej myśli przykute są do jego ruchów – oto za chwilę odsunie zasłonę, oto za chwilę, oto.....

– Jest nas tylko dwoje i nie ma potrzeby... i nie ma nikogo więcej... – mówi drżącym głosem, sparaliżowana przez podejrzenie, że on już wszystko wie i jeszcze bardziej przestraszona, że oto za chwilę odkryje ich tajemnicę; i gdy jego ręka dotknie zasłony, aby ją rozchylić, – „Adamie!!!" – krzyczy strasznym głosem i zanim zdziwienie zdąży zniknąć z jego odwróconej twarzy, gwałtownie zrzuca bluzkę, spódnicę, bieliznę – chłopak stoi nieporuszenie, niby zahipnotyzowany jej nagim ciałem, stoi nieporuszenie, gdy go rozbiera, całując, stoi nieporuszenie aż do chwili, gdy czując potęgę jej woli wolno opada z nią na dywan.

Wcześniej czy później to musi się stać – nie upilnuje go i wyjrzy przez okno. Zobaczy te same niekończące się kolejki i przypomni sobie bieg między ich niezwrotnymi ciałami, pod ich nieobecnymi spojrzeniami, przypomni sobie swój strach i rozpacz, upadek i ból, i szaleństwo – co mu teraz grozi?...

Przygotowuje go do wszystkiego.

– Mieszkałeś z rodzicami w starej willi na przedmieściu; dostaliście ten dom po nacjonalizacji – podzielono go na pół: dla was i jeszcze jednej rodziny, a jeszcze jedno mieszkanie urządzono na mansardzie – co chwilę wzdrygałeś się, gdy niespodziewanie zatrzeszczała tam u nich podłoga; każdego roku na górze przybywało mieszkańców – początkowo żył tam stary ze starą i sublokatorką, pewnie jakąś krewną, bo i później przychodziła w gości, kiedy wyszła za mąż, a do starych wróciła z dalekich krajów córka z wnuczką i rudym zięciem, a niedługo potem urodził im się jeszcze chłopczyk i zdarzało się, że tobie, siedmiolatkowi, pozwalano prowadzać po podwórzu wózek z niewiarygodnie cichym niemowlakiem, ale częściej zajmowała się nim stara – siwa, chuda i bardzo uprzejma – ot, prawdziwa staroświecka pani. Przez jakiś czas uważałeś ją nawet za byłą właścicielkę willi i w twojej duszy współczucie mieszało się ze złośliwą radością; ale szybko wszystko się wyjaśniło – prawdziwa właścicielka mieszkała w centrum, w państwowym mieszkaniu, a willę wynajmowała lokatorom, dopóki jej nie skonfiskowano – w ten właśnie sposób staliście się właścicielami 30 metrów kwadratowych, a najwięcej szczęścia mieli mieszkańcy mansardy – dostały im się dwa pokoje, chociaż, jak się zastanowić, nie takie to znowu wielkie szczęście wnosić po stromych schodach wodę i wynosić wiadra z pomyjami; zawsze robił to stary; możliwe, że właśnie schody go wykończyły – był siwy, ale wyprostowany i dokładny – punktualnie chodził do pracy i z pracy, ściskając pod pachą wypchaną teczkę, aż któregoś dnia umarł w swojej kancelarii na serce; wodę nosił potem krzepki zięć, a pomyje wynosiła stara i prawie nic się nie zmieniło; sąsiadów z góry między sobą nazywaliście Holijanami, od nie wiedzieć czemu ormiańskiego nazwiska starego, a nazwiska młodej rodziny nawet nie znaliście i nie interesowało was to, tyle tylko, że stara (pani Irena – mówiliście, a stary był po prostu Holianem, bez imienia), pani Irena coraz rzadziej zjawiała się na podwórzu, najwyżej jesienią, kiedy opadały liście z bzu i jabłoni sąsiadów, przechylonej przez płot, zamiatała podwórze i paliła śmiecie, o ile wszystkie okna były zamknięte i dym nie mógł nikomu przeszkadzać i o ile nie wisiała czyjaś bielizna, ale częściej wysypywała je do metalowych kontenerów na ulicy; każdego roku była taka sama – ani starsza, ani młodsza, tylko znacznie częściej dobiegała z góry transmisja mszy z Watykanu i byłeś zły, gdy pokrywała się w czasie

W ciemnym oknie na ciemnym tle

z niedzielnymi koncertami, choć ogółem przychylnie odnosiłeś się do wierzących – na Wielkanoc i Boże Narodzenie Holijanowie całą rodziną, świątecznie ubrani chodzili do kościoła i nawet wnuczkę zabierali ze sobą, dopóki nie poszła do szkoły; zawsze grzecznie witałeś się z sąsiadami, ale nie rozmawiałeś z nimi – nie było o czym i po co; panią Irenę uważałeś za kobietę zarozumiałą i skąpą, ciągle przypominała ci o nie zgaszonym świetle w piwnicy; jednak twoje opinie nie były niezależne – zapożyczałeś je od rodziców, od nich przecież przejąłeś brak poważania dla grubych staruchów z drugiego mieszkania za ścianą; stary („behemot" – mówił twój ojciec) był dobrodusznym tłuściochem o twarzy aktora komicznego, głośno sapał, przechodząc przez podwórze; a stara („Lideczka" – przezywał ją ojciec, poza tym znakomicie przedrzeźniał jej sposób kichania – donośny i przenikliwy, w końcu sam tak zaczął, matkę to denerwowało), Lida Borysiwna, była ciekawska i obłudna, a twoja rodzina chciała żyć na osobności, możliwe, że z powodu dawnej kłótni z „behemotami", kiedyś przecież zachodzili do sąsiadów, szczególnie twój ojciec, wtedy jeszcze mieszkał z nimi ich syn, młody i korpulentny, i jego urodziwa żona Zineczka, która w niedługim czasie urodziła silnego chłopca – o takim mogliby marzyć wszyscy rodzice, martwiło ich jedynie duże znamię na lewym policzku, ciągle wydawało im się, że rośnie i pytali twego ojca, trzydziestoletniego studenta medycyny, a możliwe, że i innych lekarzy, czy to nie jest bardzo niebezpieczne, twój ojciec żył, nie dojadając, ze swego stypendium i pensji mamy, a do tego ty też od czasu do czasu o sobie przypominałeś, dlatego nieszczególnie przebierał w przyjaciołach, tym bardziej, że Żorż („młody behemot" – powie później ojciec) niemal codziennie zapraszał go na wieczorek z muzyką, wódką i kolegami, a co najważniejsze – z jedzeniem; jednak kiedy twoi rodzice gdzieś pojechali, nierozważnie zostawiając sąsiadom klucze, to po powrocie okazało się, że puch z twojej poduszki przesypał się pod głowę nowo narodzonego bohatera („behemocika" – powie ojciec), a wtedy od razu przypomniało się, że stary behemot swego czasu siedział za kradzieże, a teraz nie wiadomo jak wrócił na tę samą posadę, wyjaśniło się, że Lideczka i Zineczka to urodzone złodziejki i plotkary, a młody behemot to łapówkarz; później wszyscy oni zaczęli paskudnie tyć, a szczególnie Żorż, który upodobnił się do beczki i ledwie chodził, opierając się na lasce i dla silniejszego efektu zapuścił jeszcze rudą, kłującą brodę; jedynie wnuk rósł na zdrowego dryblasa, nie zważając na znamię, które nie powiększało się i nie malało, i już w dziewiątej klasie wyemancypował się od babki, gdy tylko jego rodzice przenieśli się do nowego mieszkania, postawił na miejscu dawnego kurnika budę ze sklejki, doprowadził do niej światło, wstawił łóżko, krzesła i stolik, zdobył rozklekotany magnetofon i kiedy Zineczka męczyła się z chorym mężem i młodszym synem – szaleńcem, który w przypływie złości bez wahania ciskał w bliźnich wszystkie przedmioty, jakie był w stanie podnieść, Lidzie Borysiwnie nie pozostawało nic innego, jak tylko oddać zostawionego na jej głowie wnuka do szkoły lotniczej – teraz dokuczał babce tylko podczas wakacji, gdy do północy pijaczył w budzie ze znajomkami, puszczał głośną muzykę i naprędce, pstrykając w ciemności zapałkami, sprzątał po swoich słabszych kolegach wymiociny z klombu; był teraz gościem i Lideczka niekiedy nawet zamiatała w budzie, zbierając źle schowane butelki i sterty niedopałków; oczywiście z potępieniem patrzyła na ściany, oblepione gołymi ślicznotkami, etykietkami od butelek i pudełkami po papierosach, ale od czasu do czasu dawała ukochanemu wnukowi pieniądze, choć mu ich nie brakowało – przy okazji handlował papierosami, pismami pornograficznymi i płytami, i znowu znikał za wysokim murem swojej szkoły; tak więc rodzina twoja pokojowo współżyła z najbliższymi sąsiadami („mimo wszystko, są to ludzie inteligentni" – mawiał ojciec i była w tym jakaś część prawdy), pod dwudziestym drugim także mieszkali inteligentni ludzie, i pod dwudziestym, no a dalej to bez znaczenia, to już nie byli sąsiedzi, a po prostu mieszkańcy waszego miasta i nawet nie kazano ci mówić im „dzień dobry"; jeśli zaś chodzi o dwudziesty szósty i dalej w głąb, aż do samego końca zaułka, to tam mieszkali wyłącznie sami pijacy, chuligani, rozpustnice i plotkarki – tak przynajmniej uważali rodzice i nie pozwalali ci bawić się z ich dziećmi w chowanego albo w wojnę; mieliście wspaniały poligon – zbocze między podwórkami i murem starego, parterowego zakładu, gdzie kiedyś były huzarskie koszary i stajnie, a w którym teraz remontowano wojskowe samochody – zaglądaliście do warsztatów przez zakratowane okna, wdrapywaliście się po rynnach na dach i ukradkiem paliliście pety lub grzebaliście w zakładowych śmieciach – nieustannie byłeś umorusany mazutem, za kołnierz wpadała ci szklana wata, która piekła przez całą noc, a ty nie śmiałeś nawet poskarżyć się rodzicom, ciągle niszczyłeś buty, rwałeś kieszenie nakrętkami, sprężynami, skalami od liczników i czort wie jakim innym żelastwem, a zdarzało się, że przełaziliście przez płot i ściągaliście z podwórza warsztatów stare szyny i akumulatory, a najbardziej zuchwali spośród starszych chłopaków wymontowali z nowego samochodu siedzenie, sprężyste i gładkie, obite czarną dermą; Teodor postawił je w domu – twoi rodzice nigdy by ci na coś takiego nie pozwolili, mama zmusiłaby do odniesienia na miejsce, a ojciec jeszcze by ci przyłożył – nie tyle z przekonania, ile z obowiązku; a kiedy indziej rozpaliliście ognisko z warsztatowych rupieci i przyjechała straż pożarna – ledwie zdążyliście się porozbiegać; i oczywiście graliście w nogę, w „dwa ognie", w „zośkę" i później w cymbergaja na pieniądze, i co ciekawe, starsi chłopcy prawie nie pili, chociaż bardzo wcześnie porzucili szkołę i poszli do roboty, może właśnie dlatego, że ich rodzice do reszty spijaczeli – chudy, mały Nikitin z żałosną łysiną i czarnymi, bezzębnymi ustami, kulawy Matuzalem, którego nieśliście do domu, nieprzytomnego i przelewającego się przez ręce, ślizgając się na śniegu – nie był ciężki, ale bezwolne ciało bez przerwy wysuwało się z ubrania; i wreszcie Ninel, przezywana Żyrafą, jej mąż zginął w kopalni, a teraz wyganiała małego Aleksandra na ulicę i z pijanymi gośćmi darła się przez otwarte okno: „...niezamężnych tkaczek miasto nasze!" – albo w samotności podśpiewywała do wtóru opery z płyt – tak starzała się i coraz częściej piła samotnie, na ulicy zaczepiała mężczyzn, prosząc o papierosy – „Trucizny byś wypaliła" – burczały przechodzące porządne kobiety, a ona dziarsko je wyzywała i demonstracyjnie, trzymając w objęciach, prowadziła do siebie żołnierzy z warsztatów samochodowych; rodzice nie zabraniali ci też bawić się na ulicy, chociaż sam nawet wolałeś bawić się w domu – nie miałeś za wiele zabawek, pomimo że rodzice robili co tylko można, jednak i sam nie najgorzej wymyślałeś zabawy – na przykład, po całym pokoju (meble zaczęły pojawiać się później, gdy ojciec dostał pracę) ciągnąłeś na sznurku tramwaje z pudełek po zapałkach, ułożyłeś w myślach cały system linii tramwajowych; potem zbierałeś obrazki z kopert, papierki od cukierków, później znaczki pocztowe, czytałeś książki – Juliusza Verne'a, Strugackich, Setona-Thompsona, a nawet sam zacząłeś zbierać niczego sobie serię „W świecie przygody", potem zainteresowałeś się zagraniczną fantastyką, ale najbardziej lubiłeś grać w piłkę na szkolnym podwórzu – to już gdy siostra poszła do szkoły, a razem z tym i do świetlicy, i nie musiałeś odbierać jej z przedszkola (żeby skrócić drogę, prowadziłeś ją przez podwórka: przez dziurę w płocie przedostawaliście się na placyk zabaw, aż do chwili gdy skorzystała z tego przejścia, aby uciec z przedszkola na swoją ulicę, zabierając najlepszą przyjaciółkę i gumową piłkę; wychowawczynie padały z nóg, cała wina niezwłocznie spadła na ciebie, a ty przecież tak się starałeś, przejawiałeś niezwykłą inwencję w wynajdowaniu rozrywek dla małej, sam się cieszyłeś, gdy dźwięczał jej radosny śmiech), twoi koledzy z klasy mieszkali na innych ulicach, a rówieśnicy z sąsiedztwa chodzili do innej szkoły, dlatego z nikim się szczególnie nie zbliżyłeś, dlatego tak łatwo to wszystko zapomniałeś – bardzo mało było istotnych wydarzeń.....

– To prawda? – przerywa jej chłopak.

– Możesz mi wierzyć – odpowiada. – Wszystko wiem tak dobrze, jak gdyby mnie się to przydarzyło.

I ciągnie opowieść o jego rodzicach, dziadkach i pradziadkach, o szkole, nauczycielach, najpopularniejszych niegdyś klubach piłkarskich, o pierwszych wędrówkach, zakochaniach i rozczarowaniach. Chłopak słucha uważnie i z ufnością.

– Chodziłeś do szkoły przez park, który do niedawna był częścią lasu – las zaczynał się zaraz za twoją ulicą i często chodziliście tam piec ziemniaki, bawić się w chowanego albo w berka, przełażąc z drzewa na drzewo, tak by nogami nie dotknąć ziemi; w parku były wiewiórki, a czasem zachodziły tam zające; w słoneczne dni przychodzili krewni z dziećmi i całą rodziną spacerowaliście po parku; byłeś najstarszy wśród dzieci i najbardziej niezależny, dlatego zawsze trzymałeś się z boku – nie wypadało dorosłemu chłopcu chodzić za rączkę z mamą i tatą, a poza tym było ci pewnie wstyd przed znajomymi – nie mogłeś przecież, czysty i spokojny, razem z nimi hasać po pagórkach albo wdrapywać się na najwyższe drzewo; za to na stadionie cieszyłeś się wolnością – podczas gdy rodzice, rozmawiając niespiesznie, wygrzewali się na pustych trybunach, byłeś od wszystkich lepszy i w biegach, i w skokach, i w rzucie kamieniem – dopóty, dopóki twoi bracia cioteczni-bliźniacy nie obrażali się; i przezywałeś ich tchórzami („chórze" – mówiłeś) za to, że nie chcieli cały czas przegrywać, we łzach biegli poskarżyć się swoim rodzicom, a ty, czupurnie wetknąwszy ręce do kieszeni, stawałeś w ogromnej bramce i prosiłeś siostrę, aby kopnęła gumową piłkę, ale najczęściej nie udawało jej się – brała długi rozbieg, nie trafiała w piłkę i padała na ziemię; „zabije się dziecko" – mówiła ciotka, a wujek Stefan robił tymczasem klasyczne zdjęcia; i znowu okazywałeś się winny – wszyscy krzyczeli; „nie umiesz się bawić, to się nie baw" – mówiła w domu mama – „i nie waż się przezywać Jureczka i Sławeczka", „nie zadawaj się z gówniarzami" – dodawał ojciec, pomimo że byli to jego krewni i dopiero pod pełnym wyrzutu spojrzeniem mamy poprawiał się: „bądź rozsądny" i starałeś się być rozsądny, ale robiłeś głupstwo za głupstwem: w trzeciej klasie zakochałeś się w Łarysie, najpiękniejszej dziewczynie i najlepszej uczennicy i nie mając żadnej nadziei, nabazgrałeś w jej imieniu parę liścików, w których o tej samej porze wyznaczałeś kilku najprzystojniejszym (twoim zdaniem) chłopcom spotkanie na stadionie – pragnąłeś w ten sposób pozbyć się za jednym zamachem wszystkich konkurentów i już z góry cieszyłeś się z ich zdziwienia i bezradności, wyobrażając sobie, jak spotkają się na stadionie twarzą w twarz; ale w rezultacie to oni śmiali się ostatni, bo liściki trafiły do rąk nauczycielki, płonąłeś ze wstydu i hańby, i kara wydała ci się wówczas całkowicie zasłużona – nauczycielka zostawiła cię po lekcjach; zresztą, dwa lata później mimo wszystko zdobyłeś przychylność Łarysy, ale przyćmiła ją inna gwiazda – Oksana, twoja sąsiadka, chodziła do równoległej klasy; godzinami wystawałeś na dworze, żeby tylko ją spotkać, kiedy, być może, pójdzie do sklepu albo do pompy po wodę; żeby nikogo nie dziwić tym sterczeniem na ulicy, a do tego jeszcze w zimie, chodziłeś po wodę, wynosiłeś śmiecie, od niechcenia rzucałeś śnieżkami w słup latarni; kiedy zaś Oksana przeniosła się z rodzicami do nowego mieszkania, coraz rzadziej do nich zachodziłeś (pomimo że miałeś już wolny wstęp do ich domu i zawsze byłeś mile widzianym gościem), aż wreszcie zupełnie przestałeś się pokazywać; wśród innych głupstw należy jeszcze wspomnieć bójki na teczki z uczniami sąsiedniej szkoły – nazywali was „przygłupami", a wy przezywaliście ich „ruskami"; pewnego razu doniesiono na was, że ukradliście makulaturę z ich podwórza i zostaliście zaprowadzeni do gabinetu dyrektora, po czym telefonicznie wezwano rodziców, a przy okazji również milicjanta z Izby Dziecka; a poza tym rzucaliście w nich śnieżkami z górki, która wyrastała nad ulicą – albo oni w was, zależy, kto pierwszy zajął górkę; obrywały także przejeżdżające obok tramwaje i samochody oraz pomnik przywódcy polskiego powstania, pana Głowackiego; stojący na górce w parku; ćwiczyliście na nim tak pilnie, że jego głowa bywała całkowicie zalepiona śniegiem, albo znów wdrapywaliście się na czubek pomnika (pan stał na armacie, unosił rękę w geście wezwania) i wpychaliście mu między rozstawione palce papierosa, ale rzecz dziwna – ledwie przyjechali robotnicy z młotem pneumatycznym i oderwali z pomnika błyszczącą płytę z napisem, od razu przeszła wam ochota na błaznowanie i cała wasza uwaga skierowała się na czołg – stał na wysokim postumencie i kamienne płyty były równiutko do siebie spasowane; zachciało wam się dowiedzieć, co czołg ma w środku i gdy wreszcie sprytnie dostaliście się na górę, to w czołgu nie znaleźliście nic, choćby jednej śrubki i tylko kupka wyschniętych odchodów walała się pod wyciętym w spodzie lukiem, pewnie od ta.....

Milknie – jakby urwała się taśma magnetofonowa. Przenika ją nagła myśl, że to wszystko nie to, że każdy drobiazg pociąga za sobą inny, każde wyjaśnienie jest przyczyną następnych – i

CIĄG DALSZY NA STR. 24

WAMPIR: Niektórzy teratolodzy (badacze dziwowisk) skłonni są traktować wampiryzm jako rodzaj zboczenia płciowego. Smak żywej, ciepłej krwi może widocznie przynosić nie mniejsze zadowolenie niż onanizm nad porno-zdjęciem czy gwałcenie nieletnich. Najistotniejszym wyróżnikiem wampirów są, rzecz jasna, wyraźnie wydłużone kły.

Dzień dzisiejszy wampirów jest dość zatrważający. Starają się mieszkać w pobliżu banków krwi, a wielu z nich zatrudnia się tam do pracy. Jeszcze do niedawna lubiły zjawiać się u golarzy lub w rzeźniach drobiu, ale teraz, w związku ze wzrastającym zagrożeniem AIDS, los wampirów staje się coraz bardziej uciążliwy i nie ma żadnej pewności, czy wkrótce całkiem nie wyginą.

Noc spędzona z wampirem pozostawia na szyi maleńką rankę, podobną do pączka czerwonego kwiatka i przyjemne, jak od pierwszego wypalonego papierosa, zamroczenie. Ale też ledwie odczuwalną tęsknotę za czymś nieznanym, niby z innego świata, jak choćby krwawy befsztyk.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ („Czerwer", nr 3, 1992)

CIĄG DALSZY ZE STR. 23

nie starczy jej tysiąca lat, żeby powiedzieć mu wszystko. Nigdy nie zdoła przygotować go do wejścia w świat.

– Opowiadaj o mnie dalej – prosi chłopak.

– Dawno nie grałeś na skrzypcach – odpowiada. – Nie podlałeś dzisiaj kwiatków. Pora na kolację. Poczytaj mi coś na głos. Ogromnie się zmęczyłam.

– Jak się tu znalazłem? Dokąd szedłem? Kim jestem? Po co?

– Mój naiwny chłopczyku. Tego nawet ja nie wiem.

– Nie mów do mnie „chłopczyku"!

– Mój drogi Adamie – mówi poważnie. – Znalazłam cię na bruku, stratowanego. Bałam się, że twoja choroba zaostrzy się, gdy tylko znowu zobaczysz ludzi i tę samą ulicę. Ludzie są źli, tępi, obojętni, zazdrośni, pożądliwi.....

– Nieprawda!!! – krzyczy chłopak i zrywa się z miejsca.

Kobieta z ironicznym uśmiechem rusza w stronę okna i nie odrywając od Adama wyrazistego spojrzenia odsuwa zasłonę. Razem przyciskają twarze do szyby i z najwyższego okna dwupiętrowego domu widzą ulicę. W długich, krętych kolejkach tłoczą się ludzie. Nikt niczego nie kupuje, nie widać słoików, siatek, pakunków, toreb, ludzie w milczeniu przytupują w miejscu, przenikając z jednej kolejki do drugiej, jak cząsteczki pod mikroskopem.

Nagle w niewielkiej przerwie między ciałami dostrzega postać rozciągniętą na bruku i zanim zdąży jęknąć, zaciągnąć zasłonę, zasłonić Adamowi oczy – słyszy skrzypienie jego powolnych kroków na schodach. Nie biegnie za nim. Nie biegnie do tego drugiego, który leży stratowany na ulicy. Można teraz znowu postawić kaktusy na parapecie – myśli. Można otworzyć balkon i posadzić nowe kwiaty. Postawić na miejsce wszystkie książki w bibliotece. Schować skrzypce do futerału. Pozmywać naczynia i nie dotykać ich więcej.

Niespiesznie zaprowadza w pokojach wzorowy porządek. Rozpala w kominku i wrzuca tam jedną po drugiej wszystkie książki. Potem skrzypce. Wypchane zwierzęta. Szklane oczy pobrzękują w kominku. Wynosi na balkon doniczki. Zamyka wszystkie drzwi i siada przed oknem w pokoju na górze. Zaciąga zasłonę i zarzuca ją za plecy.

Nieporuszenie wtula się w okno.

Kijów

Mykoła Riabczuk

Tłumaczyła **Katarzyna Kotyńska**

MYKOŁA RIABCZUK (ur. 1953) - *ukraiński pisarz, poeta, krytyk, tłumacz. Urodził się w Łucku. Absolwent Politechniki Lwowskiej i Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie. Długą zimę lat 70. przeżył w smutku i nonkonformizmie, ucieleśniając klasyczny przykład społecznego outsiderstwa i samotnictwa. W nabitej zabronionymi książkami lodówce R. przechowywał portret marszałka Breżniewa (wariant zsyłki na Sybir). Pracował jako monter na kolei, ślusarz-elektryk, robotnik techniczny w teatrze, kierowca ciężarówki, a od końca lat 70. jako poganiacz słoni. Obecnie - znany autorytet literacki, zastępca redaktora naczelnego magazynu „Wseswit". Wydał zbiór artykułów krytycznych „Potreba słowa" („Potrzeba słowa", 1985) i tomik wierszy „Zyma u Lwowi" („Zima we Lwowie", 1989), z których większość pochodzi z tego samego undergroundowego okresu co opowiadania.* Dziś mieszka w Kijowie i redaguje czasopismo „Krytyka". Prezentowan eopowiadanie zaczerpnięto z „Kuriera Krywbasu" (1997, nr 87-90).

MIŁOŚĆ: Kochaniem przyjęło się uważać uczuciowe ciągotki jednej płci do innej. Trafiają się i ciągotki jednopłciowe, ale te są niepłodne. Kochanie często traktowane jest jak choroba, nieszczęście, omam, szaleństwo czy dość przykra dolegliwość. Niektórzy fachowcy obstają przy twierdzeniu, że kochanie jest nieoczekiwanym rezultatem banalnego instynktu przedłużenia gatunku. Znaczy: ludzie się kochają, bo odczuwają przy tym dogłębną potrzebę w pomnażaniu sobie podobnych. Osobiście przychylam się do pierwszej hipotezy.

Według mnie kochanie jest ciężką, często nieuleczalną niemocą. Jego symptomy opisano na wielu stronach specjalistycznej i dyletanckiej literatury. Wspomnę tylko najważniejsze: niespokojny sen z marzeniami o osobie, którą chory jest przejęty, bezprecedensowa erekcja w wyniku wspomnienia wyżej wspomnianej osoby, absolutnie nienaturalne pragnienie, żeby się żenić, nocne mało zorganizowane polucje. To tylko źdźbiełko z całego bukietu chorobliwych symptomów kochania, które często doprowadzają pacjenta do objawów paranoi: chorzy często w wyobraźni wchodzą w rolę Anny Kareniny, Carmen lub Inessy Armand po znajomości z Illiczem. A co ciekawsze - takie wyobrażenia prześladują również mężczyzn.

Kochanie jest chorobą bez wątpienia zakaźną. Zaraza rozprzestrzenia się trzema znanymi i dziesiątkiem nieznanych dróg: wzrokowym, dotykowym i oralno-genitalnym. Najbardziej poszerzone jest rozprzestrzenianie się zarazy wzrokowo. Dotknięty dolegliwością samiec lub samica nie patrzy zwyczajnie na obiekt pokusy, ale wbrew naturze zjada oczami niczego nie podejrzewającą osobę. W nauce zanotowano przypadek zupełnego pożarcia oczami przez mieszkankę osady Bibrki, pannę Stasię Picelską, kolegi z klasy, Josypa Chruszczaka, w ciągu dwóch minut trzydziestu sześciu sekund według czasu kijowskiego. Ofiara została pochłonięta razem z podartymi dżinsami rodem z samborskiego bazaru i pomarańczowym swetrem „Ferrari".

Podobna zachłanność przywodzi chorych do stadium drugiego - dotykowego. Opanowuje ich niezmierne pragnienie, by opuszkami palców dotknąć brzegu ukochanego obrazu. Jeśli to pragnienie pozostaje niezrealizowane - chory próbuje przynajmniej rzecz należącą do ukochanego ukraść: chustkę, zapałki, długopis (najchętniej „Parker"), skarpetkę z prawej nogi, albo pończoszkę, torebkę, pierścionek, angorowy sweter, albo samochód. Zainfekowani wirusem kochania pierwsi rzucają się na powitanie, przytulają się w transporcie publicznym. Żeby więc nietkniętymi zachować swoje rzeczy - pozwólcie się dotykać.

Trzeci sposób zarażania kochaniem - oralno-genitalny, wywołuje początkowo lekkie, a z czasem stale pogłębiające się zadowolenie, które przywodzi do fatalnego uzależnienia się nieszczęsnej ofiary od kochania. Ustrzec się przed kochaniem można tylko na dwa wiadome nauce sposoby: palnąć sobie w łeb przed osiągnięciem dojrzałości płciowej, albo fizycznie zlikwidować osobę, która wywołała u nas chorobliwy popęd. Jest jeszcze nietradycyjny sposób ludowy z wydłubywaniem oczu i obcinaniem przyrodzenia, ale ten nie jest uznawany za klasyczny.

JURIJ WYNNYCZUK (*Soromyćkyj humor*, L'wiw 1998)

Wszystkie hasła słowniczka tłumaczyła **Renata Rusnak**

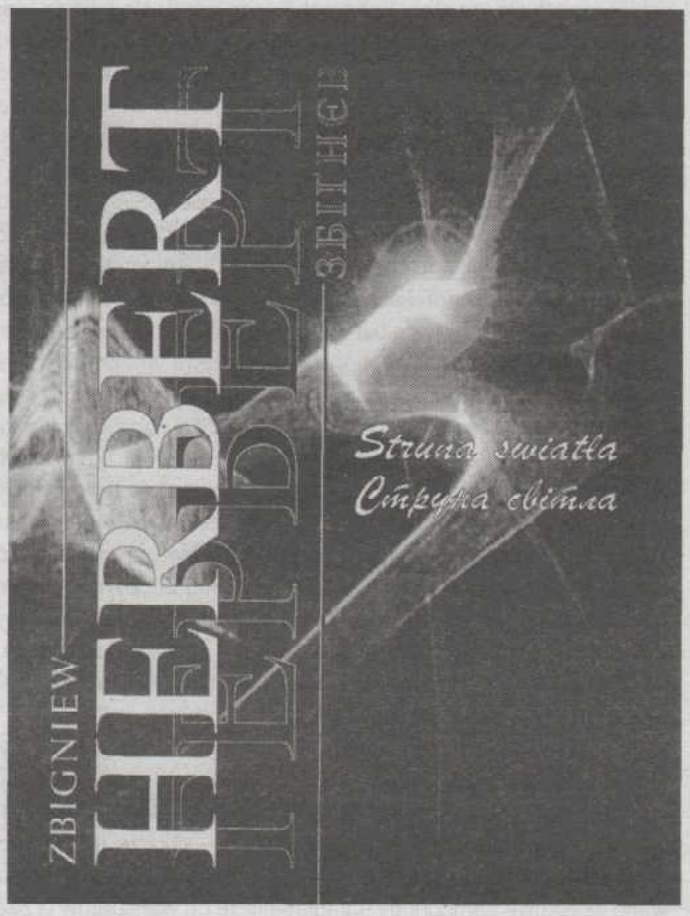

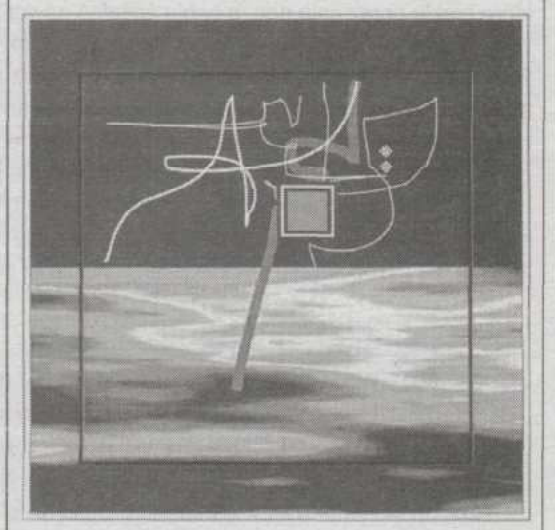

Tadeusz Różewicz
WYBÓR WIERSZY
Тадеуш Ружевич
ВИБРАНІ ВІРШІ

Wołodymyr Mułyk *Bóg*

Iwana zbudził chłód. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była grudka czarnej, tłustej ziemi. Obok niej leżała jeszcze jedna taka grudka, a dalej, aż po horyzont, następne. Wszystkie razem tworzyły nie kończące się, zaorane pole. Właśnie na nim leżał w tej chwili Iwan.

Usiadł z dużym wysiłkiem. Głowa bolała go przeraźliwie, a serce waliło młotem. Wczoraj na chrzcinach ewidentnie przesadził. Chwiejąc się wstał i przyjrzał się sobie ze zdziwieniem. Nie miał na sobie nic, poza wielkimi, białymi, bez wątpienia państwowymi szortami. O ich urzędowym pochodzeniu świadczyła wielka, atramentowa pieczęć na lewej nogawce. Pieczęć była rozmyta i nie sposób było ustalić, jaka organizacja się nią posługiwała.

Rozejrzał się na wszystkie strony. Gdzie okiem sięgnąć ciągnęło się czarne, tłuste, równe jak stół, zaorane pole. Kręcił wkoło głową, starając się zaczepić o coś wzrokiem. Udało mu się. Niemal na wprost zobaczył jakąś niewyraźną sylwetkę. Z tej odległości nie sposób było zorientować się, co to jest, ale wyraźnie naruszało to idealną równość pola. Ocenił odległość dzielącą go od nieznanego przedmiotu i ciężko westchnął. W jego stanie będzie to trudna droga. Ale iść trzeba.

Brnął już dość długo, a przedmiot wcale się nie przybliżał. Musiał często przystawać, żeby uspokoić serce gotowe wyskoczyć przez usta. Ile jeszcze musi iść? Godzinę, dwie, dzień, rok? Było zimno. Czekał aż wzejdzie słońce i zrobi się cieplej, ale wyglądało na to, że słońce w tych stronach wcale się nie zjawia. Skąd zatem światło? Iwan zatrzymał się i spojrzał w niebo. Było nienaturalnie białego koloru i świeciło równie nienaturalnym, białym światłem.

„Boże gdzie ja jestem?" Skulił się przerażony. „Może to zwidy?". Uszczypnął się w nogę. Zabolało. A więc w porządku. Trzeba iść. Pewnie wczoraj ktoś sobie z niego niewybrednie zażartował i wywiózł na to pole. A niebo? Czyż często mu się do tej pory przyglądał? Może zawsze tak wyglądało? Pić się chciało okropnie.

Ile jeszcze minęło czasu, Iwan nie był w stanie powiedzieć. Wciąż szedł ze spuszczonym wzrokiem i ledwie powłóczył nogami. Kiedy wreszcie zatrzymał się, żeby zaczerpnąć powietrza i podniósł wzrok, zaskoczył go widok nieznanego przedmiotu oddalonego zaledwie o kilka kroków. Były to drzwi. Podszedł bliżej i przesunął po nich ręką.

Tak, to były drzwi. Najzwyczajniejsze, bezsensowne drzwi, jakie spotyka się w wiejskich chałupach. Jakiś świr postawił je w środku pola na sztorc. Kopnął je ze złością. Zawył z bólu. Paluch u nogi spuchł od razu, a drzwi ani drgnęły.

„Ach tak!" Naparł na nie ramieniem. Bez rezultatu. Obszedł je. Plecami z całej siły zwalił się na drzwi, a nogami zaparł się w ziemię. Stały niczym wkopane. „Oczywiście – wkopane"! Padł na kolana i zaczął rozgrzebywać ziemię dookoła. Przez pewien czas energicznie pracował. Nagle z przerażeniem odskoczył. „To niemożliwe" – wymamrotał. Potem znowu ostrożnie zaczął rozgrzebywać ziemię. Gdy skończył, przywarł do ziemi i na czworaka, zaglądając pod drzwi, obszedł je dookoła. Nie miał już żadnych wątpliwości – drzwi wisiały w powietrzu. Na niczym się nie opierały i na niczym nie były powieszone. Iwan usiadł na ziemi i brudnymi rękoma przetarł spoconą twarz. „O co chodzi?" Łzy same napłynęły mu do oczu. Głośno szlochając, upadł twarzą do ziemi.

Czas mijał. Iwan już nie płakał. Jedynie leżał z nosem wtulonym w ziemię. Nie mógł już teraz zrozumieć dlaczego tak się rozryczał. To przecież tylko drzwi, które wiszą w powietrzu. Wiszą i koniec. Ich sprawa. Co mu do tego. Podniósł się powoli i znów je obejrzał. Nie znalazł żadnego zagrożenia. Zresztą jakie zagrożenie mogą nieść ze sobą zwykłe drewniane drzwi.

Podszedł i nacisnął klamkę. Natychmiast ustąpiły. Na twarzy poczuł świeżość morskiego wiatru. Słychać było krzyki mew. Choć ze strachu zaraz zamknął drzwi, to jednak zdążył zauważyć za nimi (nie wiadomo tylko gdzie to jest – za nimi) brzeg morza i jakąś postać sterczącą w oddali, nad wodą. Stał chwilę głęboko oddychając, a potem obszedł drzwi. Za drzwiami, jak się spodziewał, zobaczył to samo nie kończące się, równe, zaorane pole. Wziął głęboki oddech i nacisnął klamkę z drugiej strony. I teraz doleciały go krzyki mew i zapach świeżego wiatru. Tym razem nie opierał się już widokowi: był to brzeg morza, ale widział go teraz z innej strony. W oddali, nad samą wodą, rzeczywiście ktoś stał. Ten ktoś zwrócił się w jego stronę i zapraszająco pomachał ręką. Iwan zmusił się do zrobienia kroku w rozpościerający się przed nim świat. Drzwi zamknęły się cicho za plecami. Świat, w którym się znalazł, różnił się bardzo od tego, w którym spędził kilka ostatnich godzin (a może były to dni). Słychać tu było różne dźwięki – krzyki mew, szum fal i wiatru. Z jaskrawobłękitnego nieba świeciło jaskrawe, gorące słońce. Pod stopami szemrał ciepły, żółty piach. Brakowało tylko beczki zimnego piwa. Nieznajomy znowu skinął ręką. Iwan ruszył w jego kierunku.

Z bliska mógł się lepiej przyjrzeć nieznajomemu. Był to trzydziesto-, trzydziestopięcioletni mężczyzna. Długie do ramion blond włosy, gęsta broda. Ubrany był w niebieskie, spłowiałe dżinsy i biały podkoszulek. Stał i palcami bosych stóp przebierał piasek. Plaża ciągnęła się aż po horyzont. Na horyzoncie wznosiły się wysokie góry. Na plaży nie było pusto, rosły tu palmy i jeszcze jakieś nie znane mu drzewa. W cieniu pod drzewami zauważył biały szezlong, obok zastawiony rozmaitymi trunkami stolik. Przełknął ślinę i przyspieszył kroku. Za moment stał przed nieznajomym. Ten wyciągnął dłoń i najzwyczajniej powiedział:

– Witam.

Głos był cichy i łagodny. Tak bardzo łagodny, że Iwana przeszedł dreszcz. Złapał wyciągniętą dłoń i zaczął nią potrząsać.

– Bardzo dziękuję. Jestem Wania. To znaczy Iwan. To znaczy Piotrowicz...

– Wiem – tak samo łagodnie odezwał się nieznajomy, po czym dodał: – Ale to już tylko przez chwilę.

– A jak się mam do pana zwracać? – Iwanowi tak zaschło w gardle, że o przełknięciu śliny nie mogło być mowy.

– Po prostu Bóg – powiedział spokojnie nieznajomy i zapytał. – Może wina?

– Raczej piwa – bez namysłu odparł Iwan, a w głowie kołatało: obłąkany.

– Nie jestem obłąkany – powiedział nieznajomy. – A piwa niestety nie ma, tylko wino. Proszę do cienia, bo słońce pali dziś niemiłosiernie – wskazał ręką w kierunku stolika.

Iwan posłusznie podszedł. Ten, który nazywał siebie Bogiem, nalał kielich czerwonego wina i podał Iwanowi. Iwan wychylił go zachłannie.

– Jeszcze ! – wyciągnął rękę z kielichem w kierunku nowego znajomego. Ten napełnił i znów Iwan wypił jednym haustem. Potem stał chwilę z zamkniętymi oczami, po czym otrząsnął się, uśmiechnął i rzekł:

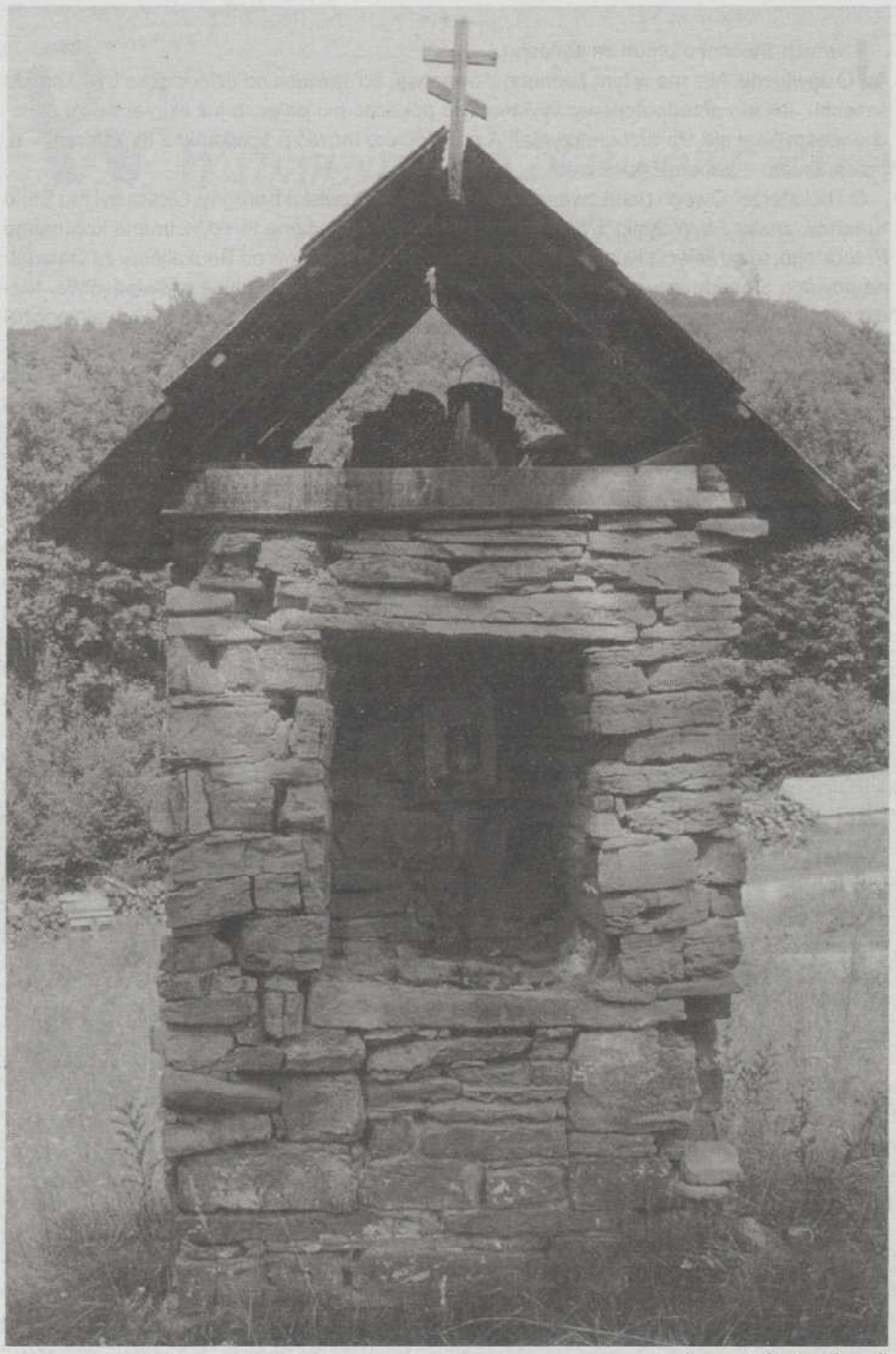

Fotografia **Grażyna Borowik**

– Uff ! – ulżyło. – Teraz, koleś, rzeczywiście wierzę, żeś ty Bóg.

Następny kieliszek nalał sobie już sam. Rozsiadł się w białym szezlongu, założył nogę na nogę i zapytał:

– Słuchaj stary, może i papierosem poczęstujesz?

– Nie, papierosów nie ma. Od papierosów trzeba się będzie odzwyczaić.

– Co to znaczy „odzwyczaić"? Chcesz powiedzieć, że będę tu dość długo, by odwyknąć?

– Tak. Wystarczająco długo.

– No nie. A nie wydaje ci się, że ten głupi żart trwa już za długo?

– To nie jest żart – ten, który nazwał siebie Bogiem wyciągnął spod stołu pakunek w folii. – To twoje ubranie. Idź, obmyj się w morzu. Potem się przebierzesz.

– Nie przebiorę się, dopóki mi nie wyjaśnisz, o co tu chodzi.

– Porozmawiamy potem – odwrócił się plecami i wpatrzył w morze.

Iwan splunął na piasek, wstał i ruszył do wody. Kiedy zmył z siebie cały brud, wyszedł na brzeg i podniósł z ziemi pakunek z ubraniem. Były tam takie same, tyle że nowe, niebieskie dżinsy i biały podkoszulek. To wszystko. Bielizny nie było. Wzruszył ramionami. Zrzucił państwowe szorty i zakopał pod krzakiem. Nałożył nowe ubranie.

– Teraz słucham – zwrócił się do tego dziwnego człowieka, ale ten milczał.

– Ej, ty, Bóg! Do ciebie mówię!

Nazwany Bogiem odwrócił się do Iwana, uśmiechnął łagodnie i rzekł:

– Ja już nie jestem Bogiem. Teraz Bóg – to ty.

– Co to znaczy? Jak to ja? – Iwana zatkało. – Co ty pleciesz? No mów! – chciał jeszcze dodać „sukinsynu", ale to słowo uwięzło mu w gardle i nie był już pewien, czy kiedykolwiek je znał. Tak samo zresztą jak inne obelżywe wyzwiska.

– Widzisz, już się zacząłeś zmieniać. Przyzwyczajaj się. Przecież jesteś Bóg. A wszystko wyjaśnią oni – dawny Bóg wskazał palcem coś w górze. – Na mnie już pora. Żegnaj. I powodzenia w nowej roli.

Poklepał Iwana po ramieniu, odwrócił się i poszedł w kierunku, z którego Iwan przybył do tego dziwnego świata żółtego piasku i ciepłego morza. Oniemiały Iwan utkwił wzrok w oddalającej się postaci, ale nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu. Tamten już zniknął za drzwiami, a Iwan wciąż stał ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Z tego stanu wytrącił go dopiero dochodzący z góry szum wielkich skrzydeł. Iwan podniósł wzrok i zobaczył lecące wprost na niego dziwne, białe, skrzydlate istoty.

To byli ci, którzy mu wszystko wyjaśnią.

marzec 1994 r.

Wołodymyr Mułyk

Tłumaczyli **Bogusław Sałej i Małgorzata Kmita**

WOŁODYMYR MUŁYK (ur. 1964) - mieszka w Stanisławowie, publikował w antologii współczesnej nowelistyki ukraińskiej *Kwity w temnij kimnati* (Kijów 1997), z tego wydania pochodzi prezentowany tekst.

Mychałko Skalicki (*Ósma nowela*)

* * *

Jawtuch Stecenko umarł ze śmiechu.

O Jawtuchu. Nie ma w tym żadnego dziwactwa, bo Jawtuch od dzieciństwa był skory do śmiechu, jak kto przedpotopowy. Wystarczyło pokazać mu palec, a już słaniał się ze śmiechu: zaśmiewał się, za brzuch trzymał! A cóż dopiero mówić o spotkaniu z tricksterem – o, przepraszam – panem Tricksterem.

O Tricksterze. Owego pana zwano Mychodiem, na nazwisko Koronny. Ojcem był mu Serlo Koronny, znany na Wołyniu z tego, że wywodził swoją rodzinę to od hetmana koronnego Potockiego, to od księcia Koniecpolskiego, to od Noego, to znów od Deukaliona, ze śmiertelną powagą proponując wszelkim osobom i instancjom dokumentujące to świadectwa. Niedługo po Polsce zamęczyli go chciwi sowieccy czekiści, którym tak samo brakowało poczucia humoru. Zresztą i Fedio Ślepak cierpiał z tego powodu, a dopiero śmierć Jawtucha Stecenka otworzyła mu oczy, wyratowała z biedy i zmusiła roześmiać się samemu. Sam Fedio pozostał przy życiu dzięki Objawieniu Pańskiemu, jednej starej doświadczonej pielęgniarce i jeszcze jakimś dobrym ludziom, którzy go cucili i do przytomności doprowadzali.

O Fediu Ślepaku. Ród Fedia był nieznany. Wyrósł w przytułku jako sierota. Ślepakiem go już po wychowawcy pisali. W sieroctwie los złączył go na krótko z Mychodiem, ponieważ matka tamtego, chociaż i ją znał, też wcześnie umarła. Fedio był, lub raczej uważał się nieomal za przyjaciela Serlowego Mychodia, przynajmniej dopóty, dopóki siedzieli w jednej ławce i w jednym pomieszczeniu klasowym któregoś z zarządów (Bóg jeden wie, czym on tam zarządzał), dopóki Mychodia nie wyznaczono na boga, lub może – dopóki Mychodio nie zapragnął nazwać młodszego kolegi „duchowym synem", lub nawet „synkiem".

O tricksterze znów. Mychodio Koronny nawet zanim go wyznaczono na boga, nie boga nawet, a tak tylko, bożka lokalnego znaczenia – trickstera, bez kultu, jasna sprawa – po trochu rozśmieszał naród prawosławny, katolicki, mojżeszowy, mahometański i niewierny. Pierwszą bowiem rzeczą, którą zrobił, od razu po przyjściu do Wydziału, była wymiana własnego ojca Serla na ojca Edwarda. Później już, wydrapawszy się do jaśniepaństwa, również i nazwisko Mychodio wydało mu się niezbyt szlachetnym w brzmieniu. W ten oto sposób Serlów Mychodio został Heorhijem Edwardowyczem, chociaż – Koronnym.

O Fediu. Raz Fedio Ślepak zapytał Mychodia, to znaczy już Heorhija Edwardowycza, o tę sprawę.

– Ja – powiedział Fedio, – bylebym tylko wiedział, jak nazywał się mój ojciec, choćby się i nazywał Gówniak, czy jak tam jeszcze, do końca świata nie zgodziłbym się zmienić nazwiska na jakiegoś tam Serhijowycza.

A jego samego nazywano właśnie Sernjowyczem, ale to samo imię nosił i jego Wychowawca Ślepak.

O tricksterze znów.

– Wiesz co, synku – powiedział Fediowi Heorhij Edwardowycz – to mi już musisz wybaczyć, że cię tak nazywam, naprawdę mógłbyś być moim synem, naprawdę chciałbym, żebyś został moim synem, duchowym, oczywiście. Co ty na to?

O Fediu. Fedio po tych słowach zrobił się czerwony na twarzy i potrafił najwyżej coś tam wymamrotać. Wiadoma rzecz, że nie było mu do śmiechu. Nie miał jednak szczęścia: podłoga się pod nim załamała (później zbadano, że w tym miejscu znajdowała się starannie zamaskowana wada fabryczna, na którą przyszła pora działania), i runął pośrodku takiego samego ślicznego gabinetu – lecz piętro niżej. Na szczęście, przeleżał na innym oddziale ze dwa miesiące. Heorhij Edwardowycz nie przypomniał mu o tej przygodzie i o tej rozmowie, pozostała więc ona niedopowiedzianą.

O tricksterze znowu. Sam z siebie nie był znowu Mychodio Koronny takim dziwakiem. Zwyczajny facet. Prawda, że nie całkiem udanych rozmiarów, miał co najwyżej półtora metra wysokości i coś między dwoma a trzema centymetrami ponadto. Takie miał ciało. Ale dusza! Czego by tam nie opowiadali o ciele i duszy poeci, esteci, filozofowie czy teolodzy – dusza była zbudowana o wiele lepiej.

I to nawet nie to. To znaczy, nie zawsze.

O duszy i ciele. Zazwyczaj Heorhij Edwardowycz spoglądał na swego młodego kolegę z góry. Jak mu się to udawało? – tego Fedio nie mógł pojąć aż do wspomnianego wypadku ze Stecenką. A to było proste całkiem. Ciało Fedia, jak i dusza zresztą, liczyło sobie tak ze sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Heorhij Edwardowycz spoglądał na niego z wysokości swojej duszy, a ona miała aż metr i osiemdziesiąt dziewięć centymetrów.

O Fediu można powiedzieć jedno. Ponieważ nauczono Fedia, że dusza i ciało to jedno, że zajmują one, mimo wszystkich zawiłości z koordynatami czasoprzestrzennymi, jedno i to samo miejsce w przestrzeni – i była to najprawdziwsza prawda – pogląd ten sprawiał mu niemały kłopot. Za każdym więc razem, gdy, rozpostarłszy skrzydła, maleńki człowieczek z wysokości swojej wysokiej (lub wielkiej, a może nawet potężnej) duszy wygłaszał to swoje: „Wiesz co, synku?..." – Fedio spadał piętro niżej i łamał sobie kości. I to tak, że nie pozostawało na nim żadnego całego miejsca – same zrosty. W najlepszym wypadku, kiedy poszczęściło mu się i nie spadł, Fedio budził się następnego ranka we własnych wściekliznach. I te wszystkie sprawy były błogosławieństwem dla niego, bo bez tego w ogóle by nie przeżył.

O ciele i duszy znów. Przed otrzymaniem osobnego biurka z czterema aparatami telefonicznymi na wierzchu (jednym czarnym, jednym białym, jednym koloru kawy z mlekiem i jednym żółto-błękitnym, przefarbowanym z czerwonego) Heorhij Edwardowycz nieomal zrównał się ciałem ze swą duszą. Zakola mu pozieleniały, na czole nawet podczas krótkiego, płochliwego snu powstawały trzy głębokie i dwie nie bardzo głębokie zmarszczki, głos mu się łamał, niby w młodości, niedopowiedziane słowa grzęzły mu w gardle (a tam wciąż coś niby bulgotało), palce rąk drżały bezładnie, tak jakoś każdy palec w swoim własnym porządku. A już dusza zmalała na tyle, że chociaż nie chowała się jeszcze na ramieniu, nie wiadomo przecie, czy choć na pięć czy sześć centymetrów wyglądała z nieszczęsnego ciała. Nawet na Fedia Ślepaka, swego młodszego kolegę, Heorhij Edwardowycz musiał się patrzeć z dołu do góry przez calutkie trzy dni.

O Fediu. Fediowi żal było nieszczęsnego Mychodia-Heorhija. Litościwym musiał być już od małego, skoro nawet przytułek rozumu go nie nauczył.

– Heorhiju Edwardowyczu – mówił Fedio – ulitujcie się nad sobą. W oczach giniecie. Mnie choćby złote góry i rzeki mleka z kisielowymi brzegami obiecywali, nie wydałbym się na taką mękę.

O Ciele i duszy znowu.

– Rzeczywiście, – mówiło ciało – ostatnio niezbyt dobrze się czuję. Źle wyglądam?

– Roboty dużo – mówiła dusza. – Nocami przychodzi pracować. Ty jeszcze, Fediu, nie wiesz, co to takiego naprawdę pracować. Twórczo, z natchnieniem, całego siebie oddawać pracy, nie przejmując się przelotnymi problemami egzystencji, nie oglądając na kierownictwo, nie myśląc o karierze...

O Fediu.

– Ależ trzeba trochę i o sobie pomyśleć! – mówił Fedio. – A tak, na śmierć się zaharujecie tą przeklętą robotą.

O ciele i duszy znów.

– Czymże jest ciało? – mówiła dusza. – Marność. Człowiek – to dusza. Nno, tobie do tego jeszcze daleko.

– Proponują mi tu – mówiło ciało – zajęcie tego pustego biurka. Ze wszystkimi możliwymi następstwami, mogącymi się wiązać z taką propozycją. Sam nie wiem, co na to odpowiedzieć. Oczywiście, wysoka płaca i tak dalej...

– Ale czy warta ona tej wysokiej odpowiedzialności? – mówiła dusza, – którą, chcąc nie chcąc, przyjdzie zwalić sobie na grzbiet? Czym są pieniądze? Tfuu!

O Fediu. Fedio w jakiś sposób wiedział, czy może przeczuwał, że *vacat* zajmie właśnie Heorhij Edwardowycz, lecz co to oznacza, zrozumiał dopiero teraz.

– To przez to miejsce tak cierpicie?! – powiedział. – Noo, jak tak przeżywacie własną decyzję, będzie z was dobry i porządny kierownik.

O ciele i duszy znów.

– Nno, nie wiem, nie wiem – mówiło ciało.

Dusza tymczasem zamknęła powieki i powoli rosła. I urosła od razu z dziesięć centymetrów.

Za trzy dni Heorhij Edwardowycz znowu spoglądał na Fedia Ślepaka z góry. Jego dusza osiągnęła dwumetrowe rozmiary. Ciało nabrało naturalnego koloru, głos – brzmienia, palce – rytmu, choć trzęsły się jeszcze niekiedy, zwłaszcza, gdy przyszło biec „na górę".

O tricksterze. Tak oto Serlów Mychodio, na nazwisko Koronny, został tricksterem, panem Tricksterem – śmiesznym cudaczyskiem z duszą niewspółmierną do ciała.

O ciele i duszy znów. Nowa miotła nie od razu zaczęła dobrze zamiatać – z powodu rozdwojenia jaźni: póki ciało musiało biegać to „na górę", to „na dół", po cenne wskazówki, bez których nie śmiało ono postąpić ni kroku, dusza przyswajała sobie osobne biurko, fotel za nim no i wiadomo, i jeszcze uczyła się mówić do tych wszystkich telefonów.

Niee. – mówiła dusza. – Już tu nie pracuje. Tak – mówiła dusza. – Koronny Heorhij Edwardowycz. Pan w jakiej sprawie? Taak... taaaaa... – mówiła dusza. – W porządku... baardzo dobrze... wiesz pan co, kochany... wiesz pan co... nie za bardzo mam tu teraz

Grafika **Emma Andijewska**

Z tomiku autorki *Architekturni ansambli*, Miunchen 1989.

czas z panem gadać, i bez tego mam dosyć zajęć, ale spróbuję dać wytyczną naszemu młodemu koledze... Nno, to w takim razie niech się pan zwraca bezpośrednio do N... Numer w książce telefonicznej.

Wtedy przybiegało „z góry" zasapane ciało.

– No jak, co tu? – mówiło.

– A no nic – mówiła dusza – dzwonił tu właśnie jeden frajer, a właściwie to palant. Przygadywał do tego, że ktoś mu tam coś nie tak powiedział, coś tam nie tak zrobił... A co to ja – niańka jestem? Wszystkiego sam dopinał nie będę. I bez tego mam dosyć: zespołowi robotę trzeba przydzielić, dyscyplina się rozluźniła... I w ogóle...

– No nie – mówiło ciało. – Z ludźmi tak nie można. A jeśli to ważny jakiś człowiek dzwonił? Niee, tu by się trzeba poradzić... trzeba by się poradzić.

I ciało znów mknęło „na górę".

Dusza znów mówiła do jakiegoś aparatu.

Nie od razu, ale w końcu przyszedł czas zebrać, jak się to mówi, cały kolektyw, i wygłosić, powiedzmy, przemowę odnośnie polityki nowej miotły. Co też i nastąpiło. A Heorhij Edwardowycz sam to wszystko zebrał i sam to wszystko wygłosił.

– My tu są sami swoi – mówiło ciało. – I ja się też niczym od was nie różnię. Wszyscy powinniśmy, każdy na swoim stanowisku, sumiennie wykonywać swój obowiązek wobec narodu. Wszyscy powinniśmy sumiennie pracować dla dobra Ukrainy. W tym celu powinniśmy, przede wszystkim, połączyć swoje starania, żeby nie było ani kroku w lewo, ani kroku w prawo. Żebyśmy byli wszyscy jak jeden organizm, co to żyje jednym ciałem, myśli jedną głową, mówi jednym (ukraińskim, pozwolę sobie zaznaczyć) językiem, i ma jednego ducha i jedną duszę, panie Ślepak, nasz drogi młody kolego.

– A cóż to się dzieje u nas, u mnie, w naszym, w moim kolektywie? – mówiła dusza. – Jeden, do pana to mówię, panie Ślepak, pali mi tu na korytarzu (dobrze, że choć nie w miejscu pracy – burknęło ciało), drugi – członek partii socjalistycznej, trzeciemu malutkie dziecko niby już ze dwa tygodnie choruje, czwarty w ogóle jakiś opozycjonista... Wiadomo, że dla właściwej pracy kolektywu dopuszczalne są i nawet korzystne jakieś tam osobiste gusta co do wyboru odzieży czy spowiednika. Ale naród nie zezwoli i Bóg nam nie przebaczy palenia na korytarzu władzy i rujnowania mojego zdrowia, noszenia spodni zamiast spódnic, golenia bród i szurania nogami, kiedy ja pracuję.

– Myślę, że byłoby całkiem sensowne – mówiło ciało – żeby niektórzy z nas napisali podanie na własną prośbę. Może by tak pan, co, panie Ślepak?

O Fediu. Fedio od tych słów aż się poślinił. Jakby go na pal posadzili, albo piaskiem w oczy. Potem już, kiedy zebranie się rozeszło, i zamknął twarz, i obtarł ślinę, i jego oczy wróciły we własne orbity, podszedł Fedio do pana Trickstera, żeby pogadać.

– Za co mnie tak? – powiedział Fedio. – Co ja wam złego zrobiłem? Że palę na korytarzu władzy? To ja wam obiecuję w ogóle rzucić palenie. Słowo honoru. A czegoś więcej w ogóle nie pamiętam. Pewnie, wszyscyśmy grzeszni, i ja nie jestem bez grzechu, ale zostawić mnie w taki niepewny czas bez roboty? To by było bardzo okrutne z waszej strony.

O ciele i duszy.

– Wyście mi już nie raz i nie dwa obiecywali rzucić to palenie – powiedziało ciało. – I co? Noo? Sami widzicie. Wasze słowo niewiele znaczy. A jeśli nie zdołacie pozbyć się tego szkodliwego nałogu?

– A on zagraża mojemu zdrowiu – powiedziała dusza – i zdrowiu całego mojego zespołu. A ta cyfra, którą postawiliście nie tam, gdzie ja wam radziłem, a tam, gdzie wam się zwidziało? Ooo! To już jest argument o wiele poważniejszy. Jakby sobie każdy stawiał cyfry tam, gdzie mu się podoba, to by się wszystko do góry nogami poprzewracało.

– Zresztą – powiedziało ciało – ja tu nie decyduję. Tam, „na górze", mają niezbyt pochlebne opinie o waszej fachowości. Ja tu nic nie poradzę. Panem Bogiem nie jestem.

– A te wasze ciągłe paskudne zamroczenia? – powiedziała dusza. – A tu niektórzy gadają, że was wścieklizna przez sen tłucze... Ja nie mogę dopuścić do tego, żeby tacy... rozkładająco wpływali na mój zdrowy kolektyw.

– Pisz podanie po dobroci – powiedziało ciało. – i bywaj zdrów. I Bogu dziękujcie, że serce mam dobre. Inny na moim miejscu to by was na cztery wiatry przegnał, i nawet dobrego słowa by wam nie powiedział. Zresztą, na wasze miejsce już mi kogoś zaproponowano.

O Fediu.

– I... już go przyjęliście? – powiedział Fedio.

O ciele i duszy znów.

– Przyjąłem – powiedziało ciało. – Jutro przekażecie mu swoje obowiązki.

– Zjeżdżaj stąd, póki tramwaje chodzą – powiedziała dusza.

O Fediu. Fedio zjechał, jasna sprawa. Potem już, na drugi dzień, przyniósł podanie. I zastał w owym ślicznym gabinecie nowego człowieka.

O Jawtuchu Stecence. Jawtuch okazał się być właśnie tym nowym człowiekiem. Miał przejąć od Fedia pracę i posadę. Wiadomo, ktoś musiał „na górze" szepnąć słówko w jego sprawie.

O tricksterze, o Fediu i o Jawtuchu znów. Jawtuch siedział za Fediowym stołem i... i palił. Fedio wchodził do ślicznego gabinetu. Pana Trickstera dokądś tam z samego rana poniosło, więc jeszcze o niczym podobnym nie wiedział.

O Fediu. Fediowi było przykro, że go „podsiedli", i jeszcze tak brutalnie i bezceremonialnie nawet wyrzucili na ulicę, chociaż w ogóle nie rozumiał, za co. Fedio postanowił trochę pożartować. Dawno już zapomniał, jak to się robi, i skąd się to (śmiech znaczy się) bierze. Aż tu nagle...

– Sie ma – powiedział Fedio. – To ty przejmujesz moje obowiązki?

O Jawtuchu. Jawtuch zachichotał.

– Dobra – powiedział potem. – Zapomnijmy o tym. Palisz? No to masz, zapal sobie.

O Fediu. Fedio wziął podanego sobie papierosa (a papieros był – hoo! – takich Fedio nigdy nie mógł sobie kupić), zapalił, jak człowiek, siadł obok Jawtucha za biurkiem i założył nogę za nogę.

O Jawtuchu. Jawtuch się śmiał.

– Co? – powiedział. – Nieźle, nie? Całkiem inna sprawa? Teraz się czujesz się jak człowiek. Dobra, wyciąg sobie nogi na biurku. – I pierwszy wyciągnął swoje.

O ciele i duszy. Kiedy przyniosło skądś pana Trickstera, chłopy już mało co nie śpiewały. W zębach sterczały kolejne papierosy. W ślicznym gabinecie gęstniała ściana dymu. Pan Trickster wyskoczył ze skóry. Dusza pozostała ogłupiała przy wejściu, a ciało rzuciło się naprzód, żeby otworzyć okno.

– Wiecie co, pa... no... wie... , nigdy nie mogę zrozumieć, jak mogą wykształceni, zdawałoby się, ludzie, kulturalni i nawet inteligentni, ciągle trzymać w gębie wszelkie świństwa. – powiedziało ciało. A dusza...

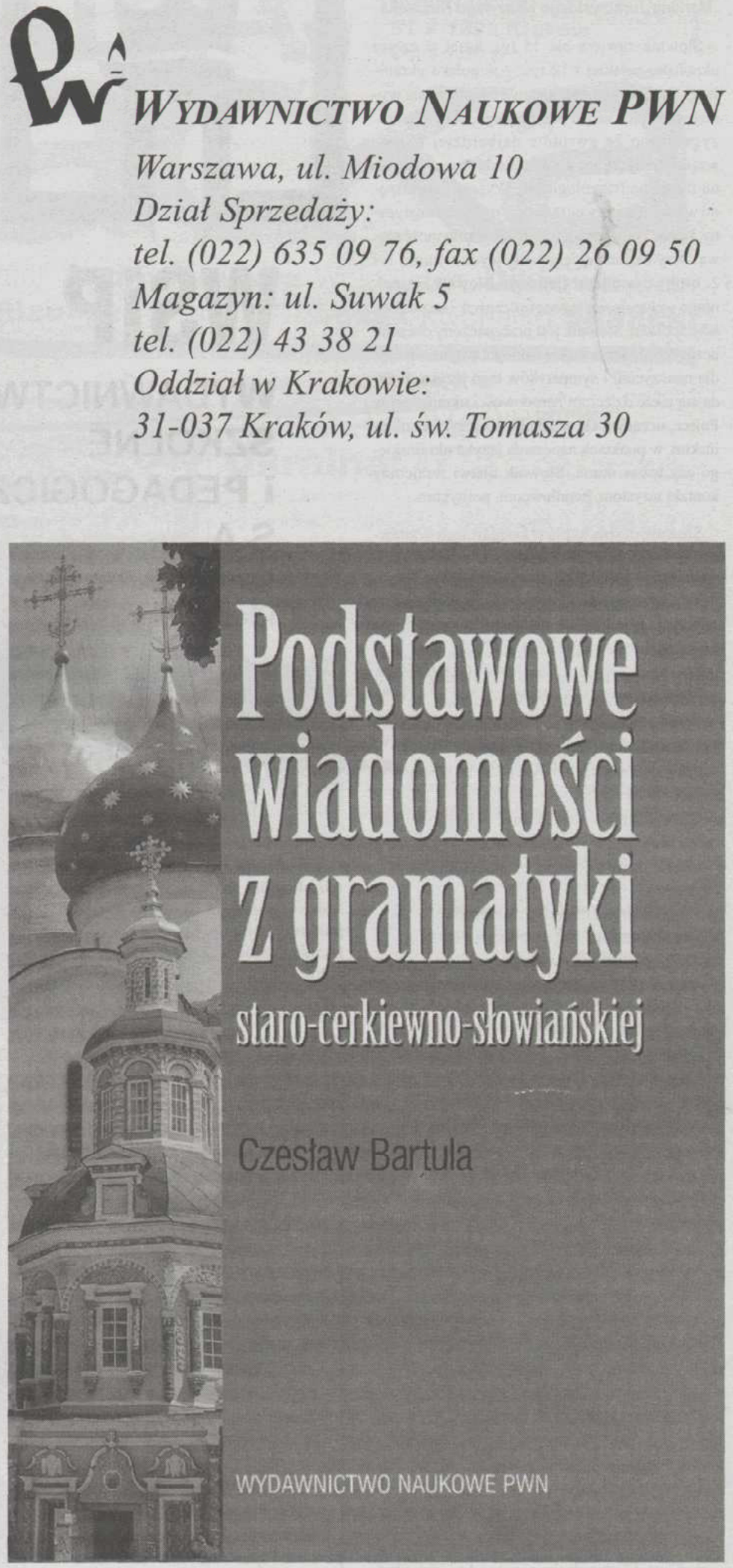

Dusza ssała karmelka. I z potwornym, ogłuszająco bezwstydnym grzechotem przepychała tę karmelka językiem z jednej strony na drugą pomiędzy rzędami zębów.

O Jawtuchu Stecence. Ujrzawszy taki obrazek, Jawtuch fiknął przez plecy, razem z fotelem, i rechotał dotąd, aż ducha wyzionął. I nie pomogli mu już ani lekarze, ani leki, ani wścieklizny jednej starej, doświadczonej pielęgniarki. Nic Jawtuchowi nie pomogło. I tak zdechł wśród skurczów, rzucając się od napadów śmiechu.

O Fediu Ślepaku. Fedio fiknął w ślad za Jawtuchem. Ale dla jego organizmu właściwe mu poczucie humoru nie okazało się śmiertelnym. Ta właśnie stara, doświadczona pielęgniarka go odratowała, gdy, długo po zachodzie słońca, przestał się rzucać na skutek całkowitego wycieńczenia. Rzucało się, a i to ledwie-ledwie, jeszcze tylko jego serduszko.

Fedia odratowali, niech mu Bozia zdrowie wróci.

To jest koniec tej noweli.

miasto Mikołajów

Mychałko Skalicki

Tłumaczył **Janusz Szlifiński**

MYCHAŁKO SKALICKI - przedstawiciel najmłodszego pokolenia prozaików, prezentowane opowiadanie pochodzi z czasopisma „Kurier Krywbasu" (1997, nr 87-90).

MAŁY SŁOWNIK UKRAIŃSKO-POLSKI I POLSKO-UKRAIŃSKI
Mariana Jurkowskiego i Bazylego Nazaruka

Słownik zawiera ok. 15 tys. haseł w części ukraińsko-polskiej i 12 tys. – w polsko-ukraińskiej. Podano w nim podstawowe znaczenia wyrazów, bez ich sensu przenośnego, choć nie zrezygnowano ze zwrotów najbardziej rozpowszechnionych. Przy wielu hasłach umieszczono ilustracje frazeologiczne. Wyrazy zaopatrzono w kwalifikatory określające rodzaj gramatyczny, liczbę i odmienność bądź nieodmienność słowa. Przy hasłach rzeczownikowych – formę 1. i 2. osoby czasu teraźniejszego. Słownik uzupełniono *wykazem nazw geograficznych* i nazw *Znaków zodiaku*. Słownik jest przeznaczony dla osób uczących się języka ukraińskiego, w tym również dla nauczycieli i sympatyków tego języka. Przyda się także dzieciom narodowości ukraińskiej w Polsce, uczącym się w szkołach z językiem ukraińskim, w punktach nauczania języka ukraińskiego czy też w domu. Słownik ułatwi wzajemny kontakt turystom, handlowcom, politykom.

Słownik można kupić w księgarniach Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w Warszawie, plac Dąbrowskiego 8 i ul. Kredytowa 9.

Słownik można zamówić telefonicznie pod bezpłatnym numerem informacji 0-800-20-555 (od godz. 9 do godz. 15) lub pocztą, na karcie pocztowej, pod adresem: Dział Marketingu WSiP, ul. Pankiewicza 3, 00-696 Warszawa.

Zamówienia pisemne potwierdzone pieczątką szkoły realizuje się z 10% rabatem.

Przy zamówieniu powyżej 100 zł koszty wysyłki pokrywa WSiP.

Czas realizacji zamówienia – 3 tygodnie od momentu jego otrzymania.

Cena słownika – 29,50 zł.

Podręczniki dla ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce, wydawane przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne

W ostatnich latach, 1995-1998, wydano 5 publikacji przeznaczonych dla społeczności ukraińskiej żyjącej w Polsce oraz mały słownik ekonomiczny przeznaczony dla szerokiego odbiorcy (*Mały praktyczny słownik biznesmena ukraińsko-polski i polsko-ukraiński*). Z myślą o uczniach i nauczycielach uczących j. ukraińskiego, a także tych, którzy pragną poznać podstawy gramatyki języka ukraińskiego powstała *Szkolna gramatyka języka ukraińskiego* prof. M. Łesiowa. Kolejną pozycją wśród książek pomocniczych, która zasługuje na uwagę, jest szkolna antologia poezji ukraińskiej *Kałynowyj mist*, autorstwa M. Mandryk-Fil, przeznaczona dla ukraińskich zespołów artystycznych. Autorka zebrała i opracowała utwory poetów, dramaturgów, satyryków ukraińskich, którzy mieszkają i tworzą nie tylko na Ukrainie, ale i w diasporze. Obok Dmytra Pawłyczka, Ihora Kałyncia, Wasyla Stusa są nazwiska poetów ukraińskiego pochodzenia mieszkających w Polsce – Ostapa Łapskiego, Mili Łuczak, Żeni Żabińskiej, Wołodysława Hrabana. Do zbiorku weszły również utwory tłumaczone na język ukraiński, wśród nich *Lokomyotywa* J. Tuwima w przekładzie Iwana Małkowycza.

Na uwagę zasługują bogato ilustrowane *Żurawłyky* – podręcznik dla II klasy szkoły podstawowej, J. Hryckowiana.

W tym roku lista podręczników wzbogaciła się o dwie kolejne pozycje: *Zbiór dyktand z języka ukraińskiego dla szkoły podstawowej* J. Śpiwaka i *Metodykę nauczania j. ukraińskiego* J. Hryckowiana. Obie te publikacje przeznaczone są dla nauczycieli szkół podstawowych i punktów nauczania j. ukraińskiego. *Zbiór dyktand...* jest publikacją przekrojową, która powinna być pomocna w prowadzeniu lekcji dla nauczycieli z wieloletnim stażem, jak też początkujących, nie mających jeszcze doświadczenia w przygotowaniu prac kontrolnych. Dyktanda (dla kl. I-VIII) są ułożone wg stopnia trudności, ale głównym ich celem jest pomoc w ćwiczeniu reguł gramatycznych i praktycznym ich zastosowaniu w piśmie. Część ćwiczeniowa poprzedzona jest obszernym wstępem, w którym autor wyjaśnia podział materiału, kryteria oceny dyktand. W dyktandach uwzględniono najnowszą pisownię, która obowiązuje w szkołach na Ukrainie. *Metodyka nauczania j. ukraińskiego* ze względu na treść (konspekty lekcji, wzory listów, pism urzędowych, przykłady lekcji w klasach łączonych) – będzie pomocna nauczycielom języka i literatury ukraińskiej w szkołach i punktach nauczania dla dzieci z diaspory ukraińskiej.

W 1999 r. WSiP planuje wydanie następujących książek w j. ukraińskim: *Zeszyt ćwiczeń dla kl. „0"*, *Zeszyt ćwiczeń dla kl. I* oraz podręcznik j. ukraińskiego dla kl. V. Jeśli powstanie nowy program nauczania j. ukraińskiego, dla zreformowanej szkoły, byłyby to publikacje zgodne z założeniem reformy. Wszystkie wymienione i omówione podręczniki oraz książki pomocnicze (oprócz *Małego praktycznego słownika biznesmena...* i planowanego na IV kwartał br. *Małego słownika ukraińsko-polskiego i polsko-ukraińskiego* są finansowane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej ze źródeł pochodzących z budżetu państwa i rozsyłane do placówek szkolnych bezpłatnie.

Autorzy pozycji wydawanych dla dzieci społeczności ukraińskiej mieszkającej w Polsce są nauczycielami i pracują w szkołach podstawowych, średnich i na wyższych uczelniach. Są znanymi i cenionymi pedagogami a także naukowcami.

Ostatnią a zarazem najobszerniejszą publikacją, przeznaczoną dla szerokiego odbiorcy jest *Mały słownik ukraińsko-polski i polsko- ukraiński* Prof. M. Jurkowskiego i dra B. Nazaruka.

Przypominamy, że wszystkie podręczniki i książki pomocnicze do nauki języków ojczystych mniejszości narodowych w Polsce, potwierdzone we właściwym kuratorium, odbiorca otrzymuje bezpłatnie.

WSiP

WYDAWNICTWA SZKOLNE i PEDAGOGICZNE S.A.

00-950 WARSZAWA
Plac Dąbrowskiego 8

tel. (0-22) 826-54-51 (centrala)
fax (0-22) 827-92-80

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARŃ FIRMOWYCH

w WARSZAWIE
ul. Kredytowa 9,
pl. Dąbrowskiego 8.
tel. (0-22) 826-54-51 w. 170,
(0-22) 826-75-70, 826-01-76

w KRAKOWIE
ul. Sławkowska 11,
Księgarnia Literacka,
tel. (0-12) 422-91-01

■Dział Marketingu
00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. (0-22) 628-24-91 wewn. 246, 283;
tel/fax (0-22) 628-95-73

■Dział Akwizycji, Kiermaszy i Wysyłki WSiP
00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. (0-22) 628-24-91 wewn. 230, 214

■Hurtownia WSiP
04-186 Warszawa, ul. Grochowska 21
tel. (0-22) 610-69-06;
tel/fax (0-22)610-67-95

Michał Łesiów
SZKOLNA GRAMATYKA JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO

Gramatyka jest przeznaczona dla uczniów narodowości ukraińskiej żyjących w Polsce. Napisana została w języku ukraińskim na podstawie nowego programu nauczania języka ukraińskiego. Zawiera całościowy opis języka ukraińskiego jako ojczystego w wyższych klasach szkoły podstawowej i w szkole średniej, wzbogacony licznymi przykładami i ćwiczeniami.

Jarosław Hryckowian
ŻURAWŁYKY
Podręcznik języka ukraińskiego dla klasy 2 szkoły podstawowej

Podręcznik jest przeznaczony dla dzieci narodowości ukraińskiej, uczących się języka ukraińskiego w szkołach z ukraińskim językiem nauczania i z dodatkową nauką tego przedmiotu w Polsce. jest podręcznikiem łącznym – zawiera materiał literacki w formie interesujących tekstów literatury dziecięcej, wzbogaconych o pytania problemowe, oraz materiał gramatyczny ujęty w formę atrakcyjnych, wzbogaconych ilustracjami ćwiczeń. Wyodrębniono krótkie i przejrzyście sformułowane definicje przeznaczone do zapamiętania.

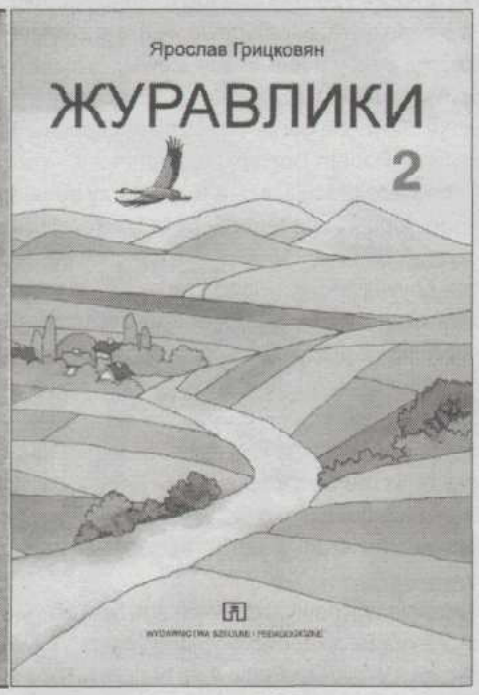

Szanowni Wydawcy

Jesteśmy najnowszą drukarnią prasową w Polsce, wyposażoną w sprzęt i urządzenia poligraficzne renomowanych firm.

Dysponujemy wysoko wydajną maszyną rotacyjną Man-Plamag oraz doskonale oprzyrządowaną przygotowalnią offsetową. Nowoczesny park maszynowy, starannie dobrana kadra specjalistów gwarantują wykonanie usług na wysokim poziomie. Uzyskiwana przez nas jakość druku, w tym także kolorowego z pewnością zadowoli Wasze ambicje, a także usatysfakcjonuje ogłoszeniodawców, którzy będą zamieszczać reklamy w Waszych gazetach i czasopismach.

Zapraszamy Was do stałej współpracy! Polecamy również druk wydań specjalnych i okolicznościowych oraz dodatków tematycznych, promocyjnych i reklamowych.

KRAKOWSKA DRUKARNIA PRASOWA Sp. z oo

31-580 Kraków
ul. Nowohucka 50

centrala: 425 90 86
fax: 644 51 34
Prezes Zarządu: 644 50 29
Dyr. d/s technicznych: 644 47 07
Dyr. d/s produkcji: 644 27 41
Dział Marketingu: 425 95 04

Gwarantujemy wysoką jakość druku, sprawną obsługę i fachowe doradztwo!

DRUKPRESS